MIESIĘCZNIK

fantastyka

3 (42) MARZEC 1986 CENA 80 ZŁ
PL ISSN 0209-1631
NR INDEKSU 35839



Włoska fantastyka

FIGURY NIEMOŻLIWE

W naszej „Galerii" przedstawiamy Państwu obiekty o „niemożliwej geometrii", którą jednak łatwiej jest wyjaśnić niż pojawienie się białych królików w cylindrze iluzjonisty.

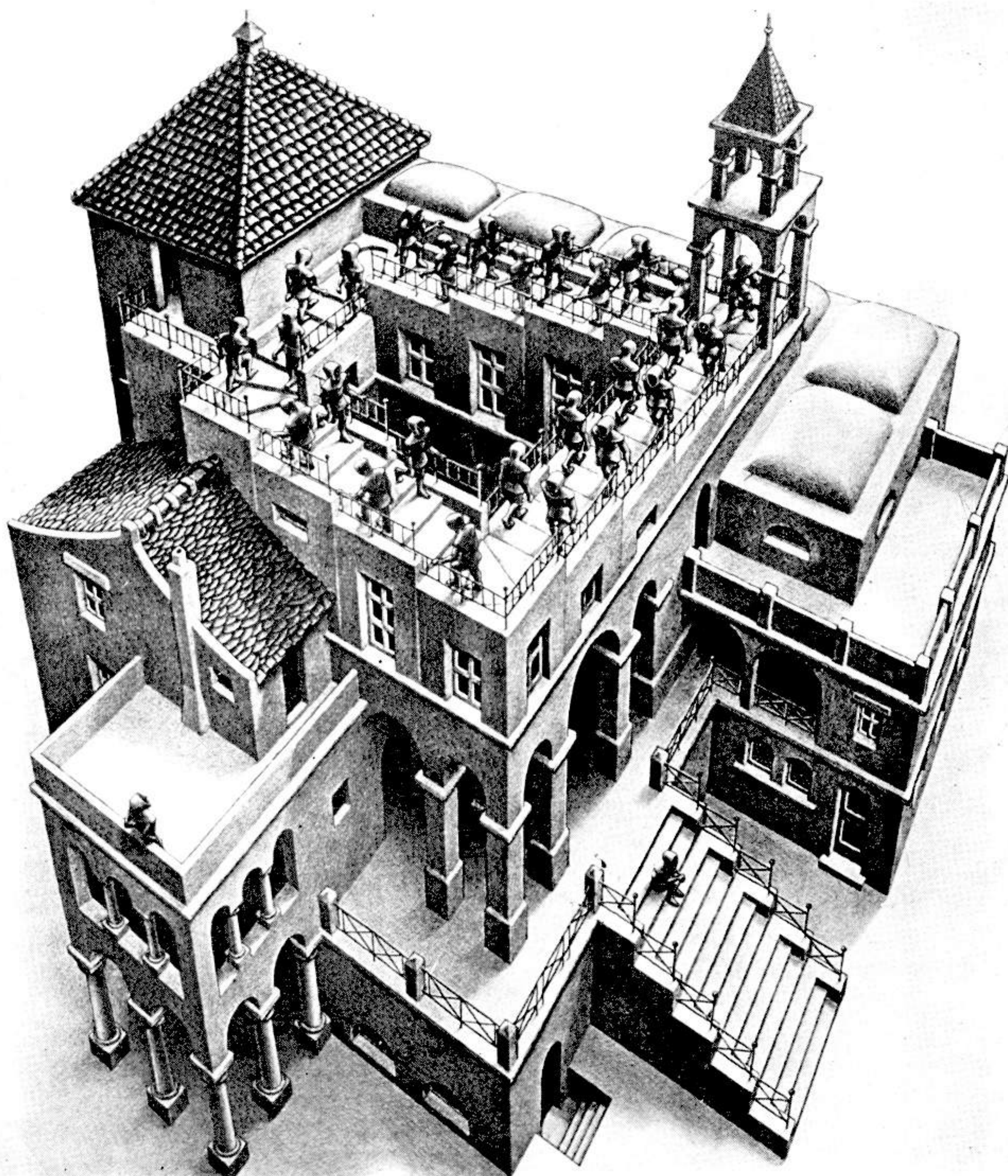
Te prawie metafizyczne interpretacje przestrzeni pochodzą z nawyków mózgu, tym razem omamionego trójwymiarowym sposobem zapisu na dwuwymiarowym nośniku informacji, jakim jest płaska przecież kartka papieru.

Stąd wielu surrealistów, m.in. malarz R. Magritte, grafik M.C. Escher, a także, choć wiele wcześniejszy, znany już Państwu William Hogarth, korzystało z owej niejednoznaczności odbioru dla wzmocnienia efektu swoich prac.

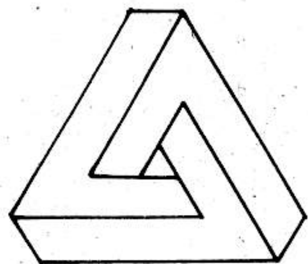
Prócz „niemożliwych obrazków" różnych autorów proponujemy tekst dra Zenona Kulpy, traktujący o tworzeniu i zastosowaniu iluzji geometrycznych. Dr Kulpa jest nie tylko biocybernetykiem i informatykiem, ale także malarzem. Jak przekonać się łatwo – również „niemożliwym". Dobrej zabawy! (zal)

★

Uwaga! Jednocześnie ogłaszamy KONKURS na ilustrację, w której zostaną wykorzystane elementy „figur niemożliwych". Ilustracje mogą być wykonane w dowolnej technice. Termin nadsyłania prac upływa 1 czerwca 1986 r. Nagrodą dla autorów najlepszych prac będzie publikacja ilustracji na naszych łamach oraz honorarium według obowiązujących stawek redakcyjnych. (A. B.)



M.C.Escher



...3...2...1...

wania młodych ludzi przez środki masowego przekazu. Oto program w telewizji, w czasie jednej z grudniowych niedziel, w którym ni stąd ni zowąd odbywa się strasz-liwie naiwna i ograniczona intelektualnie obrona komputerów i komputeryzacji. Właśnie obrona, ale przed kim, przed czym? Przecież naprawdę nikt u nas nie ma nic przeciwko tej ważnej dziedzinie rozwoju narzędzi sterowania wieloma procesami zarówno poznawczymi, jak i dydaktycznymi czy wytwórczymi.

To co cytowano podczas programu, lub udawano, że się cytuje, należy do przeszłości i nikt nie atakuje dziś maszyn (szczególnie tzw. myślących) nawet z pozycji jednego z pionierów cybernetyki Norberta Wienera. Wiener bał się konkurencyjności urządzeń myślących (niezwykle szybko i skutecznie) w odniesieniu do człowieka.



rozrywkowej. Dziś okazuje się, że sale filharmonii świecą pustkami, że upada zre-

Bardzo często oburza mnie sposób trakto-

od samych „mądrych" uczestników programu. Od nikogo więcej, jeśli nie potrafi się zacytować nazwisk prawdziwych autorytetów. Wartość cytatów, nie popartych autorytetem, jest zerowa.

Oczywiście, wszystko to co tutaj piszę ma bezpośredni związek z naszą dziedziną fantastyki. Gdy dostaję do użytku, do druku, coraz to więcej materiałów sprawnie, powiedzmy, napisanych, lecz przede wszystkim rozrywkowych, jeśli sporo naszych Czytelników domaga się tego rodzaju twórczości, to czasem ręce opadają. Nikt z nas, redaktorów tego pisma, nie pragnie rugować rozrywki z naszych łamów, o tym mowy nie ma, a świadectwem intencji są chociażby kolumny z komiksem czy opowiadania o charakterze fantastyczno-kryminalnym, lecz nie chcemy i nie będziemy zapełniali całej „Fantastyki" jedynie rozrywką. Nie mamy dlatego zamiaru wyrzucać „pożółkłych kartek", nie wyeliminujemy tekstów kry-

zji, nie zlikwidujemy

będziemy kłaść tak-

Dzisiaj, jak sądzę, obawy przeniosły się na zupełnie inny teren i poziom, co niestety demonstrował wzmiankowany tu program ty dla dzieci i młodzieży.

szta nie tylko zainteresowanie tzw. muzyką poważną, lecz także i prawdziwym jazzem.

Także absolutnie nie wierzę, żeby gry komputerowe były jedynym, głównym

tycznych ani recenzji, ani po też nauki.

Przeciwnie, sporo nacisku

do komputeryzacji.

mi wytłumaczyć, dlaczego w wie-

preferować utwory ambitne, tak jak to robimy do tej pory. Oczywiście z mniejszym lub większym

Oto na przykład jeden z uczestników programu jako argument potrzeby używa-

wstępem

Proszę

nia komputerów, ich przydatności i ważności – przytoczył czy wyraził swój pogąd na temat gry w szachy i komputerów. „*Są tacy* – mówił – *którzy twierdzą, co tam gry komputerowe, lepiej zamiast nich grać po prostu w szachy. Tymczasem przecież można grać w szachy z komputerem*". Bardzo

łu programach Polskiego Radia r ó w n o c z e ś n i e odbywają się swawole rockowe, czy najczęściej pseudorockowe, rodzimego chowu. Czy jest to sprawa jakiejś komercji, czy też zwykłego braku koordynacji. W tym samym czasie, gdy całe stereo w naszym radiu zajmują różne programy

powodzeniem. Mieliśmy ostatnio bardzo interesujące spotkanie redakcyjne z Krakowskim Klubem Miłośników Fantastyki. I tam nasłuchaliśmy się dość ostrej, czasami nawet zjadliwej krytyki za – i to chwalę – właśnie za to, że idziemy na kompromisy, że za mało prezentujemy utworów ambitniejszych i trudnych. Atakowano na przy-

kład w ogóle ideę zamieszczania komiksu, krakowscy znawcy radzili nam także, jakie utwory wybierać z literatury zagranicznej, mówili też, które wybraliśmy nieszczęśliwie, żądano lepszej (mój Boże, jeszcze lepszej) grafiki niż ta na łamach. Słowem, urządzono nam pranie, a że było ono typowym dla prawdziwych znawców i miłośników spotkaniem fantastów, świadczyła żwawość i bezkompromisowość wypowiedzi. Znamy natury fanowskie i bardzo je sobie cenimy.

Nie mogę nie odnotować faktu, że na zakończenie tego spotkania, po bardzo ostrej dyskusji, wręczono mi jednak tzw. złote pióro z dyplomem za działalność w „Fantastyce". Bardzo to sobie cenię i jestem wdzięczny. Przy okazji podaję także adres Krakowskiego Klubu Miłośników Fantastyki. Mieści się on w Krakowie, rzecz jasna, przy ulicy Poselskiej, pod numerem

śmieszyło mnie i tych, którzy choć trochę otrzaskali się z komputerami, takie argumentowanie. Gra w szachy z komputerem (który prawie zawsze z dobrymi graczami przegrywa) ma charakter treningowy. Komputer w tym przypadku może służyć jako instrument treningowy. Jest tym, czym dla sparringującego boksera specjalna piłka do ćwiczenia ciosów, czy dla kolarza specjalny rower do ćwiczeń wysiłkowych w domu lub na sali gimnastycznej. Tak, to jedynie instrument. I zapominanie w programie o komputerach, zapominanie o instrumentalnej ich roli, lub jej pomniejszanie, eksponowanie zaś jakiejś ich konkurencyjności czy głównie roli ludycznej, czyli rozrywkowej – to zasadniczy błąd. Jeśli tak się potraktuje komputeryzację, będzie on niestety przez długie lata pokutować i ciążyć

tego typu, w programie niestereofonicznym puszcza się, dla pogardzanej mniejszości (8 procent podobno), zainteresowanej muzyką lepszą, tak jest, lepszą – audycje, w których biorą udział wybitni twórcy, czy wybitni adepci sztuki. Toż często słyszymy Marthę Argerich czy innych wybitnych pianistów lub zespoły orkiestrowe w audycjach niestereofonicznych, podczas gdy muzyczka rozrywkowa i pogaduszki lecą w tym samym czasie na stereofonii. Nawet nie oszczędzono nam tej s w o i s t e j polityki podczas Konkursu Szopenowskiego.

Po tego rodzaju doświadczeniach i faktach naprawdę trudno mieć zaufanie do lansowania komputerów od ich strony rozrywkowej, do celowości tego rodzaju postępowania. Wcale nie jestem przeciwko grom komputerowym, lecz ich miejsce w

LĄDOWANIE XXXVII

Dzisiaj znowu porcja życzeń czytelniczych i pretensji aby nadal trwała nasza dyskusja. Niektórzy narzekają, że wyrywam z listu fragmenty i to tylko, co mi się podoba, drukuję. Po pierwsze, zamieszczanie całych listów jest niemożliwe, bo byśmy zamiast fantastyki, tylko dyskusję o niej musieli drukować, po drugie, tylko wyjątkowo cytuję z listów pozytywy. A najczęściej przedrukowuję z nich właśnie:

Życzenia i pretensje

Prześlijcie mi, jeśli to możliwe, jakieś dane na temat polskiego projektu „Demeter" (o materiałach, kosztorysach, systemach uprawy ogrodu itd.). Chciałbym aktywnie uczestniczyć w propagowaniu tego typu zdrowych osiedli, a jednocześnie mieszkać w domu-ogrodzie. Istnieje u nas, w Pabianicach, szansa na zainteresowanie się tą sprawą wielu ludzi, ale do tego trzeba dysponować konkretnymi materiałami... **Andrzej Mielczarek,** *Narutowicza 9/15, 95-200 PABIANICE.*

Czytuję Wasze pismo i to dość często. Pomimo że jest dość drogie jak na moją żołnierską kieszeń. Pismo na pewno trafiło w sedno zainteresowań. (...) Powinniście się zająć także fantastyką w innych dziedzinach kultury. Owszem, oprócz dominującej ze zrozumiałych względów prozy, jest też grafika (pruderyjna strasznie ostatnio) i bywa też czasem to i owo o filmie SF (o wiele, wiele za mało). Nie da się jednak ukryć, że skoro większość czytelników „Fantastyki" to młodzież, znajdzie się wśród niej wielu fanów muzyki rockowej. Wiele zespołów śpiewa teksty SF. Wymienię tu kilka polskich: „Kapitan Nemo", „Republika", „Zoo", a także autor tekstów i muzyki, zarazem wykonawca w jednej osobie, Jacek Skubikowski. Proponuję, aby w kontrowersyjnym dość, jak do tej pory, dziale poezji drukować bardziej interesujące teksty utworów o tematyce czysto SF, z opracowaniem krytycznym. Ciekaw jestem co sądzicie o tym pomyśle i co powiedzą inni Czytelnicy.

Wojciech Ziemski *z Rosnowa*

Dostałem nr 38 „Fantastyki", ładna okładka, taką lubimy, a co ważne na kredowym papierze. Tylko ten nakład! Co się stało, dlaczego zamiast 200 tysięcy, tylko 133 tysiące? Cierpią na tym Czytelnicy. Zgadzam się z tym, aby opowiadania z pieprzykiem, jak to określił jeden z czytelników, miały adnotację „dla dorosłych".

Janusz Kuska *z Chrzanowa*
i jego koledzy

Ratujcie ludzie człowieka. Proszę jak najszybciej opublikować następujący tekst: niech Lech Bartłomiejczyk z Gliwic przyśle swój adres do **Radka Panka,** *Staszica 23/29, ŁÓDŹ BAŁUTY.*

Naprawdę, za dużo miejsca przeznaczacie na biografie, recenzje itd. A „Galeria" z ilustracjami pani Kawalerowicz była wprost szokująca. Nie żal Wam miejsca? Zresztą jakby na Was patrzeć, jesteście super.

Taida Gieruszyńska *ze Starogardu*

Będę musiał Was czytać

... Chcę Was przynajmniej solidnie skrytykować, także dalej bowiem będę was musiał czytać. Wam opadają skrzydła. Powieści nie kwestionuję, choć poziom bywa różny, w gruncie rzeczy jest to najsolidniejsza rzecz w „Fantastyce". Opowiadania jakie są, zakładam, że również być muszą, by każdy mógł wybrać coś dla siebie, ale za pomyłkę uważam robienie numeru o pożółkłych kartkach ociekających naiwnością i ckliwością. (...) Na plus liczę Wam jeszcze z dodatków: „pożółkłe kartki", „naukę i SF" i „Lądowanie". Spis treści i „3...2...1", gdybyż mieściły się na jednej stronie. P. Hollanek pisze, owszem, ciekawie, lecz z korzyścią dla treści mógłby być zwięźlejszy. (...) Przyznacie jednak, że na okładkach „Galeria" się lepiej prezentuje, tymczasem okładki przeznaczacie na teksty. (...) O ile wiem słownik (pisarzy polskich) zakłada zwięzłość i konkretność. Drugie jest, pierwszego brak, czy jest to wobec tego słownik? Fanowi wystarczą informacje na pół strony – gdzie, co i jak, a zawsze będzie wolał poczytać opowiadania. Odszukałem numer 7/22, gdzie piszecie o wynikach starej ankiety. Jeżeli powszechnym żądaniem jest, by było więcej opowiadań i powieści, to dlaczego po upływie tak długiego czasu nie zmieniło się nic na lepsze? Spójrzcie proszę: „Fantastyka" ma 64 strony, które dzielą się na 16 stron powieści, 4 komiksu, 21–23 stron opowiadań. A reszta 21–23 to co? Jeżeli 4 strony odliczamy na „Galerię", 2–3 na spis, p. Hollanka i „Lądowanie", 2 strony na wywiady i krytyków, 1 stronę na recenzje, słownik i nowości wydawnicze (no, ewentualnie 1,5), a połówkę dla fanów, 1 na „pożółkłe kartki" i 2 (maksimum) na „naukę i SF" to otrzymamy 13–14 stron, odejmując z tego 2 na wszelki wypadek, pozostałe można by przeznaczać na dwie ciekawe opowieści! Myślę, że warto. Generalnie lepszego jutra. Pozdrowienia dla zdrowego „trzonu" „Fantastyki".

Marek Kubasik *z Oświęcimia*

Wyrzućcie do kosza

Co się tam u was dzieje? Wyrzućcie te wypociny polskich pseudoliteratów – ich opowiadania – ad kosz. BEZ WYJĄTKU. Poprawcie się.

Jerzy Mulica

Nie podobała mi się recenzja pióra pana Parowskiego, którego skądinąd bardzo cenię za jędrne pióro i tęgą głowę. Do pana Baranieckiego nic nie mam, chociaż jego teksty zachwytu we mnie nie budzą. (...) Pisze Pan Maciej, że Baraniecki wie wiele o technice, rzeczywistości nas otaczającej. (...) Nie sięgam jednak po dzieło literackie, by dowiedzieć się czegoś o rakietowych silosach, chyba że uważamy literaturę SF za lekturę młodzieżową, która tylko uczy i bawi. Literatura, także SF, winna jednak dostarczać doznań estetycznych i wartości intelektualnych, ma być grą z jej odbiorcą. I jeszcze jedno: podkreśla się konieczność kompetencji technicznych pisarza SF. Wydaje mi się, że dużo bardziej aktualny jest brak jego kompetencji historycznych, socjologicznych. Tekst SF jest przecież zawsze (lub prawie zawsze) wizją jakiegoś innego społeczeństwa. By uniknąć zarzutu krytykanctwa dodaję zaraz, że pochodzące z tego samego numeru opowiadania Pohla, Tiptree, czy Oramusa wydały mi się doskonałe („Fantastyka" nr 37). Życząc lepszego papieru i większego nakładu.

Dariusz Łukasiewicz *z Sulechowa*

Ostatni numer to nieporozumienie. Utwory tam przedstawione mogły budzić zainteresowanie kilkadziesiąt lat temu. Pożółkła powieść także nie bardzo mi się podoba. (...) Myślę, że numery monotematyczne nie są dobrym rozwiązaniem.

Stały czytelnik
Sławomir Szych *z Krakowa*

Aleście panowie klina zabili czytelnikom. Tym numerem całym pożółkłym od staroci. I proszę sobie wybrazić, że te starocie przeczytałem od dechy do dechy i zauważyłem, że wcale jakoś nie ustępują naszym i nie tylko naszym najnowszym „arcydziełom". Zżymać się będą zapewne ci czytelnicy, którym podoba się tylko nędzna, półkryminalna lekturka. Oni lubią dużo treści, mało literatury, czytają jedynie dla czystej rozrywki. A tymczasem fantastyka, nawiązując do swoich lepszych tradycji, ucieka od bzdur do prawdziwego pisarstwa. Za Lemem, panowie, za Lemem. To jedyna droga i na niej wiele jeszcze miejsca.

Zenon Przedryza z Krakowa

Nie rozumiem dlaczego niektórym czytelnikom nie podoba się komiks. Czy to ze względu na treść, czy formę graficzną. W końcu jest to normalna, choć obrazkowa, powieść SF. Pojęcie fantastyki obejmuje wszystkie jej gatunki, od powieści zaczynając na powieści obrazkowej, czyli komiksie kończąc. Zresztą kto nie chce, ten nie musi wcale czytać.

14-letni czytelnik „Fantastyki"
Edward Stelmach z Chmielowa

Chciałbym Wam pogratulować pisma, które ukazuje się już pełne trzy lata, mimo trudności wydawniczych. Sto lat! Myślę, że należę do niewielu, którzy postanowili połączyć opowiadania i nowele z poszczególnych numerów w jedną książkową całość. Jestem posiadaczem takiego zbioru z pierwszych dwóch lat istnienia pisma, obecnie kompletuję tom drugi. (...) Ograniczajcie rozwlekłe recenzje oraz dyskusje. Więcej kolorów, a nigdy nie splajtujecie. PS. 5 z plusem dla bibliografii.

Aleksander Grasowski

Uwaga: na razie nie zabieram głosu, sądzę bowiem że dyskusja dobrze się rozwija. Ale ma słuszność pan **Leon Grzempa** z Poznania, gdy przypomina mi, iż często komentowało się korespondencję. Więc będziemy komentować w następnych numerach, opowiemy o naszych kłopotach i możliwościach. Ustęp listu pana Grzempy (lat 28), w którym pisze: *„największej punktów otrzymuje ode mnie Pan Adam Hollanek, który w swych felietonach wstępnych, mocno zróżnicowanych treściowo, stara się przybliżyć każdemu czytelnikowi pojęcie „Fantastyki" i fantastykę jako taką, problemy dzisiejszego świata, Polski, tłumaczy, naucza, krytykuje i chwali"*, ten ustęp przekazałem od razu adresatowi.

Redaktor



Krzysztof Wujek

Zapewne nie jest łatwo mówić o włoskiej fantastyce naukowej i o jej usytuowaniu w kulturze tego kraju. Italia jest ziemią prastarej cywilizacji, która gościła starożytne kultury – etruską, celtycką, ponadto, w ciągu wieków, wykształciła dziedzictwo legend, baśni, literatury ludowej. Skłonność do fantastyki nigdy nie była obca literaturze „oficjalnej", wystarczy wspomnieć takich pisarzy, jak Dante, Ariosto, a w naszych czasach Buzzati lub Italo Calvino. Nie powinno więc dziwić, że specyfiką włoskich opowiadań fantastyczno-naukowych jest podążanie w stronę magii, surrealizmu, wykraczanie poza znany wszechświat i prawa przyrody, jak to dzieje się w utworach Riccarda Leveghiego i Danieli Piegai, czy też w nowych światach fantastyki heroicznej, kreowanych przez pokolenie młodych autorów takich jak: Gianluigi Zuddas, Benedetto Pizzorno, Adalberto Gersosimo, Grazia Lipos.

Włoska fantastyka naukowa

Fabio Calabrese

Niestety, pod innymi względami włoska fantastyka naukowa nie jest aż tak interesująca. W odróżnieniu od krajów anglosaskich, a nawet Francji, gdzie science fiction opiera się na tradycji literatury masowej, popularnej, co sprawia, że łatwo jest miejscowemu pisarzowi o ustalonym prestiżu dotrzeć do serii wielkich domów wydawniczych – w Italii rynek jest zdominowany przez produkcję obcą.

Włoska fantastyka naukowa, która jako gatunek powstała w latach pięćdziesiątych, w cieniu mistrzów zza oceanu, ulegała przez długi czas przemożnym wpływom modeli stylistycznych pochodzenia anglosaskiego. Obecnie bardziej sprawni autorzy starają się podążać „włoską drogą" fantastyki naukowej odkrywając bogate dziedzictwo rodzimych tradycji ludowych. Z drugiej strony, nawet autorzy podejmujący klasyczną tematykę SF (technologiczną i socjologiczną), różnią się wyraźnie od autorów anglosaskich. Bohaterowie włoskiej fantastyki nie są nigdy superludźmi zdecydowanymi na podporządkowanie wszechświata ich woli, jak to dzieje się z bohaterami amerykańskimi. Są to ludzie mający swoje słabostki i wady, postawieni wobec wydarzeń przekraczających znane normy opisu świata.

Ten typowo „humanistyczny", aspekt fantastyki daje się zauważyć zwłaszcza u autora uznawanego za przodującego we włoskiej SF – Lino Aldaniego. Po długiej produkcji opowiadań związanych z klasyczną tematyką fantastyki naukowej (zresztą nader ciekawych, jak „Buonanotte Sofia" „Dobranoc Zofio"; historia o handlowych manipulacjach snami), Aldani zdecydowanie porzucił przestrzenie kosmiczne, aby opisać to, co stanie się ze światem włoskiej prowincji za kilkadziesiąt lat (powieść „Quando le radici", „Gdy korzenie"; opowiadania: „Visita al padre", „Wizyty u ojca"; „Screziato di rosso", „Pomalowany na czerwono"). W jego obecnych opowiadaniach problemy osobiste przeplatają się z kwestiami społecznymi. Aldani przewiduje, że technologia niewłaściwie używana, zaostrzy obecne konflikty, zdegraduje środowisko, doprowadzi do rozdziału pokoleń, do samotności tych, którzy nie dostosują się do proponowanych schematów społecznych.

Tematyka socjologiczna jest stale poruszana w naszej fantastyce, leży u jej podstaw. Nie jest przypadkiem, że liczni pisarze, między innymi Inisero Cremaschi, Sergio Turone, Daniela Piegai, są związani z walką polityczną postępowych partii włoskich.

Inisero Cremaschi wraz z Lino Aldanim należą do założycieli włoskiej fantastyki naukowej, chociaż Cremaschi jest raczej redaktorem serii i periodyków, odkrywcą młodych talentów. Jego najważniejszą powieścią SF jest „Il quinto punto cardinale" („Piąty punkt kardynalny"), historia relacjonująca przygody terrorystów, rozbitków z pojazdu kosmicznego, którzy znaleźli się na nieznanej planecie. W swoim mikrokosmosie, opisanym z sarkazmem i ironią, Cremaschi odzwierciedla wszystkie struktury i defekty społeczeństwa kapitalistycznego. Nie należy zapominać, że żona Cremaschiego jest również poetką i autorką licznych opowiadań i powieści SF napisanych samodzielnie lub wspólnie z mężem.

Najmłodszym i najaktywniejszym ze „starej gwardii" pisarzy fantastyki naukowej jest chyba Renato Pestriniero. Ten wenecki autor opublikował ostatnio dwie powieści, a mianowicie „Le torri dell'Eden" („Wieże Edenu") i „Il Villagio incantato" („Zaczarowana wieś"), oraz antologię „Sette accadimenti in Venezia" („Siedem wydarzeń w Wenecji"). Ponadto dzięki opowiadaniu „Alienità" („Alienacja") wygrał konkurs literacki ogłoszony w roku 1983 przez włoską sekcję World SF. Twórczość Pestriniero jest najlepszym przykładem na to, jak wymiar magiczny i surrealistyczny fantastyki naukowej splata się z racjonalną myślą i filozoficznym przesłaniem. Pisarz nie jest zainteresowany cudotwórczymi aspektami nauki i technologii ani awanturniczymi i mistycznymi hipotezami dotyczącymi ekspansji ludzkości w kosmos. Interesuje go w jaki sposób nauka, technologia i struktury społeczne, które determinują, wpływają na stosunki międzyludzkie. Bohaterem jego utworów jest najczęściej zwykły człowiek, z którym może zidentyfikować się czytelnik. Człowiek ten musi stawiać czoło niezwykłym sytuacjom, wychodzi z nich niekiedy zwycięsko, ale częściej jako pokonany. Ostatnia książka Pestriniero, antologia „Siedem wydarzeń w Wenecji", jest rodzajem podróży w czasie, dziejami człowieka nakreślonymi w różnych konwencjach od fantastyki naukowej po fantazję. Pisarz potrafi ukazać całą subtelną magię miasta, w którym przeszłość i przyszłość, sen i jawa mieszają się i stają się nierozłączne.

Innym czołowym przedstawicielem „weneckiej" fantastyki naukowej jest Gustavo Gasparini. Gasparini ma na swoim koncie poza powieścią „La donna immortale" (Nieśmiertelna kobieta", 1974) ogromną liczbę opowiadań, które ukazują się ze stale wzrastającą częstotliwością w różnych magazynach i miesięcznikach. Dochodzi do tego, że pisarz publikuje swoje utwory na własny koszt, jak to zdarzyło się z dwiema antologiami „Le vele del tempo" („Żagle czasu", 1963) i niedawno wydanymi „Racconti psichedelici" („Opowiadania psychodeliczne", 1983).

Gasparini studiuje egzoteryzm, uprawia jogę i jest wyznawcą filozofii orientalnych. Z tego bogatego świata myśli czerpie liczne motywy swojej literackiej inspiracji. Podczas lektury jego opowiadań odnosimy wrażenie, że nie można mieć zaufania nawet do solidności i konkretu przedmiotów najbardziej banalnych, że wszystko znajduje się w połowie drogi między wszechświatem zdarzeń i wszechświatem ducha. Fabuła opowiadań Gaspariniego rozgrywa się ciągle w tym specjalnym wymiarze, regulowanym precyzyjnymi prawami, które jednak nie są dokładnie takie same jak nasze. Autor dopuszcza na przykład wpływ przyszłości na przeszłość, z czego wynikają problemy dotyczące krążenia czasu i przeznaczenia.

Roberto Vacca stał się znany szerokim kręgom czytelników jako futurolog dzięki swoim publikacjom: „Il medioveo prossimo venturo" („Średniowiecze bliskie przyszłości") i „Manuale per un'improbabile salvezza" („Podręcznik dla względnego ocalenia"). Jest on również autorem kilku powieści SF, między innymi „Il robote il minotauro" („Robot i minotaur"), „La morte di Megalopoli" („Śmierć w Megalopolis"). Najciekawszym jego utworem jest chyba książka „Perengana" („Perengana"), w której wątek fantastyki naukowej został wykorzystany jako instrument satyry społecznej. Perengana to wielka wyspa, która zgodnie z fantazją autora znajduje się pośrodku Morza Śródziemnego. Jak przez deformujące szkło widać tutaj wszystkie wady społeczeństwa włoskiego, począwszy od wszechobecnej, monstrualnej, pysznej i niekompetentnej biurokracji, do retoryki, która przenika wszystkie aspekty kultury narodowej.

Do grona czołowych autorów włoskich SF należał bezsprzecznie Ricardo Leveghi, który zmarł przed kilku miesiącami licząc niewiele ponad czterdzieści lat. Jego pisarstwo wyróżnia się spoistością i jednolitością. Leveghiemu nigdy nie udało się stworzyć zakrojonych na szeroką skalę powieści, za to jego opowiadania noszą cechy głębokiej penetracji psychologicznej i napisane są barwnym, sugestywnym językiem. „Il re in giallo" („Król w żółci") pozwolił pisarzowi przedstawić specyficzną atmosferę i tajemnice wielkiego miasta, takiego jak Rzym, Nowy Jork, Londyn, Moskwa, Wiedeń. Najpiękniejszym utworem Leveghiego jest jednak „Storia di Agnes" („His-

toria Agnieszki") opowieść o kobiecie-robocie, androidzie-niewolnicy, obdarzonej wielką wrażliwością i głębokim poczuciem humanizmu. Bohaterce udaje się przełamać własne uwarunkowanie i utwierdzić godność istoty ludzkiej.

Najmłodsi przedstawiciele włoskiej fantastyki naukowej uprawiają z powodzeniem fantazję heroiczną, w której tacy pisarze jak Giuseppe Pederiali, Gianluigi Zuddas, Benedetto Pizzorno i wielu innych, osiągają status profesjonalistów. Należy jednak podkreślić, że ta „heroic fantasy" jest daleka od modelu amerykańskiego. W prozie włoskiej brak jest ślepej przemocy i rasizmu, widocznego na przykład u Roberta Howarda. Giuseppe Pederiali opowiada historie pełne poezji rodem z „Padanii", północnej Italii okresu średniowiecza. Pisarz ten zaskakuje czytelników tematyką osobistą i pewnego rodzaju „stylem narodowym" odległym od anglosaskiej heroic fantasy.

Również „space opera" przeżyła pewne zmiany, sprawiające, że jest ona różna od stereotypów amerykańskich. Przykładem służą powieści Luigiego Menghiniego – najpopularniejszego pisarza młodego pokolenia – które ukazały się w ciągu ostatnich lat: „Reazione a catena" („Łańcuchowa reakcja"), „Il regno della nube" („Królestwo chmur"), „L'assedio" („Oblężenie"), „Il messagio dei Calten" („Zlecenie Caltenów), „Il mio amico Stone" („Mój przyjaciel Stone"). Historie Menghiniego, utrzymane w konwencji „space opera", w przeciwieństwie do większości powieści amerykańskich, starają się mówić o ciemnych stronach natury ludzkiej. Bohater trzech pierwszych utworów jest Przybyszem z Kosmosu mającym dar telepatii, jedynym, który przeżył katastrofę, jaką mieszkańcy naszego globu wywołali wśród jego braci. Ma on zamiar zemścić się na ludzkości wykorzystując zręcznie egoizm i głupotę człowieka. „Zlecenie Caltenów" opisuje z kolei nieudany bunt obcych przeciwko hegemonii Ziemian. Rewolta wzorowana jest na walce o wolność ludów kolonialnych Trzeciego Świata przeciwko Europejczykom. Kwintesencją powieści Menghiniego staje się stwierdzenie, że skoro istoty ludzkie okazywały się zawsze niezdolne do traktowania sobie podobnych z szacunkiem i tolerancją, to czyż możemy się łudzić, że nasz gatunek w dniu, w którym nawiąże kontakt z Obcymi stanie się nagle rozsądniejszy?

Daniela Piegai jest jedną z bardziej interesujących postaci w środowisku włoskiej fantastyki naukowej. Jej największą zaletą staje się umiejętność przedstawiania opowiadań z wielką delikatnością i dyskrecją, po to, aby roztoczyć przed oczyma czytelnika nieznane pejzaże namalowane jakby akwarelami i ożywione dyskretnym światłem. Autorka łączy elementy fantazji imaginacyjnej z racjonalistyczną, ale nazbyt otwarcie przeciwstawia mit idyllicznej natury nadużyciom technologii. Piegai opublikowała trzy powieści: „Ballata per Lima" („Ballada o Limie"), Parola di Alieno („Słowo Obcego"), „Alla fonte del re" („U źródła króla"), jak również wiele opowiadań zamieszczonych na łamach czasopism.

Obok Danieli Piegai tworzą inne autorki jak Mariangela Cerrino, Gloria Tartari, Grazia Lipos. Historia włoskiej SF odnotowuje nazwiska dwóch kobiet: Gildy Musa i Anny Rinonapoli.

Ciekawą postacią włoskiej SF jest Vittorio Curtoni, który przestał pisać po zamknięciu redagowanego przez siebie periodyku „Robot". Z pewnością jest to rzecz godna pożałowania, gdyż Curtoni był nie tylko świetnym i starannym wydawcą almanachów i serii wydawniczych, ale również jednym z bardziej interesujących autorów pokolenia uformowanego w latach sześćdziesiątych. Jedno z jego pierwszych opowiadań „La vita considerata come un'interferenza fra nascita e morte" („Życie jako interferencja między urodzeniem a śmiercią") ukazuje w pełni rozwiniętą i charakterystyczną dla jego utworów tematykę: zaangażowanie polityczne i społeczne, poszukiwanie stylu „niełatwego", introspekcję psychologiczną. W powieści „Dove stiamo volando" („Dokąd lecimy") autor relacjonuje historię (bohatera) bohaterki(?), która przeżywa dramat zmieniającej się osobowości i niemożności identyfikacji seksualnej. Opowiadanie „La volpe stupida" („Głupi lis") jest arcydziełem stylistycznym: mówi o zagładzie cywilizacji po użyciu bomby atomowej. Przeżywamy nie tylko rozpad rzeczywistości, również narracja zmierza w stronę niespójnej halucynacji. W końcu 1979 r. ukazała się antologia „La sindrome lunare" („Syndrom księżycowy") z tak ciekawymi opowiadaniami, jak: „Vento dal mare" („Wiatr od morza"), które w tematyce i stylu przypomina opowieści Raya Bradbury'ego oraz „Non ho bocca a voglio beve" („Nie mam ust, a chcę pić") – bezlitosna satyra włoskiej klasy rządzącej i jej hipokryzji. Rozgoryczony zamknięciem swego periodyku, Curtoni nie napisał już niczego więcej.

Podobna do pisarstwa Curtoniego jest twórczość Vittoria Cataniego. Nie należy jednak mylić tych dwóch autorów. Catani jest jednym z tych, którzy walczą usilnie o fantastykę racjonalną i postępową, odrzucając mity przeszłości i konsolidacyjne koncepcje fantasy. Żądają surowej oceny człowieka, społeczeństwa ludzkiego, ostrzeżenia przed przyszłością.

Po wydaniu antologii opublikowanej w 1972 r. pod tytułem „L'eternitá e i mostri" („Wieczność i potwory") Vittorio Catani przestał pisać i ten stan rzeczy trwał do roku 1978, kiedy opublikował opowiadanie „Il pianeta dell'entropia" („Planeta entropii"). Jest to ciekawie skonstruowana historia, w której przygoda w kosmosie łączy się z problemami społecznymi i politycznymi. W tym samym roku ukazało się opowiadanie „Davanti al Palazzo di Vetro" („Przed pałacem ze szkła"), przerobione i rozszerzone w 1984 r., opublikowane pod zmienionym tytułem „Quel giorno a Manhattan" („Tego dnia na Manhattanie"). Jest to bezwzględnie jeden z najpiękniejszych i gorzkich tekstów włoskiej fantastyki naukowej. Mówi o losach upośledzonego, pochodzącego z północnej Brazylii Achillesa Cordero, który posiada zdolności telepatyczne i popełnia spektakularne samobójstwo przed Pałacem ze Szkła Narodów Zjednoczonych, w chwili, gdy przechodzą liderzy trzech supermocarstw: Amerykanin, Rosjanin i Chińczyk. Czyni to po to, aby zaświadczyć o straszliwej nędzy, w której żyje większość mieszkańców Ziemi. Kilka lat temu Catani napisał opowiadanie „Oh, Leviathan" („Lewiatan", 1983), mówiące o degradacji olbrzymich metropolii i wegetującej pod wpływem narkotyków ludzkości. Opowiadanie łączy w sobie styl Williama Bourroghsa i Henry'ego Millera.

Bywa niekiedy, że autorzy Europy Wschodniej zarzucają swoim kolegom z Zachodu pesymizm i katastrofizm, ale ów pesymizm wiąże się z odwagą patrzenia bez osłony i bez hipokryzji na zło teraźniejszego świata, nieprawości społeczne, niszczenie środowiska, irracjonalną kumulację zabójczej broni w arsenałach supermocarstw, podział ludzkości na bogatych i nędzarzy. Tylko z odważnego ukazywania tego zła, bez eufemizmów i iluzorycznych ucieczek, może narodzić się nadzieja lepszej przyszłości.

Trudno podsumować w kilku słowach dorobek włoskiej fantastyki naukowej. Można, co prawda, nakreślić linię demarkacyjną oddzielającą twórczość pisarzy bardziej „fantastycznych" takich jak: Leveghi, Gasparini i Pedriali, od autorów bardziej „naukowych" wykorzystujących dorobek socjologii, techniki, psychologii jak: Cremaschi, Curtoni, Catani. Byłby to jednak podział wprowadzający w błąd. Włoska fantastyka naukowa jest daleka od komercyjnych ułatwień fantastyki amerykańskiej i katastrofizmu angielskiej SF i nadal ufa człowiekowi, o ile zechce on naprawdę walczyć o lepsze jutro.


Karel Thole

Przełożyła Lidia Wanda Gall

Miriam Poloniato

Dzień muzyki

(Il giorno della musica)

Zamek był podobny do wielu innych, które wznosiły się, pooddzielane wielkimi obszarami, na olbrzymiej równinie, zakończonej na wschodzie wysokimi górami, a na zachodzie, południu i północy – morzem.

Ziemia opuszczona, lasy dzikie, rzeki wzburzone i czarne moczary pokrywały ją prawie całkowicie.

Wzdłuż szarego i zamglonego morza wznosiły się niekiedy miasteczka zbudowane z drewna. Mieszkańcy tych okolic zajmowali się połowem ryb, wytwarzaniem soli i soleniem ryb.

Karawany kupców przeciągały szlakami stworzonymi na tych ponurych i niebezpiecznych terenach przez setki innych karawan; nie wszyskie jednak docierały do miejsc przeznaczenia.

Największe niebezpieczeństwo stanowiły dzikie zwierzęta, które niezwykle się rozmnożyły w tych wiekach ciemnych, kiedy rzadko używano broni. Niewystarczające uzbrojenie kupców sprawiało, że często nie mogli obronić się przed atakami wygłodniałych dzikich bestii.

Ale chciwość, umiłowanie ryzyka i przygody stale popychały nowych ludzi do obierania zawodu kupieckiego i przemierzania niegościnnych przestrzeni Eurazji, stwarzając w ten sposób sieć połączeń między nadmorskimi miasteczkami a zamkami.

Ale nie tylko kupcy przemierzali szlaki między zamkami. Robili to również muzykanci należący do Bractwa Zakapturzonych.

Zamek Parrisia, podobnie jak pozostałe, zbudowany na dużej powierzchni, otoczony był wysokim murem i fosą.

„Zamkiem" nazywano całość budowli, ale w rzeczywistości tylko jedna strona olbrzymiego kwadratu była zajęta przez właściwy zamek. Miał on dwa piętra, z zewnętrznymi schodami i odkrytą galerią pierwszego piętra. Na tym poziomie znajdował się salon, poniżej kuchnia, a wyżej cztery pokoje. Wszystko było zbudowane z drewna. Na pozostałej powierzchni mieściły się różne budynki mieszkalne.

Szara równina otaczała zamek i ciągnęła się na przestrzeni tysięcy, tysięcy mil, a ciemna linia na horyzoncie oznaczała początek lasu.

W zamku Parrisia panował wielki ruch.

Karawana, która w tych dniach tu dotarła, zapowiedziała przybycie Zakapturzonych. Kupcy natknęli się na nich po drodze i dowiedzieli się, że zamierzają po odwiedzeniu zamku Brines, zboczyć ze szlaku i dotrzeć aż do Parrisii. Niech więc mieszkańcy będą dobrej myśli, niedługo Zakapturzeni przybędą do nich.

Wiadomość ta zepchnęła na boczny tor wydarzenie, którym był przyjazd kupców, zjawiających się w zamku tylko dwa razy do roku. Po zakończeniu prac związanych z wymianą i zaopatrzeniem, wszyscy wrócili do swoich zajęć, ale wykonywali je szybciej niż zwykle, jakby nie zdając sobie sprawy z tego co robią.

Każdy – począwszy od pana zamku do najniższego sługi – przypominał sobie wszystko, co wiedział o Zakapturzonych.

Na temat Bractwa krążyło wiele legend pełnych uroku i tajemniczości.

Szeptano, że jego członkowie nie należą do zwykłego świata, ale mają związki z istotami nieziemskimi lub sami są nimi.

Mówiono, że każdego roku, a może co dwa lata, wszystkie grupy Zakapturzonych przemierzały równiny i zbierały się w ukrytym miejscu między lasami, gdzie odbywały tajemne ceremonie.

Twierdzono, że ich muzyka jest magiczna, ponieważ narzuca słuchaczom dziwne wizje, odkrywa nowe sprawy i dostarcza niezwykłych wrażeń.

Mówiono również, że liczba Zakapturzonych nie przewyższa nigdy dwunastu w poszczególnych grupach i że jest to związane z pradawnymi wierzeniami, o których ślad dawno zaginął.

Ludzie zapewniali się nawzajem, że muzykanci władają tajemniczymi mocami i dlatego należy ich traktować z dużym szacunkiem i bardzo grzecznie, aby ich nie obrazić.

Nie można było w ogóle wyobrazić sobie tego, co mogłoby spotkać osobę, która naraziłaby się Zakapturzonym. Podobno ludzie znikali z zamków zaraz po ich wizycie. Mówiono, że nawet dzikie zwierzęta trzymają się od nich z daleka.

Jeśli chodzi o wygląd muzykantów, to na ten temat opinie były bardzo różne. Nikt nie wiedział, co kryło się pod długimi i szerokimi, szarymi habitami, zakrywającymi całe ich ciała, ani jakie były ich twarze i głowy, ukryte pod wielkimi, szpiczastymi kapturami, które miały jedynie dwie szpary na oczy i jedną na usta.

Nawet ręce w cienkich szarych rękawiczkach były zawsze schowane w rękawach habitów, poza chwilami, kiedy muzykanci grali.

Z dreszczykiem emocji ludzie zadawali sobie pytanie, jak wyglądają?

Dziwiło też, że nie wchodzili nigdy na teren zamku, ale zawsze domagali się przygotowania mieszkania za murami i składania jedzenia w koszach przed drzwiami tego domostwa.

Tak też zawsze czyniono i każdy zamek posiadał długą i niską szopę zbudowaną dla Zakapturzonych. Tam odpoczywali aż do dnia występu, podsycając gorącą ciekawość ludzi, którzy wykorzystywali najbardziej błahy pretekst, aby wdrapywać się na mury, w nadziei, że w chwili nieuwagi, uda im się podpatrzeć wygląd muzykantów. Ale to się nigdy nie udawało.

Czas biegł i wreszcie nadszedł oczekiwany dzień.

Wiadomość o tym przyniosło dziecko.

Zsunęło się bardziej niż zbiegło ze schodków prowadzących na mury krzycząc:

– Idą, idą!

W ułamku chwili zostały odstawione narzędzia pracy i wszyscy rzucili się w stronę murów. Otwarto główne wrota i delegacja złożona z sześciu mężczyzn i sześciu kobiet wyszła ku gościom niosąc dary.

Pozostali wyglądając zza murów czekali pełni skupienia.

Dwunastu Zakapturzonych szło parami, z rękami w rękawach habitów i spuszczonymi głowami.

Na plecach mieli szare worki zawierające ich skromne mienie, a na ramionach nieśli starannie zawinięte w ciężkie materiały instrumenty muzyczne.

Posuwali się wolno, jakby pogrążeni w rozmyślaniach.

Delegacja zatrzymała się w odległościu około dwóch metrów od muzykantów. Złożyli przed nimi kosze z jedzeniem i napojami i pokłonili się z szacunkiem.

Muzykanci również się pokłonili. Był to krótki ukłon, po którym pozostali nieruchomi, dopóki delegacja nie wróciła do zamku i wrota nie zostały zamknięte.

Dopiero wtedy zebrali pozostawione dary i ruszyli w stronę przeznaczonego dla nich domostwa.

Między tymi, którzy brali udział w tej ceremonii, był Helmer, osiemnastoletni syn pana zamku.

Drżał z radości, z ciekawości i podniecenia. Nareszcie!

Czekał na nich od trzech lat. Tyle czasu upłynęło od momentu, gdy byli tu ze swoją muzyką poprzednio. Ich przybycie uważane było zawsze za bardzo ważne wydarzenie, a nie zjawiali się nigdy częściej niż co dwa, trzy lata.

W ciągu trzech dni przed dniem muzyki Helmer nie istniał dla swoich bliskich.

Każdą chwilę wolną od zajęć – a był drwalem – spędzał w pobliżu mieszkania gości, trzymając się jednak w rozsądnym oddaleniu.

Widział ich czasami jak wychodzili, szczelnie opatuleni w swoje habity, zawsze oderwani od tego, co ich otaczało, zawsze pełni gracji w swoich ruchach.

Helmer miał ochotę porozmawiać z nimi. Ale jak się zdobyć na odwagę?

Zaraz po zakończeniu poprzedniej wizyty Zakapturzonych zabrał się do budowy instrumentu muzycznego, wzorowanego na tych, których używali oni. Po niezliczonych próbach udało mu się stworzyć rodzaj długiego i cienkiego rogu.

W ciągu minionych lat, mimo napomnień i rad, często opuszczał zamek, udając się w odludne miejsca, gdzie mógł używać tego instrumentu, usiłując wydobyć z niego melodię.

Wydawało mu się, że ma już pewne osiągnięcia, ale jakże mógł być tego pewien, nie zasięgnąwszy rady muzykantów?

Wiedział również, że to, co zrobił, było zabronione, gdyż dla ludzi z jego otoczenia muzyka łączyła się z magią, ale jakaś siła wewnętrzna nakazała mu zlekceważyć ten zakaz.

A teraz wreszcie przybyli!

Po trzech dniach nadszedł oczekiwany moment – dzień muzyki. W południe wszyscy porzucili codzienne zajęcia. Przygotowali się bardzo starannie i ruszyli niosąc stołeczki, poduszki i koce, w stronę miejsca, z którego mieli słuchać cudownej muzyki w wykonaniu Zakapturzonych.

Wszyscy byli w podniosłym nastroju. Nie było kłótni, hałasu, wesołych żartów, tak zwykłych w inne dni świąteczne.

Helmer usiadł w pierwszym rzędzie, aby być jak najbliżej muzykantów.

Niebo pociemniało, a słuchacze siedząc w nieruchomych szeregach czekali.

Wreszcie drzwi domu zajmowanego przez Zakapturzonych otworzyły się i zaczęli po kolei wychodzić, trzymając w jednej ręce stołek, a w drugiej instrument muzyczny.

Obecni wstrzymali oddech, muzykanci ukłonili się, zasiedli na swych stołkach i zaczęli grać.

Najpierw były to łagodne trele, delikatne melodie, mające na celu zmniejszenie napięcia ludzi siedzących półkolem, w pewnej odległości od grających, po czym nastąpiła melodia powolna, rozdzierająca, nostalgiczna.

Od tej chwili każdy był tylko z sobą samym.

Melodie i ballady następowały jedna po drugiej, słodkie, smutne, pełne bolesnych cech, brzmiące niekończącym się żalem i cudownymi nadziejami. Ludzie gubili się w wizjach wywoływanych przez muzykę.

Przenosiła ich ona w tajemny świat i każdy słuchacz odbierał ją inaczej.

Muzyka rozbrzmiewała i rozbrzmiewała, aż zapadła nocna ciemność zastępująca szarość zmroku. Potem brzask rozproszył czerń nocy.

Nikt się nie poruszał, nikt nie rozmawiał, śpiew roztaczał się ponad wszystkimi jak płaszcz rozciągnięty nad nimi.

Helmer, jak i wielu innych, miał policzki zroszone łzami, podczas gdy fale muzyki spowijały go i przenosiły w świat bogaty w światła, kolory, cuda. W tym świecie biegł swobodny po białym piasku plaż morskich, wdrapywał się na śnieżne stoki gór, odpoczywał na szczytach, mając nad sobą niebo, a wokół łąki pełne kwiatów, a potem leżąc na trawie kochał dziewczynę o białej skórze i złotych włosach. Wreszcie odnajdywał siebie w wielkiej, wysokiej sali, o ścianach pokrytych malowidłami, oświetlonej niezliczonymi światłami i śpiewał wraz z innymi hymny ku czci nieznanego, tajemniczego Pana.

Nie zdawał sobie sprawy ze wschodu słońca, z obecności ludzi ani z muzyki, która zamilkła.

Otrząsnął się dopiero wtedy, gdy poczuł rękę matki, opartą łagodnie o jego ramię.

Rozejrzał się zmieszany wkoło, a gdy zobaczył, że i ona płakała, poczuł się z nią związany jak nigdy przedtem.

Miłość jego była pełna bólu, bo wiedział, że musi się rozstać z matką.

Uśmiechnął się do niej ze smutkiem, a potem odwrócił, aby przyjrzeć się muzykantom.

Siedzieli jeszcze i wydawali się być bardzo zmęczeni. Ich plecy były zgarbione, jakby pod wpływem wysiłku, który trwał zbyt długo, jakby wyczerpały ich wizje wywołane własną muzyką.

Helmer siedział nieruchomo, podczas gdy ludzie jeszcze w ciszy, jeszcze pod wpływem oczarowania, zbierali swoje rzeczy i wolno, niechętnie wracali do zamku.

Tego dnia nikt nie pracował. Każdy chciał być sam, aby przeżywać to wszystko, czego doznał w czasie tych drogocennych godzin.

Helmer nie ruszył się nawet wtedy, gdy jego matka, ojciec i brat się oddalili.

Pozostał tak długo, aż został wreszcie sam z muzykantami.

Wtedy dopiero wstał i zbliżył się do nich. I dopiero wtedy oni się poruszyli, odsuwając się od niego, jakby chcąc uciec.

Ale zdecydowany młodzieniec szedł dalej i zatrzymał się dopiero o kilka kroków przed nimi.

– Chcę pójść z wami – powiedział. – Chcę nauczyć się grać, tak jak wy.

Wydawało mu się, że dwanaście par oczu przeszywa go na wskroś, tak intensywnie czuł wbity w siebie wzrok Zakapturzonych. Nikt nie otworzył ust.

Helmer był onieśmielony, przerażony, ale jego decyzja była niewzruszona.

Wyciągnął swój róg i zaczął grać. Jakże nędzna była jego muzyka w porównaniu z ich graniem! Ale od czasu do czasu udawało mu się wydobyć dźwięk doskonały.

Potem jeden z Zakapturzonych przemówił i Helmer zadrżał słysząc szorstkie, niskie, nienaturalne brzmienie jego głosu. Pomyślał, że nikt dotąd nie słyszał głosu muzykantów.

Zakapturzony mówił:

– Nie wiesz, czego domagasz się, chłopcze. Iść za nami, stać się cząstką naszego Bractwa? Oznacza to oddalenie się na zawsze od miejsc i osób znanych. A gdybyś nawet kiedyś przypadkowo tu wrócił, nie mógłbyś dać się poznać.

– To nie ma znaczenia – powiedział chłopak. – Muzyka jest ważniejsza.

Zakapturzony odpowiedział:

– Przemyśl to, mój chłopcze. Odchodzimy stąd tej nocy i nie możemy zabrać cię ze sobą. Ale pomówimy o tobie z naszymi braćmi i następna grupa, która będzie przechodzić tędy, zabierze cię, o ile będziesz jeszcze zdecydowany przyłączyć się do nas.

– Ale przejdą lata! – wykrzyknął Helmer. – Czekam już tak długo!

Muzykanci zgarbili się jeszcze bardziej, jakby całkowicie owładnęło nimi zmęczenie.

Szeptali między sobą, a chłopak nastawiał uszu, ale nie zdołał nic usłyszeć. Wreszcie ten sam Zakapturzony zwrócił się znowu do niego władczym tonem.

– Posłuchaj, synu. Musimy się jeszcze naradzić i musimy również wypocząć, bo jesteśmy zmęczeni. Wróć dziś wieczorem, o zmroku. Powiemy ci, co zdecydowaliśmy. Odejdź teraz i nie nalegaj. W tej chwili nic nie możemy ci powiedzieć.

Helmer poddał się. Zapewnił, że wróci wieczorem i ruszył w stronę zamku.

Resztę dnia spędził w stanie podniecenia.
Był przekonany, że uda mu się zjednać muzykantów. Był tak tego pewny, że przygotował zawiniątko ze swoimi rzeczami.

Wreszcie nadeszła godzina spotkania. Gdy Helmer, drżąc z podniecenia i trzymając w rękach zawiniątko zbliżył się do domu zajmowanego

łączyć, akceptując nasz tryb życia i powolne, lecz nieuchronne zarażanie się chorobą i związany z nią rozkład ciała, rany i utratę włosów. Sam się o tym przekonasz. Czy czujesz nikły zapach, który z nas się wydziela? To z tego powodu nie zbliżamy się do jarmarków, a nie w związku z praktykami magicznymi czy też religijnymi. Musiałem ci to powiedzieć, ale to jeszcze nie wszystko. Musisz zobaczyć, jakimi jesteśmy w rzeczywistości. Bracia! Pokażmy się nowemu bratu.

żył, że jeden z
iami. Był to chy-
niej rozmawiał.
orstkim i suro-

Zakapturzeni jednakowym ruchem zrzucili habity i kaptury i ukazali się Helmerowi w krótkich białych tunikach, które pozostawiały odkryte ramiona i nogi. Twarze były obnażone i bezbronne.

Między Zakapturzonymi były kobiety i byli mężczyźni.

Helmer wzdrygnął się i cofnął o krok potykając się o stołek, na

W
przez Zakapturzonych zauwa
nich czeka na niego przed drzw
ba ten sam, który z nim wcześ
I rzeczywiście tak było.
– A zatem przyszedłeś, synu – powiedział s
wym głosem.

– Musiałem.

– Rozumiem. Mówiliśmy o tobie, o twoim pragnieniu przyłączenia się do nas. Wierzymy w twoją szczerość, w twoje dobre chęci i myślimy, że może być z ciebie dobry muzyk. Posiadasz zdolności. Naszym zadaniem będzie pomóc ci rozwinąć twoje umiejętności. Ale raz jeszcze ostrzegam cię – na zawsze będziesz pozbawiony wszelkich więzów z istotami ludzkimi i na zawsze związany z Bractwem. Aż do śmierci. Nie będziesz mógł się oswobodzić. Czy czujesz się do tego zdolny?

– Tak. Od trzech lat oczekuję tej chwili. Zostać przyjętym do Bractwa, to jedyne moje pragnienie.

– Nawet gdyby oznaczało to okrutną i być może przedwczesną śmierć?

Helmer milczał, wydawało się, że się namyśla. Po czym powiedział:

– Tak.

Zakapturzony ustąpił.

– Dobrze. Jeżeli chcesz tego, niech się tak stanie. Nie jesteś pierwszym, który się do nas przyłącza. Nikt tego nie żałował. Światło, które płonie w twoich oczach, mówi mi, że tak samo będzie z tobą. Ale muszę cię ostrzec. Czy mówiłeś o tym postanowieniu ze swymi bliskimi?

– Nie. Zostawiłem rysunek, który wyjaśni im wszystko. Umieściłem go w miejscu, w którym znajdą go rano.

– Wejdź zatem, synu. Pozdrawiam cię.

Z bijącym sercem Helmer wszedł do domu, w którym siedząc w krąg, czekali na niego Zakapturzeni.

Przypatrywali mu się uważnie przez szpary w kapturach, po czym wstali, ukłonili mu się i znowu usiedli.

Podniecenie i radość ogarnęły chłopca.

Głos muzyka, który wszedł za nim do wnętrza sprowadził go na ziemię.

– Posłuchaj, synu – powiedział – są sprawy, o których musimy ci powiedzieć. Ale, gdy je raz usłyszysz, będziesz związany z nami na zawsze. Zostaniesz z nami do końca, nawet gdybyś chciał zmienić twoją wolę.

Helmer nie rozumiał. Słowa te wydały się groźne, chociaż głos, który je wypowiadał, był jedynie smutny.

– Siadaj – powiedział muzykant.

– Ależ ten stołek jest przeznaczony dla ciebie – zaprotestował Helmer.

– Jednak siadaj...

Chłopak usiadł.

– Słuchaj więc. Teraz wyjawię ci naszą tajemnicę. Nie zna jej nikt poza członkami naszego Bractwa. W odległych czasach panowała zaraza, o której pamięć już zaginęła. Umarły miliony i miliony ludzi, a na Ziemi zapanowało barbarzyństwo. Nieliczne osoby uniknęły zarażenia i wy jesteście ich potomkami. Innym udało się wyzdrowieć. Chorobę nazwano „niebieskim morbusem" od niebieskawego koloru, jaki przybierała skóra w momencie śmierci. U tych, którzy pozornie wyzdrowieli choroba posuwała się jednak w sposób ukryty, nawet jeśli nie skracała długości ich życia. Choć ocaleli, zostali postawieni poza nawias społeczeństwa ponieważ kontakt z nimi groził zarażeniem. I w ten sposób powstały dwie różne i rozdzielone rasy. Przez pewien czas ozdrowieńcy płodzili dzieci, ale i one rodziły się zarażone, rodziło się więc ich coraz mniej. Dzieci miały dwie charakterystyczne cechy: niebieskawy kolor skóry i wspaniale rozwinięty talent muzyczny. I tak z upływem czasu narodziło się nasze Bractwo. Potrzeba komunikowania się z innymi poprzez muzykę była ogromna, lecz także ogromna była potrzeba chronienia się przed wzrokiem ludzi w obawie przed prześladowaniami. Niestety, gdy świat nas zaakceptował i zaczęły się rodzić na nasz temat legendy, straciliśmy zdolność płodzenia dzieci. W pomroce dziejów zaginęły wspomnienia o zarazie i istniejącej przed nią cywilizacji, a nasza muzyka dawała ludziom szczęście. Zdecydowano wtedy, aby przyjmować do naszego grona osoby młode, które odkryły, że kochają muzykę i postanowiły się do nas przy-

którym uprzednio siedział.

Pozostali przypatrywali mu się z melancholią nie pozbawiona dumy.

Chłopak na chwilę zamknął oczy, jakby chcąc uciec od tego widoku, po czym otworzył je i już bez drżenia przypatrywał im się długo.

Ciała były w różnym stadium choroby.

Helmer zatrzymał wzrok na młodej kobiecie o białej jeszcze skórze, ale już w wielu miejscach poprzecinanej sinymi pręgami. Wokół szyi, na przegubach rąk, na kostkach u nóg miała małe, zaschnięte ranki, pokryte jakby różową łuską. Również na twarzy niebieskawe plamy szpeciły szlachetne rysy, a na suchych wargach łuszczyła się skóra. Włosy koloru miedzi opadały mato-we, prawie martwe.

Było smutne i przykre obserwować zniszczenie kobiety, która mogła być bardzo piękna, zanim dotknęła ją zaraza.

Helmer oderwał od niej wzrok i odwrócił się, aby spojrzeć na tego, który z nim rozmawiał i który, jak się wydawało, był już w ostatnim stadium choroby.

Skóra, a raczej to, co z niej pozostało, była pokryta ropnymi krostami, półotwartymi ranami, skaleczeniami, była też całkowicie niebieska. Czaszkę miał gołą i pokrytą różową skorupą, skórę twarzy również usianą krostami. Nawet oczy miał otoczone małymi różowymi skorupkami.

Pozostali byli w różnych stadiach tej samej choroby.

Ale ich spojrzenia pełne były mądrości i dobroci mimo ruiny ciał.

Po pewnym czasie chłopiec odezwał się:

– Jak możecie muzykować mając takie usta i takie ręce?

Muzykanci uśmiechnęli się słysząc pytanie, które świadczyło, że jednak myślał o muzyce.

Młoda kobieta odpowiedziała w imieniu wszystkich:

– Możemy grać, przecież nas słyszałeś. Ta choroba jest bolesna tylko w pierwszym stadium. Potem skóra zmieniając kolor traci wrażliwość na ból i możemy się poruszać bez żadnych trudności. Czy pozwolisz, że się już ubierzemy? – spytała uprzejmie. Jej głos był również lekko ochrypły.

– Tak – wyszeptał Helmer.

Zamyślił się, a Zakapturzeni uszanowali jego milczenie.

To, co zobaczył, było straszne. Myśl, że również jego ciało, teraz białe i piękne, zostanie zniszczone podobnie jak ich, sprawiła, że zadrżał ze strachu i obrzydzenia. Ale jednak jego umiłowanie muzyki, tych melodii, radość, jaką daje niesienie światu piękna i wizji, jakie wywoływała u innych ta muzyka, zdecydowały.

Chciał zostać. MUSIAŁ zostać. Był jednym z nich.

– Czemu to ukrywacie? – chciał wiedzieć.

– Aby uchronić się od prześladowań – odpowiedziała młoda kobieta. – Ludzi dręczą tysiące obaw, lęków. Chętnie przyjmują tajemnice, a nawet rozkoszują się nimi, ale gdyby zobaczyli to, co ty widziałeś, chcieliby skrzywdzić nas ze strachu przed zarażeniem się. Dzięki naszemu postępowaniu nie istnieje niebezpieczeństwo ani dla nas, ani dla innych, którzy trzymani w pewnej odległości nie są narażeni na zarażenie. A do tego jest jeszcze muzyka. Gdy jest się opanowanym przez ogień, który nas pożera, musi się go przekazywać w nadziei, że chociaż iskierka zapłonie w sercach i umysłach tych, którzy nas słuchają. Muzyka istnieje w każdym sercu ludzkim i zdarza się, że inni, podobnie jak ty, odkrywając to stają się członkami naszego Bractwa. Dlatego tajemnica jest konieczna: ludzie niszcząc nas, zniszczyliby największą i najczystszą radość, z której jest im jeszcze dane korzystać. Czy teraz rozumiesz? Znasz przyczyny tajemnicy, która nas otacza i którą utrzymujemy.

– Tak – odpowiedział chłopiec.

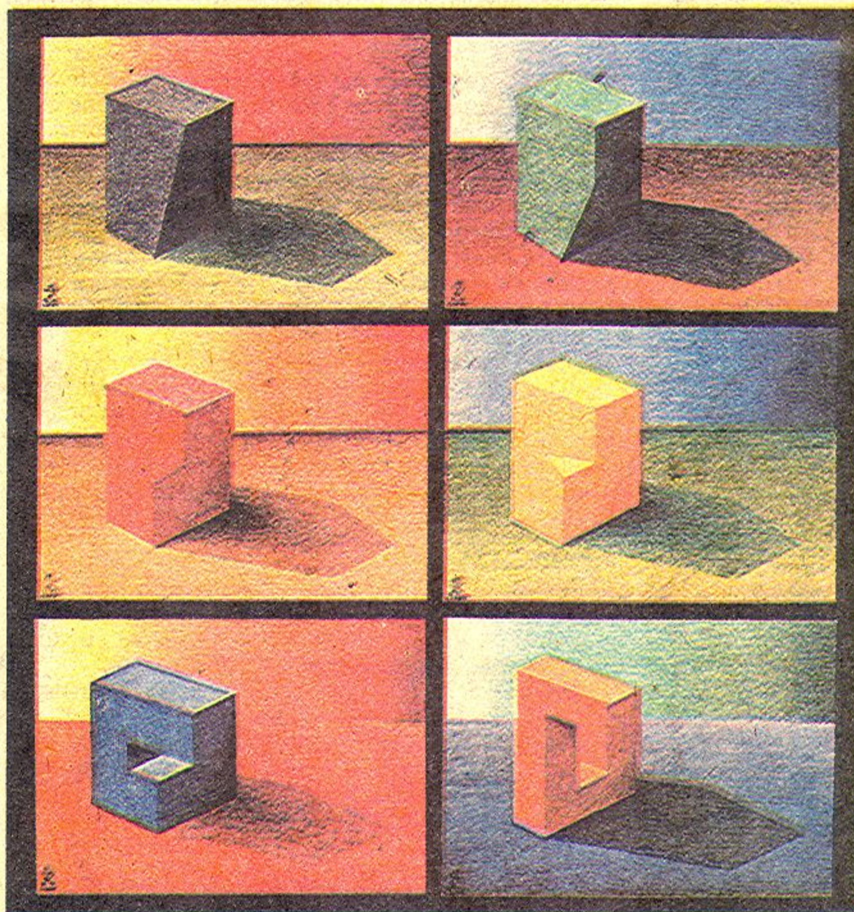
– I czy teraz chcesz się przyłączyć do nas z własnego, nieprzymuszonego wyboru?

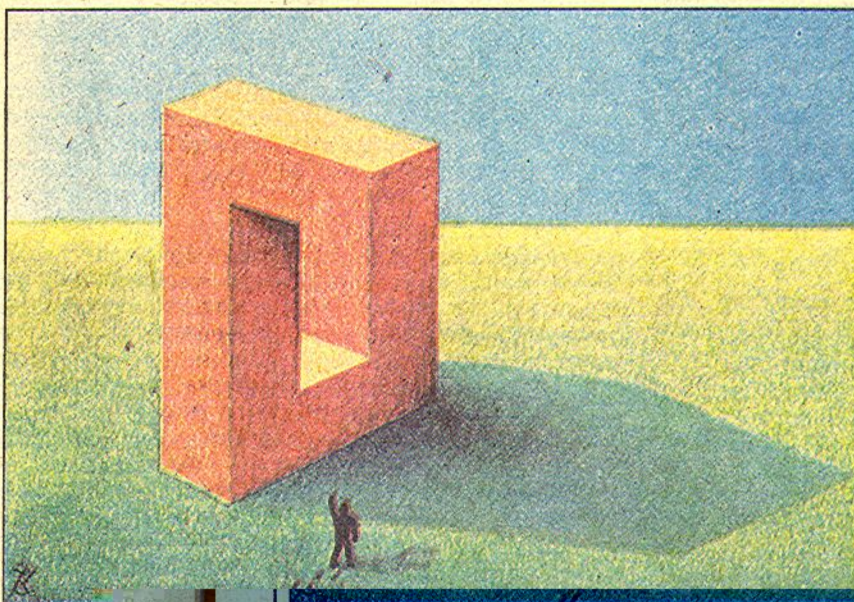
– Tak – odpowiedział Helmer. – Chcę.

Przełożyła Lidia Wanda Gal

FIGURY NIEMOŻLIWE

Zenon Kulpa



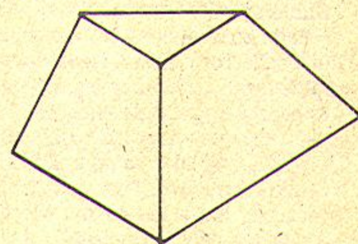


Co to są w ogóle owe figury niemożliwe? Są to obrazy rzeczy, które sprawiają wrażenie obiektów przestrzennych, takich jednak, że ich przestrzenna konstrukcja nie jest możliwa – prowadzi bowiem do nierozwiązywalnych sprzeczności i paradoksów geometrycznych.

Figury te ukazują ograniczoność naszych nawyków patrzenia i rozbijają przekonanie o poprawności i pełni naszego widzenia świata, który przywykliśmy na co dzień rozumieć jedynie w standardowy sposób. Ukazują również możliwości kreowania (lub wręcz istnienia) innych światów, o odmiennej strukturze przestrzeni i konstrukcji rzeczywistości. Czyż nie jest to fantastyka w najczystszej formie?

Jednocześnie figury te, zaklasyfikowane przez psychologów jako nowy typ złudzeń wzrokowych – złudzeń przestrzennej interpretacji obrazów – dostarczają wielu informacji o mechanizmach widzenia, mechanizmach wciąż pod wieloma względami tajemniczych. Używane są więc często w badaniach psychologicznych percepcji wzrokowej i do testowania umiejętności przestrzennego widzenia i wyobraźni przestrzennej. Interesują się nimi również matematycy i informatycy, zajmujący się konstrukcją programów komputerowych zdolnych do modelowania mechanizmów widzenia. Figury niemożliwe pomagają tutaj określić podstawowe zasady przestrzennego „rozumienia" obrazu przez komputer.

Badając bliżej te figury odkryto już sporo interesujących zjawisk. Oprócz figur niemożliwych (dla których obserwator znajduje niemożliwą interpretację przestrzenną i fakt tej niemożliwości wyraźnie dostrzega) odkryto tzw. figury prawdopodobne, gdzie fakt niemożliwości ich przestrzennej interpretacji przyjmowanej przez obserwatora nie jest przez niego dostrzegany (np. ścięta piramida na rysunku).



możliwa czy niemożliwa piramida?

Z kolei dla tzw. figur nieprawdopodobnych zachodzi zjawisko odwrotne – zazwyczaj przyjmowana ich interpretacja jest całkowicie poprawna, lecz wielu obserwatorów uważa ją za niemożliwą do realizacji (np. tzw. pięciokąt Cesariego).

stronie 15

*T*ak zwanych figur niemożliwych właściwie wcale nie ma i być nie może. Lecz nam – fantastom – nie powinno to przeszkadzać, wręcz przeciwnie! Przedstawiamy zatem Czytelnikom to, czego nie ma: geometryczno-wizualną fantastykę figur niemożliwych. Konrad Fiałkowski określił kiedyś SF jako „tworzenie rzeczywistości pomyślanej" i przyrównał ją do figur niemożliwych, konkludując: „... nic tak dobitnie nie symbolizuje fantastyki naukowej jak właśnie »diabelskie widły«".

diabelskie widły

pięciokąt Cesariego

Zaraza była jak płaszcz czarniejszy od najczarniejszych chmur, ciemniejszy od najciemniejszej nocy, spływała na mokrą ziemię w rytmicznym bębnieniu deszczu. Rozpościerała się, jak bezkształtny cień, okrywając domy i ludzi, którzy poruszali się pod nim bez chwili spokoju, przyzywając raz Boga chrześcijańskiego, raz cień Zalmoxisa. Otulała pola kukurydzy i drzewa owocowe, zabijała ludzi i zwierzęta, naznaczała swoją pieczęcią wrota domostw, gdzie wieśniacy na próżno zawieszali czosnek, by oddalić zło; nie reagowała nawet na obrzędy solomonarów robiących wszystko, aby powstrzymać epidemię.

Ale zaraza była również Czarnym Rycerzem.

Poprzedzając ją, jak demon, pędził Giulio della Torre Rossa uciekający przed swoim cieniem. Od Calugareni do Bucuresti, od Tirgoviste do Pitesti, pędził ścigany przez swój strach w fali zarazy, która nie pozwalała na chwilę wytchnienia. Mknął ścigany przez Rycerza; on, który nigdy nie bał się nikogo, popędzał konia często odwracając głowę.

W swoim biegu zatrzymał się nagle tknięty niedobrym przeczuciem, kiedy zobaczył wyrastającą jak spod ziemi magiczną gardziel skalistego wąwozu otwierającego się wśród gór. Duża wieża, która strzegła doń wejścia odcinała się na tle otoczenia stanowiąc obraz godny porównania z wyrafinowanymi widokami rodzimej Wenecji, z mozaikami, które widział w Istambule.

Gorzki uśmiech pojawił się na jego twarzy. Coś mu mówiło, że to miejsce będzie dla niego zgubne. Zwolnił kłusa i dojechał do końca wąwozu zatrzymując się przed grupą żołnierzy strzegących wejścia.

– Witaj, rycerzu – powiedział jeden z nich, który wyglądał na kapitana – skąd przybywasz? I kim jesteś?

Giulio podniósł rękę na znak powitania.

– Bądź pozdrowiony ty, kapitanie i twoi ludzie. Nazywam się Giulio della Torre Rossa, pochodzę z Wenecji... jadę z Calugareni wzdłuż drogi zarazy i zmierzam na północ.

Kapitan uśmiechnął się lekko. – Witaj więc w Turnu Rozu. Ale pozwól mi powiedzieć, że to dziwne, iż człowiek przybywający z tak daleka nosi takie samo imię jak to miejsce.

Giulio skamieniał. Turnu Rozu? Zbieg okoliczności, czy może przeczucie, które kazało mu wyprzedzić tak znacznie zarazę miało jakieś głębsze znaczenie? Być może było to właśnie miejsce, gdzie miał wreszcie spotkać się z Rycerzem.

Jeden z żołnierzy wystąpił do przodu:

– Jakie wieści nam przynosisz, rycerzu? Gdzie jest zaraza? A Turcy?

– Zaraza, przed którą uciekam jest w Pitesti, dalej się nie posunęła, ale nikomu nie udało się jej zatrzymać. Mihaj Viteazul organizuje siły do walki przeciw Turkom, ale Turcy docierają ze wszystkich stron. Wenecja prowadzi wojnę z piratami, kraje śródziemnomorskie stoją w płomieniach, podczas gdy Chrześcijaństwo sposobi się do wojny. Widziałem od Chilii do Bucuresti, w każdej wiosce ludzi przygotowujących się do walki przeciw poganom i wszędzie cień bitwy. – Podniósł lewą rękę owiniętą bandażami poplamionymi krwią od ramienia do łokcia. – Otrzymałem to jako prezent urodzinowy w Calugareni...

Człowiek popatrzył na niego zmieszany. – Ty walczyłeś przeciwko Turkom? Ty... więc jesteś tym, którego nazywają Juliu Gel Ucigas, Wenecjanin... człowiek, który sam zatrzymał gwardię Sinana!

Giulio przytaknął: – To ja, kapitanie. Ale od tamtej pory minęło wiele czasu, uciekam przed zarazą, zamiast z nią walczyć. Żaden człowiek, nawet najbardziej mężny, nie może jej przezwyciężyć. Trzeba by innej broni, której ja nie posiadam. Mogę stawić czoła ludziom, zabijać Turków, ale jestem bezsilny wobec zarazy.

Kapitan pokiwał smutno głową i dał znak strażom, aby zrobiły przejście dla przybysza.

– Każdy człowiek, o ile nie jest to solomonar, jest bezsilny wobec zarazy. Jedź, Juliu Cel Ucigas, podążaj naprzód wąwozem, dalej znajdziesz miasteczko, gdzie będziesz mógł odpocząć i leczyć się dopóki będziesz chciał, dopóki nie nadejdzie odpowiednia chwila.

Giulio pozdrowił kapitana, spiął konia i skierował się ku Turnu Rozu.

Dopóki nie nadejdzie odpowiednia chwila – myślał rycerz patrząc rankiem przez okno zajazdu na ulicę i na ludzi, którzy przechodzili obojętnie – ale jaka chwila, kiedy i jak będę mógł ją rozpoznać? Prawda jest taka, że uciekam przed sobą samym i nie chcę się do tego przyznać. Przenoszę się z miejsca na miejsce, uciekam z miasta do miasta, od kiedy zostałem rycerzem i później, kiedy wstąpiłem do Bractwa Smoka... i teraz, gdy po raz pierwszy spotkałem przeciwnika silniejszego ode mnie, uciekam ze zdwojoną siłą.

Słońce, które oświetlało niskie domy z drewna i z kamienia, i bramy ozdobione różnymi motywami przypomniało mu przez chwilę, jak wiele lat wcześniej opuścił Wenecję przysięgając przed sobą samym, że już nigdy tam nie wróci. Ranek był taki jak ten, takie samo słońce i czyste powietrze po deszczu i Plac Świętego Marka pełen ludzi... być może to ona miała rację, podsumował odpędzając inne myśli.

Ramię już go prawie nie bolało. Aptekarz, sprowadzony przez właściciela zajazdu, używając swoich ziół powstrzymał krwotok i rana zaczęła się zasklepiać. Zalecił pięć, sześć dni odpoczynku. Aptekarz nie wiedział jednak o Rycerzu, który go ścigał, o zarazie, o niejasnych przeczuciach, które towarzyszyły jego ucieczce... a teraz Turnu Rozu?

Demon Incubus, który od tamtej pory pojawiał się u niego każdej nocy, ukazał mu fragment przyszłości śmiejąc się szyderczo: czerwona wieża, osiem białych ciał leżących na ziemi i dwaj przeciwnicy, jeden biały, drugi czarny. Może dotarł do końca swojej drogi i to go przerażało, a potem?

„Przerwa w ciszy" – powiedział on; a ona: „nie, nie może być ciszy, lecz muzyka..."

Aby odpędzić od siebie to wspomnienie postanowił przejść się po miasteczku, zjeść coś i wypić, może zagrać w tabla w jakiejś karczmie. Na razie miał jeszcze czas. Przypiął do pasa obosieczny topór i zszedł na dół. Pogodny, kolorowy poranek dopomógł mu w oddaleniu od siebie złych myśli. Wmieszał się w tłum handlarzy, wieśniaków, Cyganów i powoli zapomniał o swoich zgryzotach dając się ponieść tłumowi poruszającemu się bezładnie po ulicach Turnu Rozu.

Kiedy nadeszło południe wszedł do napotkanej karczmy. Zjadł befsztyk i wypił kilka kufli piwa. Czuł, że ludzie go obserwują, ale nie przeszkadzało mu to. Był przyzwyczajony, że uważano go za cudzoziemca i nawet, kiedy nosił strój wołoski, długie włosy i broda zdradzały, że jest przyjezdnym, rycerzem chrześcijańskim przybyłym nie wiadomo którędy w te okolice.

Kiedy skończył jeść, podszedł do niego karczmarz.

– Wybaczcie, rycerzu, dowiedziałem się, że przybywacie z bardzo daleka i walczyliście przeciw Turkom w Calugareni pod wodzą Mihaja Viteazula...

Giulio uśmiechnął się. – Tak jest rzeczywiście.

Karczmarz wydawał się zakłopotany. Spoglądał to na Giulia, to na innych gości, jak gdyby nie chciał zdecydować się mówić.

Waleczny

Giulio

Claudio Asciuti

(Giulio l'Uccisore)

– Jest w mieście inny rycerz, taki jak wy. Szuka cudzoziemca, który walczył w Calugareni... jest to człowiek wyższy i silniejszy od was, ubrany cały na czarno. Powiedział mojej żonie, żeby zawiadomiła rycerza, iż znajdzie go w zajeździe Sfintu Gheorghe...

Fala zimna przepłynęła przez ciało Giulia i poczuł jak pulsuje mu rana. On już tu jest, nie ścigał go, ale przybył przed nim. Przezwyciężył strach i zmusił się do zachowania spokoju, mimo że serce biło mu jak szalone.

– Czy dawno przybył ten rycerz?

– Chyba dwa dni temu, panie. Moja żona mówi, że widziała go jak tylko przyjechał... wyglądał, jakby pochodził z bardzo daleka. Poradziła mu, żeby udał się do tamtego zajazdu, a on, przekazawszy jej tę informację, nie pokazał się więcej.

Giulio potrząsnął głową. Zostawił karczmarzowi kilka monet i oddalił się.

W ten sposób ucieczka okazała się bezcelowa, pomyślał wychodząc na ulicę i poruszając się niepewnie wśród ludzi. Rycerz deptał mu po piętach, potem dogonił go nie wiadomo kiedy i wyprzedził, aby teraz czekać na niego... cóż za ironia losu!

Gospoda Świętego Jerzego, zabójcy smoka... a on był smokiem, ale również ona, która uciekała była smokiem.

Przeszedł się jeszcze kawałek i wrócił do swojego zajazdu. Wszedł na górę, do pokoju, położył topór na starym stole i wyciągnął się na łóżku. Nadszedł jego czas i Turnu Rozu ujrzy wreszcie śmierć Giulia della Torre Rossa, szlachcica weneckiego, rycerza, członka Bractwa Smoka, zaraza go zabije. Został już raz pokonany i musiał uciekać, podczas gdy śmiech Rycerza ścigał go po wszystkich drogach. Teraz żadnej litości. Mógłby uciec jeszcze raz, ale co by to dało?

Wstał, nie mógł pozwolić się pokonać jeszcze przed rozpoczęciem pojedynku. Zaczeka, aż ramię trochę się wyleczy, a potem stawi mu czoło, za każdą cenę i w jakikolwiek sposób, cokolwiek mogłoby się wydarzyć. I cała wiedza, jaką zdobył podczas podróży posłuży do tego, aby umrzeć z godnością. Podszedł do drzwi i upewnił się, że były dobrze zamknięte.

Potem wziął metalową miskę, napełnił ją czystą wodą z dzbanka i postawił na ziemi. Rozebrał się i usiadł przed nią, tak, jak go nauczono. Usiłował czytać na przezroczystej powierzchni cieczy, ale jedyną rzeczą, jaką udało mu się dojrzeć było pokryte arabeskami dno miski i odbicie jego zaniepokojonej twarzy. Mistrzu Czcigodny, pomyślał, ile lat minęło, od kiedy porzuciłem Niebieską Ścieżkę? Woda nie chciała mu odpowiedzieć. Był sam.

Minęło jeszcze kilka dni, zanim Giulio udał się do Rycerza. Były to dni przymusowej bezczynności i medytacji, w czasie których starał się na wszelkie sposoby przywrócić swojemu ciału siłę. Jadł, spał, czasem wychodził na spacer, kazał aptekarzowi zmieniać bandaże dwa razy dziennie w nadziei, że przynajmniej rana zagoi się całkowicie.

Aż w końcu przypiął topór i skierował się pod wieczór do zajazdu Sfintu Gheorghe przygotowując się na spotkanie z Rycerzem.

W zajeździe spytał o niego oberżystę, a ten wprowadził go na piętro i wskazując pokój uśmiechnął się, jak gdyby pośredniczył w spotkaniu dwóch mężnych rycerzy, którzy walczyli razem przeciwko Turkom.

Rycerz czekał już na niego. Siedział w fotelu na wprost stołu i przerzucał leniwie zapisane cyrylicą karty starej księgi. Był wysoki i silnie zbudowany, blady i ubrany w strój typowy dla zachodniego chrześcijaństwa. Kiedy Giulio wszedł, podniósł głowę i uśmiechnął się chłodno.

– Witaj, rycerzu.

Słysząc jego głos podobny do dźwięczenia kryształu Giulio zadrżał. Powstrzymał chęć pochwycenia topora i rozpłatania na kawałki przeciwnika i również go pozdrowił.

– Siadaj, rycerzu. Tyle czasu na ciebie czekałem. Zacząłem się nawet obawiać, że nie przyjdziesz.

Giulio usiadł na wskazanym mu fotelu.

– Jak widzisz, przyszedłem. Kiedy?

– Nie spiesz się, rycerzu. Jeszcze jest czas i są to ostatnie chwile, jakie ci zostały. – Uśmiechnął się i zamknął leżącą przed nim księgę. – Ostatnie.

– Nie bądź tego zbyt pewien.

– Już raz uciekłeś, rycerzu, chcesz uciec ponownie? Chcesz mnie sprowokować, aby zyskać na czasie? Czy też wydobyć swój wielki topór i zabić mnie? – wskazał na broń i zaśmiał się szyderczo. Potem powiedział drwiącym tonem: – Widzę, że nie masz już swojego miecza, co się z nim stało? Zgubiłeś go w walce? Czy wypadł ci podczas ucieczki?

Giulio zbladł i zacisnął zęby. Pomyślał, że mógłby go zabić od razu i jednocześnie zostać zabitym. Rycerz otwarcie go znieważał... nie powinien dać się ponieść gniewowi; właśnie tego chciał jego przeciwnik. Zmusił się do zachowania spokoju, zmusił się, żeby odpowiedzieć z zimną krwią:

– Wiesz dobrze, że podarowałem mój miecz... komuś, kto mógłby posiekać cię na kawałki i zostawić twoje ciało, aby gniło na deszczu i słońcu.

– Nie zrobił tego, ale w przeciwieństwie do ciebie, był odważny.

– Walczyliście! – Giulio zadrżał i uniósł się do połowy w fotelu z dłonią na rękojeści swojej broni. – Gdzie jest teraz? Mów nikczemniku, gdzie ona jest?

Rycerz skrzywił się.

– Jeszcze żyje, rycerzu, gdzieś w szerokim świecie... Ja zawsze szanuję odwagę, nawet jeśli jest zuchwała i bezsensowna.

Giulio wstał. Chciał odejść zanim wybuchnie, zanim zaatakuje bezbronnego człowieka, nawet jeśli ten człowiek był śmiercią, zarazą, złem.

– Kiedy więc?

– Chcesz mnie wyzwać?

– Chcę cię zabić.

– To ja wyzywam ludzi, a nie na odwrót. Zapamiętaj to sobie, rycerzu. Ja wyznaczam spotkania – wyprostował się w całej swojej okazałości – i ja je odwołuję. Ja decyduję o czasie i miejscu, nie ty. Ty możesz tylko czekać.

Giulio nic nie powiedział, odwrócił się i wyszedł z pokoju. Wyszedł z zajazdu w noc i szedł w ciemności rozjaśnianej od czasu do czasu lampami oliwnymi lub ogniskami, patrzył w gwiazdy, które ukazywały się powoli na niebie. Potem zmęczony chodzeniem wrócił do swojej gospody. Kiedy przechodził przez salę, gdzie ostatni goście rozmawiali pijąc wino, usłyszał z przerażeniem kilka razy słowo „zaraza" przekazywane z ust do ust i pomyślał, że koło wreszcie się zamknęło.

Codziennie budził się myśląc, że będzie to jego ostatni dzień, każdego wieczoru szedł spać zastanawiając się, kiedy ujrzy Rycerza. Wstawał, zachodził do aptekarza, potem odwiedzał garnizon, aby poćwiczyć trochę z żołnierzami, którzy próżnowali mając dużo wolnego czasu i byli szczęśliwi, że ten, którego nazywano Juliu Cel Ucigas, waleczny, uczy ich teraz walczyć. Jadł obiad i znów włóczył się po miasteczku, pieszo lub na koniu, albo też zamykał się w swoim pokoju. Potem kładł się spać. Incubus powracał jak zawsze, a on spał niespokojnie, aby zbudzić się z myślą o Rycerzu.

Było to mniej więcej siódmego dnia, kiedy zaraza zbliżyła się już do wąwozu, wychodząc rano usłyszał wrzawę na ulicach. Spytał jakiegoś przechodnia, co się dzieje, a ten wskazał mu główny plac, na którym zbierał się tłum.

Ranek był jasny i pogodny. Wśród niskich domów wąskimi uliczkami lud i żołnierze, wieśniacy i kobiety podążali w pośpiechu w kierunku placu. Giulio poszedł wraz z nimi, aż zrozumiał przyczynę zbiegowiska: środkiem placu szedł mały oddział zbrojnych eskortujących dwóch zakonników... i ją.

Kiedy ją zobaczył, stanął osłupiały. Poczuł, że serce bije mu jak szalone, a rana zaczyna gwałtownie pulsować. Ujrzał ją piękniejszą niż kiedykolwiek i skrył się między ludźmi, którzy wykrzykiwali jej imię.

Rodika była jak zawsze ubrana na biało i jak zawsze jechała na swoim karym arabie. W pochwie u jej boku dojrzał rozpoznawalny nawet z daleka Ultima Ultrix, miecz, który jej pewnego dnia – jakże dawno temu – podarował na znak swojej miłości, na łęku zaś oparła dużą tarczę z godłem Bractwa Smoka połyskującym w słońcu. Jechała wśród żołnierzy, uśmiechała się do tłumu, pozdrawiała wszystkich, a on, on krył się coraz bardziej.

Tłum kochał ją, lud całej Wołoszczyzny kochał tę amazonkę, która walczyła z Turkami, Saksończykami, Madziarami. Kochano tę kobietę nazywaną Dziewicą Mścicielką, a on pod Calugareni zwyciężał razem z nią Turków i został ranny, potem podarował jej miecz, spotkał Rycerza i uciekł...

Grupa zniknęła mu z oczu, w jego myślach jednak obraz jej białej szaty i płomiennych włosów odcisnął się z niewypowiedzianą siłą, jak cierpienie, którego ani rany, ani zaraza sprawić nie mogły.

Boże mój – pomyślał Giulio – sądziłem, że śmierć przybyła tutaj dla mnie, ale wszystko było bez znaczenia wobec tego, co dzieje się teraz...

Oddalił się w kierunku swojego zajazdu. Chwilami docierały do niego strzępy rozmów, ale i tak miał przed oczami tylko ją i słyszał jej głos odbijający się w głosach innych. Ludzie mówili o zarazie, o Rodice Dragomir, która przybyła, aby uratować Turnu Rozu, o obrzędach, które miały zapobiec zarazie, o Bractwie Smoka, o bitwie pod Calugareni, o Turkach. Wszystko wirowało wokół niego z niewiarygodną szybkością: kolory, słowa, a przede wszystkim promieniejąca światłem jej twarz tamtego ranka, tak dawno temu... Zbyt dawno.

Giulio doszedł do stajni, kazał dać sobie konia i wyjechał z Turnu Rozu, by nie widzieć i nie słyszeć nikogo.

Tej nocy nie zdołał zasnąć, prześladowany przez wspomnienia. Siedział w bezruchu na łóżku zagłębiony w swoich myślach, które przypominały pajęczynę z Rodiką Dragomir pośrodku splątanych nitek. Jakby przygotowując się do egzaminu z własnego życia Giulio przypominał sobie to co zrobił i czym był: okręty weneckie odbijające od brzegu z żaglami na wietrze, horda turecka atakująca z krzykiem i tajemniczy klasztor Shaolin, gdzie Czcigodny Mistrz uczył go siły wewnętrznej. Jego Mistrz, który wychował go w chrześcijaństwie i on, który wyrzekł się wszystkiego dla nowych bogów; kamienista pustynia ze swoimi zjawami, księżyc Istambułu, port w Chilii i on, który szedł zostawiając za sobą długi krwawy ślad, zabijając każdego, kto stanął mu na drodze. I ona, Dziewica Mścicielka.

Przypomniał sobie tamten dzień w obozie Mihaja Viteazula. W namiocie, wśród dywanów i arrasów, najlepsi wojownicy Wołoszczyzny dyskutowali z wodzem o zbliżającej się bitwie z oddziałami Sinana. Na zewnątrz szczęk broni i tętent koni mieszały się z głosami żołnierzy wznoszących wojenne okrzyki.

Giulio uśmiechał się, czuł jak krew pulsuje mu w żyłach, i jak jego Chi tchnie mu siłę w ramiona, a z ramion na Ultima Ultrix i aż do mózgu... siła.

Mihaj Viteazul mówił do swoich ludzi, ale on nie słuchał. Ze wzrokiem utkwionym w pustkę, uśmiechając się myślał o czekającej go walce. Potem przybył posłaniec, coś powiedział i odszedł; wtedy weszła ona. Wszyscy wojownicy skłonili się na znak szacunku. Giulio spojrzał na nią i jakby po raz pierwszy w swoim życiu zrozumiał, że walka i wojna były tylko częścią, tylko małą częścią jego życia.

Wszystko stało się kolorowym snem, w którym Giulio pogrążył się z nadzieją, że nigdy się nie skończy. Ona mówiła i uśmiechała się. Słońce, które przeświecało przez szpary namiotu, głaskało jej włosy i odbijało się od lśniącej białej szaty. Patrzył na nią [illegible] jak gdyby nag[illegible]dział, że ona również go obserwuje. Potem, w swoim śnie, ucałował jej dłoń i schylając się odkrył swoje przedramię naznaczone godłem Bractwa Smoka. Ona zobaczyła rysunek i pogładziła dłonią.

– Smok – wyszeptała i spojrzała mu w oczy długo, łagodnie.

Giulio uśmiechnął się. Ona wskazała identyczne godło wyszyte na swojej szacie.

– Jesteśmy towarzyszami broni, rycerzu.

– Mój Smok, pani – odpowiedział Giulio – jest towarzyszem innego zwierzęcia. – Mówiąc to odkrył drugie ramię, gdzie widniał wizerunek Tygrysa.

Ona potrząsnęła głową.

– Po bitwie, rycerzu, jeśli obydwoje przeżyjemy, opowiesz mi o twoim tajemniczym Smoku i o jeszcze bardziej tajemniczym Tygrysie.

Przeżyli oboje.

Giulio della Torre Rossa walczył jak nigdy przedtem w swoim życiu. Ostrze Ultima Ultrix gwizdało przy każdym ciosie i za każdym razem otwierało przed sobą wolną przestrzeń. Kiedy został otoczony przez gwardię Sinana i spadł z konia, zaczął miotać się we wszystkie strony zataczając mieczem tajemnicze kręgi, dopóki ostatnie niedobitki nie rzuciły się do ucieczki. Nieco dalej Rodika zagrzewała do walki swoich żołnierzy i jej miecz również siał spustoszenie w szeregach wrogów. Kiedy wszystko się skończyło i cały obóz świętował, zbliżyła się do Giulia zbryzganego krwią nieprzyjacielską i z głęboką raną na ramieniu, mówiąc:

– Dziwna jest ta twoja broń.

Giulio skłonił się, wydobył miecz z pochwy i podał Rodice z ponownym ukłonem. – Po tym, jak widziałem cię, pani, walczącą nie jestem godzien go nosić...

Giulio otrząsnął się z własnych myśli. Nie mógł skończyć w ten sposób. Uciekł przed zarazą, a ona z nią walczyła; kiedy on stchórzył, ona stanęła na placu boju. Nie obchodziła go już własna śmierć, ale ona, ona nie mogła umrzeć.

Wstał i podszedł do okna. Już prawie świtało i z daleka słychać było rżenie koni. Ubrał się, przypiął do pasa topór i wyszedł, aby spotkać się z Rycerzem.

Kiedy wszedł do jego pokoju, wydawało mu się, że nic się nie zmieniło od ostatniego razu: Rycerz siedział na tym samym miejscu i czytał leżącą przed nim księgę. Podniósł głowę i uśmiechnął się zimno.

– Witaj ponownie, rycerzu. Siadaj, proszę, noc jest jeszcze długa.

Giulio usiadł. – Przyszedłeś po nią, prawda?

Tamten potrząsnął głową. – Nie mów mi, rycerzu, z kim mam się zmierzyć.

– Weź mnie, zamiast niej.

– Wezmę oboje.

– Dlaczego więc jesteś tutaj?

– Dlatego, że muszę tu być. I ty, i ona, kiedy wszystko będzie skończone, staniecie przede mną i zabiorę was.

– Kiedy co będzie skończone?

Człowiek wykonał gest ręką.

– To przypadek, że Rodika znalazła się tu, w Turnu Rozu. Ale natychmiast, zaledwie się pojawiła, miejscowi solomonarowie przygotowali obrzędy, aby mnie powstrzymać u wrót miasta. Nic w tym złego, prawdę mówiąc, ponieważ, jak wiesz, nic sobie nie robię z czarów, ale właśnie Rodika pokieruje obrzędami. Potem zmierzycie się ze mną.

Giulio poczuł drżenie wstrząsające jego ciałem.

– To nieprawda.

Na twarzy Rycerza pojawił się grymas. – Jest tak, jak przypuszczasz i nie mam zamiaru nakłaniać cię do zmiany zdania. Ale zapewniam cię, że obydwoje nie ujrzycie świtu pojutrze.

– Słuchaj – powiedział Giulio drżąc – słuchaj. Proponuję ci układ: weź mnie i zostaw ją w spokoju. Zabiję kogo tylko chcesz, zrównam z ziemią, jeśli trzeba, całe Turnu Rozu; ale proszę cię, daj jej spokój.

– Są losy, których nawet ja nie mogę zmienić. Twoje prośby są daremne tak jak i niespodziana odwaga, która wydaje się tobą kierować. Teraz odejdź, ze mną nie wolno się targować. Twoje towarzystwo mnie nuży. Spotkamy się jeszcze.

– Idź do diabła!

Rycerz pokiwał głową: – Tak. I pozwól, że ci powiem ostatnią rzecz. Wiesz, dlaczego dręczy cię niepokój? Wiesz? Wiesz, dlaczego z najdzielniejszego z rycerzy stałeś się ostatnim tchórzem? Chcesz, żebym ci to powiedział? Dlatego, że straciłeś wiarę; tę wiarę, która cię wspierała, aż do... wiesz, o czym mówię.

Giulio zbladł. Milczał.

[illegible] Rycerz przesunął dłonią po czo[illegible] bardzo zmęczony. – Wiara w Allacha czy w Boga Chrześcijan, czy w tego, którego twój Czcigodny Mistrz nazywał Niebieską Ścieżką... Gdzie jest twoje Chi, rycerzu? Straciłeś je w jakiejś gospodzie, w domu schadzek, czy może w ostatniej walce? Czy jeszcze gdzieś indziej? Gdzie?

Giulio zakrył twarz rękami. – Przestań, proszę cię. Zabij mnie, ale przestań! Wiesz, jakie to było ciężkie, przestań!

– Spójrz na mnie, rycerzu. – Głos człowieka, który był śmiercią stał się teraz lodowaty i stanowczy. Giulio zmieszany podniósł głowę. – Spójrz mi w twarz, człowieku. Gdzie tkwi twój niepokój?

– Wiesz także i to?

– Tak.

– Zabij mnie więc i niech się to skończy.

– Przyjdzie na to czas. Ale zanim umrzesz, posłuchaj. – Grymas pogardy pojawił się na twarzy Czarnego Rycerza. – Ja nie wierzę we wszystkie te głupstwa, w które wierzycie wy, ludzie. Wszystko, co robicie i mówicie, dla mnie nie znaczy więcej niż podmuch wiatru lub kropla deszczu. Ale w co ty wierzysz? Zabijałeś, żeby pokazać, że jesteś najsilniejszy i największy... Waleczny Giulio, nazywają cię tutaj. Tak, oczywiście, ale któż nie zabijałby tak jak ty? Gdyby tylko miał taką możliwość.

– Jak możesz tak mówić? – wymamrotał Giulio. – Właśnie ty? Ty, który jesteś zarazą niszcząc całe narody?

– Podmuch wiatru, człowieku. Jak ten, który wiał przy wyjściu z Shaolin, kiedy odebrałeś rozpaloną urnę i na twoim ciele odcisnął się na zawsze Smok i Tygrys. Dla mnie to ten sam wiatr. Ten, który pchał twój okręt na poszukiwanie przygód, który unosił twój płaszcz, kiedy pędziłeś na koniu... Oto czym to jest dla mnie. Tym samym wiatrem, który owiewał twoją skórę, kiedy powiedziałeś do niej „kocham cię".

Giulio chciał się poderwać, ale coś nie pozwoliło mu wstać z fotela.

– Ty psie – wyszeptał – przestań mnie dręczyć! Zabij mnie, ale daj mi spokój.

Rycerz uśmiechnął się. – Cóż za żałosne przedstawienie! Nie przestaniesz hańbić wszystkiego tego, co miało dla ciebie jakiś sens, musiałbyś żyć jeszcze tysiąc lat! – Zbliżył się i nachylił nad stołem. – Słuchaj, mówiłeś, że ją kochasz, ale to ona kochała cię naprawdę. A kiedy byłeś z nią, byłeś szczęśliwy, prawda? Potem zostawiłeś ją dając jej Ultima Ultrix, najbardziej zniesławiony ze wszystkich mieczy, a w zamian wziąłeś jej wszystko... wiesz o czym mówię? Dziewica Mścicielka... ona także straciła swoją wiarę od tamtego dnia, nie ona jednak była temu winna, ale ty... Waleczny. Kiedy mnie spotkałeś, byłeś tak pełen wstydu, że bałeś się. I jeszcze teraz drżysz, kiedy mnie widzisz, bo wiesz, że to, co zrobiłeś, pozbawiło ją nietykalności, zabiła cię kochała. – Mężczyzna osunął się na oparcie fotela. Przez moment jego oczy nabrały wyrazu prawie ludzkiego, zasmuconego. Utkwił wzrok w twarzy Giulio. Potem uśmiechnął się znowu. – Dla odprawienia rytuału jutro w nocy dziewięć dziewic zbierze się na skraju miasta. Jedna z nich nie jest dziewicą, ponieważ jednak cała Wołoszczyzna zna ją jako Dziewicę Mścicielkę, nie może oczywiście odmówić; ale to będzie właśnie przyczyną, dla której ja się tam znajdę jako zaraza i uderzę bez litości. A teraz idź i zapamiętaj sobie: wiem, że uciekniesz na północ, bo jesteś tchórzem, ale ja pójdę za tobą. Nie ujrzysz kolejnego świtu, nawet jeśli Przeznaczenie, któremu muszę być posłuszny, nie pozwoli mi na to; mam rachunek do wyrównania.

Giulio wybiegł z zajazdu krzycząc i płacząc. Wsiadł na konia i przeklinając siebie samego pogalopował w noc, aby uciec jak najdalej od Czarnego Rycerza, który w zajeździe Sfintu Gheorghe ponownie zaczął przeglądać swoją księgę.

jąc wspomnienia. – Mó-
iłeś, że jestem dla ciebie
jeden raz i wystarczyło.

, coraz czulszy – Rodika,

Był prawie świt następnego dnia, kiedy obrzędy przeciwko szalejącej zarazie zbliżały się końca. Zaczęły się o zachodzie słońca, kiedy solomonarowie ustawili na rozstajach dróg figurę z łukiem i strzałami w jednej ręce i włócznią w drugiej, która miała odpędzić nieszczęście. Znaczna część ludności asystowała w obrzędach, a potem towarzyszyła innym solomonarom, którzy obeszli miasto z procesją zawieszając na każdej prowadzącej doń bramie znaki sporządzone przez kobiety ze wszystkich dzielnic miasta.

Potem przez całą noc Turnu Rozu było jak wyludnione. Tylko Rodika i osiem innych wybranych dziewcząt chodziło orząc wokół miasta głęboką bruzdę. Były ubrane na biało, każda z nich niosła włócznię i pochodnię, z wyjątkiem Rodiki, która miała przytroczony do pasa Ultima Ultrix.

Niebo bladło. Bruzda otaczała już całe Turnu Rozu i woły w świetle coraz słabiej palących się pochodni zamykały koło. Brakowało tylko kilkudziesięciu łokci.

Właśnie w tym momencie rozległ się tętent końskich kopyt. Dziewczęta zatrzymały się: kto profanował rytuał, musiał być zabity, ponieważ łamiąc świętość przedsięwzięcia nieuchronnie przynosił ze sobą zarazę.

Koń zatrzymał się zaraz za wąwozem, pośrodku pól, kilka metrów od pługa. Giulio zeskoczył na ziemię i podbiegł do Rodiki, która stała nieruchomo otoczona przez swoje dziewczęta.

– Rodika! – krzyknął. – Rodika! Uciekaj, póki jeszcze czas!

Niektóre dziewczęta podniosły pochodnie, koń wycieńczony długim biegiem osunął się na ziemię. Giulio zatrzymał się kilka metrów od niej.

– Rodika! – powiedział znowu. – To ja Giulio! Uciekaj, Rodika! Uciekaj! On nadchodzi! Uciekaj ze mną!

Rodika spojrzała na niego, najpierw zdziwiona, potem chłodno, aż wreszcie lodowatym głosem zaczęła mówić:

– Ty. Przyszedłeś tutaj, teraz... po tak długim czasie. Czego chcesz? Odejdź!

– Przebacz mi, Rodika – wymamrotał błagalnym tonem. Rzucił się przed nią na kolana. – Przebacz mi to, co ci zrobiłem, kochana... Chodź, chodź ze mną! Musisz się uratować.

Dziewczyna spojrzała na niego z pogardą. Światła dogasających pochodni oświetlały jej twarz.

– Rodika – powtórzył – Rodika, kocham cię... chodź, musisz uciekać! On jest w mieście, widziałem go, rozmawiałem z nim... wkrótce tu będzie... posłuchaj mnie!

– Słuchać cię? Już raz to zrobiłam – uśmiechnęła się gorzko – i wystarczy. O czym ty mówisz? Co ty bredzisz?

– Widziałem go, mówię ci, przyjdzie tu... on, Rycerz! Już z nim walczyłaś, kochanie... po raz ostatni, chodź stąd!

– Jeżeli przyjdzie – powiedziała zdecydowanym głosem – będę na niego czekać. Z pewnością nie ucieknę, tak jak ty.

– Rodika, przysięgam ci...

– Słuchaj – powiedziała. Wydobyła z pochwy Ultima Ultrix, jego ostrze błysnęło odbijając światła pochodni. Zbliżyła się do niego i wbiła miecz przed sobą – kiedy zniknąłeś z mojego życia, na to ostrze przysięgłam, że jeśli cię jeszcze zobaczę posiekam cię na kawałki. Ale teraz... teraz chcę tylko, żebyś odszedł. Idź stąd.

– Rodika, posłuchaj mnie... kocham cię...

– Ja też cię kochałam. A ty mówiłeś, mówiłeś, ach, ile mówiłeś.

– Potrząsnęła głową, jak gdyby odpędz
wiłeś o życiu, śmierci, o miłości... mów
przerwą w ciszy. Uwierzyłam... tylko
Teraz idź precz!

– Rodika – jego głos był coraz wyższ
na miłość boską, słuchaj...

– To ty raczej posłuchaj. Odejdź, zanim cię zabiję – wskazała na dziewczęta, które w milczeniu z włóczniami w rękach, stanęły półkolem wokół niego – zniweczyłeś nasze czary... jesteś cudzoziemcem, który sprofanował nasz rytuał: ty jesteś zarazą. Odejdź, zanim rozpłatamy ci głowę!

Giulio wstał zrozpaczony. Dziewczęta, każda z włócznią w jednej ręce i pochodnią w drugiej, postąpiły krok naprzód. Wyciągnął ręce przed siebie i cofnął się kilka kroków.

– Słuchajcie – błagał patrząc to na jedną, to na drugą – śmierć będzie tu lada moment... musimy uciekać. Nie uda nam się jej zatrzymać!

– Dracu, cudzoziemcze – wymamrotała wściekle jedna z nich. – Dracu! To ty jesteś śmiercią!

Giulio znów się cofnął. – Proszę was... zaraza...

– Ty jesteś zarazą – krzyknęła inna ruszając do przodu z ostrzem włóczni zwróconym ku niemu – to ty musisz umrzeć.

– Jeśli chcemy uratować nasze miasto, musisz umrzeć. Teraz!

Włócznia trafiła go w ramię, otwierając starą ranę, drugi cios zadrasnął mu skórę, trzeci musnął twarz. Giulio odskoczył do tyłu... ból, krew, wściekłość, wyrwały go z tępego przerażenia. Gniew przesłonił mu oczy, odskoczył i chwycił w obydwie dłonie topór.

– Boję się śmierci – mruknął – ale nie was. Odsuńcie się!

Dosięgnął go kolejny cios. Podniósł topór i zaczął wywijać ostrzem, krew bryzgała na białe tuniki, płomienie pochodni falowały. Kiedy wszystko się skończyło, osiem ciał rozpościerało się wokół niego, a on nie przestawał wymachiwać zbroczonym krwią toporem.

Kilka metrów dalej Rodika poderwała z ziemi Ultima Ultrix i przybrała wyczekującą pozycję.

– Oto morderca. Zabiłeś po raz ostatni... jesteś tak szalony, że nie zauważyłeś nawet, że chciały cię tylko odstraszyć... zabiłeś, jak zawsze. Ale teraz to koniec, przygotuj się.

Giulio spojrzał na Rodikę, potem na topór, w końcu na osiem martwych ciał leżących na ziemi. Płacz wydobył się z jego piersi, odrzucił topór daleko.

– Rodika – załkał jeszcze raz – kochana, posłuchaj... ostatni raz...

– Posłuchaj go, pani – powiedział głos za nimi – bo tym razem ma rację.

Obydwoje nagle się odwrócili. W ciszy, stojąc nieruchomo obok swojego konia, patrzył na nich Czarny Rycerz.

Giulio zachwiał się... sen, zmora, osiem ciał, dwóch wrogów i silny ból.

– Dzień dobry ci, pani – powiedział Rycerz. – Witaj również i ty, tchórzliwy wrogu. Cieszę się, że przybyłem na czas, by zobaczyć obrzędy przeciwko mnie, mimo że wyobrażałem sobie inaczej to spotkanie. – Podniósł oczy do nieba. – Widzicie, jeszcze nie świta, słońce jeszcze nie wzeszło.

– Ty – wyszeptała dziewczyna – ty też jesteś tutaj... więc on miał rację.

Rycerz przestał obserwować niebo i przytaknął ponuro: – Oczywiście. Przybyłem i jak zawsze za mną idzie śmierć... jest tam, czeka... Muszę jej otworzyć drogę, moja Pani.

– Nie będzie ci łatwo.

– Mnie jest zawsze łatwo. Jeżeli pamiętasz, już się spotkaliśmy pewnego razu i uratowałaś się tylko cudem... jeszcze nie nadszedł wtedy twój czas. – Westchnął. – A teraz jest właściwa pora. Zacznę od tego człowieka... spójrz na niego: już skamieniał ze strachu... zabił w sposób bezsensowny osiem niewinnych dziewcząt dla swojej żądzy krwi, a teraz drży myśląc o tym, co go czeka... mimo to muszę przyznać, iż nigdy bym się nie spodziewał, że przyjdzie tu, aby cię ratować. – wykonał gest, jakby chciał się usprawiedliwić. – Istnieją czasem plany, których nawet ja nie znam.

– Dragomirowie jednak nie obawiają się śmierci.

– Wiem, Pani. – Grymas przebiegł twarz Rycerza. – Gdybym mógł mieć towarzyszkę, wybrałbym taką, która miałaby twoją odwagę i twoją siłę; ale zapewniam cię, że nie potraktowałbym cię tak, jak ten nieszczęśnik.

Rodika spojrzała zafascynowana na człowieka, który był śmiercią.

– Niestety, nie jest mi dane wybierać. – Popatrzył znowu na niebo. – Świta, możemy zaczynać.

Obnażył swój miecz i zbliżył się do Giulia, który przerażany wpatrywał się w niego nieruchomo. Podniósł miecz i wykonał nim ruch w jego kierunku. Giulio nie ruszył się jednak obserwując go z miejsca. W tym momencie, jednym skokiem Rodika rzuciła się między nich starając się zasłonić cios swoim ciałem. Ultima Ultrix spotkał się z mieczem Rycerza i został wytrącony z ręki dziewczyny, podczas gdy Giulio cofał się krzycząc. Ostrze miecza Rycerza skończyło swoje okrążenie trafiając Rodikę w brzuch.

Dziewczyna upadła na wz... zbroczyła jej białą tunikę.

– Mój Boże – szeptała –

Giulio pochylił się nad n...

...ak z otwartymi szeroko oczami, krew

...mój Boże...

...ą, podczas, gdy jego wszechświat roz-

...w i cień zarazy okrywał Turnu Rozu...

domy, pola.

– Rodika – wymamrotał – kochana moja...

Rycerz cofnął się o jeden krok i spojrzał na swoje ostrze.

– Ta kobieta – powiedział bardziej do siebie niż do nich – jest

Zrobił krok do przodu, udał, że robi zamach w prawo, potem nagle zmienił kierunek i miecz dosięgnął piersi Giulia; cofnął się chcąc wbić ostrze na dobre, ale Giulio odskoczył w bok i trafił go w kark pięścią.

– Muszę ci przypomnieć, że nic nie może zwyciężyć śmierci. – Rycerz ruszył do przodu i jego ostrze zatoczyło w powietrzu półkole. Giulio rzucił się w bok, ugodził go w kostkę i kiedy przeciwnik podnosił miecz, aby zadać mu cios z góry, schylił się i kopnięciem wytrącił mu broń z ręki.

Śmierć uśmiechnęła się. Giulio odsunął się i dysząc ciężko przyjął postawę Tygrysa.

Rycerz spojrzał na Giulia, na Rodikę leżącą na ziemi i na osiem ciał. Jego wzrok zatrzymał się na włóczniach, na wygasłych już pochodniach, na śladach krwi. Potem znów popatrzył na Rodikę i po raz drugi w tych dniach jego spojrzenie wydało się przez chwilę całkiem ludzkie. Odgarnął włosy.

– Mógłbym ci powiedzieć, że do tej pory żartowałem, że łudziłeś się myśląc, iż możesz pokonać śmierć albo że naprawdę zwyciężyłeś. – Uśmiechnął się. – Mógłbym powiedzieć ci, że wiedziałem od samego początku, co się stanie, albo przeciwnie, że wszystko to jest dla mnie niespodzianką. Mógłbym powiedzieć ci tysiące rzeczy, ale żadna nie byłaby prawdziwa, a w każdym razie ty byś tego nie zrozumiał.

Wokół świtało.

– Powiem ci natomiast, że ja sam nie rozumiem, co się dzieje... ja też jestem pionkiem na tej wielkiej szachownicy i nie znam planów Tego, który na niej gra. Ty miałeś rację, Giulio della Torre Rossa! Życie, miłość, śmierć są przerwą w ciszy, ale ta cisza jest tak wielka, że nie wiem naprawdę, jak ją wypełnić... któż to wie. Niczym,w porównaniu z tym jest cisza, którą słyszysz teraz.

Zbliżył się Rodiki. Giulio przygotowywał się do zadania ciosu, ale Śmierć zatrzymała go swoim gestem.

– Na dziś wystarczy, rycerzu. Innym razem, może jutro, może za dziesięć albo pięćdziesiąt lat, podejmiemy naszą walkę... na dziś wystarczy. – Wziął dłoń Rodiki i podniósł ją do ust. – Do widzenia Pani. Dziś zyskałaś życie, może gdyby nie ty, teraz podążalibyście razem ze mną, razem z innymi.

– Odchodzisz? – spytała dziewczyna.

Rycerz wyprostował się. – Wzywają mnie gdzie indziej w tej chwili. – Wskazał na ranę. – Cios nie był zbyt silny, rana zagoi się w ciągu tygodnia.

– Żegnaj, Rycerzu.

– Do widzenia.

Śmierć odwróciła się w kierunku swojego konia. Kiedy wsiadła i miała już zamiar odjechać, zatrzymała się na chwilę...

– Dziś, rycerzu, nauczyłeś się, że śmierć ma wiele oblicz, ale nie wszystkie są złe, jak mówią ci, którzy się jej boją.

– Wiedziałem to – odpowiedział Giulio patrząc w twarz Rycerza – pewien człowiek często mi to powtarzał.

GALERIA

FIGURY NIEMOŻLIWE



Branko Pihač

Zwykła rzecz

(Uobičajeni postupak)

...tak, że to już naprawdę przekracza wszystkie dopuszczalne granice. Nie dość, że w majestacie prawa używamy androidów do najcięższych prac fizycznych, takich jak na przykład roboty na plantacjach podmorskich, w górnictwie i przy piecach hutniczych i że nie czujemy przy tym żadnych, ale to żadnych, wyrzutów sumienia, to na dodatek te biedne istoty stanowią obiekt wielu rozmaitych nadużyć. Są osoby, które wykorzystują androidy do najrozmaitszych celów, począwszy od tego, że wbrew wszelkim prawom posyłają je zamiast siebie do pracy – co stało się już publiczną tajemnicą – aż po zmuszanie ich, żeby wykonywały czynności poniżające i ulegały najgorszym ludzkim namiętnościom. Przypomnijmy sobie tylko nasze usiłowania walki z prostytucją! Mieliśmy to ohydne zjawisko raz na zawsze wykorzenić z naszego życia społecznego i co? Wydaliśmy ustawę, zgodnie z którą ewentualni amatorzy płatnej miłości mogą zaspokajać swoje potrzeby jedynie przy użyciu specjalnie skonstruowanych żeńskich androidów. Ale popatrzmy, co się dzieje! Choć początkowo kobiety lekkich obyczajów ugodzone konkurencją i represjami karnymi znikły z ulic i domów rozpusty, obecnie sytuacja wróciła do dawnego stanu. Ba, jest jeszcze gorzej niż było! Niemal wszystkie dawne prostytutki przyjmują w swoich starych miejscach, tyle że ich taryfa podskoczyła i wynosi trzykrotną stawkę androidki, w... że się tak wyrażę, tej samej roli! Nie wspomnę nawet o tym, że znaczna część męskiej klienteli wychodzi z założenia, iż żeńskie androidy wprowadzono po to, aby z nimi wyczyniać to wszystko, czego nie wolno robić z kobietami... – mówiła jednym tchem przedstawicielka Towarzystwa Opieki nad Androidami. – Idźmy dalej. Chcąc jak najlepiej upodobnić swoje androidy do siebie nieodpowiedzialni ludzie zmuszają je do palenia po dwie paczki papierosów dziennie, chociaż powszechnie wiadomo, że organizm androida jest co najmniej sto razy wrażliwszy na tytoniowe trucizny niż organizm ludzki. Nie wolno nam zapominać, iż organizm androida jest wciąż niedostatecznie zbadany i bardzo niestabilny. Świadczy o tym przeciętny wiek androidów, który dopiero w ostatnich latach udało się przedłużyć o kilkanaście lat. W końcu gatunek androidalny stworzono w laboratoriach dopiero kilkadziesiąt lat temu, podczas gdy gatunek ludzki odbył długą drogę ewolucyjną rozwijając się całe miliardy lat...

– Droga pani doktor – podchwycił uprzejmie redaktor prowadzący program – powód, dla którego zaprosiliśmy panią do naszego studia to niespodziewana, trzeba przyznać, decyzja Parlamentu, który podczas najbliższej sesji postanowił rozpatrzyć wniosek Towarzystwa Opieki nad Androidami. Jak wiadomo, Towarzystwo to, które pani właśnie reprezentuje, od dawna postulowało zniesienie ustawy o obowiązkowej i bezwarunkowej likwidacji ludzkiej kopii androidalnej w razie zgonu jej właściciela, czyli – pozwoli pani, że się tak wyrażę – oryginału. Chcielibyśmy usłyszeć, jak wasze Towarzystwo zapatruje się na obecne przepisy dotyczące androidów i czego spodziewacie się od debaty w Parlamencie?

– Dziękuję – odrzekła doktor Amelia Rovinsky i obciągnąwszy rękawy żakietu podjęła tym samym tonem, którym przerwała poprzednią wypowiedź: – Wszyscy wiemy, że w naszym kraju obowiązuje ustawa nakazująca bezwarunkowe niszczenie kopii androidalnej w przypadku zgonu oryginału, na podstawie którego została wykonana. Zanim przejdę do omawiania celowości i sensu takiego postępowania w dzisiejszych czasach, chciałabym przypomnieć, iż ustawa ta zrodziła się jako rozwinięcie poprawki do innej, głównej ustawy, zgodnie z którą nie wolno u nas produkować tak zwanych wolnych androidów. Każdy android powinien bowiem być jednoznacznie przypisany do jakiejś istoty ludzkiej. Ten stosunek przynależności musi się symbolicznie manifestować podobieństwem twarzy, wykonanej na wzór twarzy właściciela. Naturalnie intencją ustawodawcy było tu zapobieżenie nadprodukcji androidów, do której z pewnością doszłoby w warunkach wolnego rynku oraz postępującej technologii wytwarzania. Dzięki reglamentacji androidów spodziewano się oddalić niebezpieczeństwo zdominowania gatunku ludzkiego przez tę istoty.

Pragnę tu jednak oświadczyć, że w istocie nigdy nie zachodziła jakakolwiek konieczność rozszerzania ustawy głównej o androidach. I nie muszę chyba specjalnie podkreślać, jak bardzo czyn niszczenia androida po śmierci jego – jak to się zwykło mówić – pana, przywodzi na myśl starożytny obyczaj palenia inwentarza, służby, a nierzadko i żon zmarłych władców.

– Kilka lat temu Towarzystwo Opieki nad Androidami zapoczątkowało kampanię przeciwko wspomnianej ustawie. Ustawy wprawdzie nie zniesiono, ale wasze Towarzystwo wywalczyło przynajmniej tyle, że wydano przepis zakazujący niszczenia androidów rozmaitymi podręcznymi środkami i jednoznacznie określający metody dopuszczalne w takim wypadku. Proszę nam teraz powiedzieć, dlaczego Towarzystwo Opieki nad Androidami nie poprzestało na tym sukcesie i czemu właśnie w ostatnich miesiącach ponownie wystąpiło z żądaniem zniesienia inkryminowanej ustawy.

– Przyczyn jest sporo, ale można by je podzielić na dwie grupy – odpowiedziała doktor Rovinsky – najogólniej biorąc, do pierwszej grupy zaliczyłabym przyczyny natury subiektywnej, do drugiej zaś przyczyny obiektywne. Kiedy po raz pierwszy rozpoczęliśmy kampanię o zniesienie ustawy nakazującej bezwarunkowe niszczenie androidów, chcieliśmy przede wszystkim zapobiec zjawiskom sadystycznego wyżywania się na tych nieszczęsnych istotach w trakcie ich likwidacji. Powołano wówczas do życia specjalną służbę, która otrzymała wyłączne uprawnienia do wykonywania tych... ustawowo obowiązujących zabiegów. Niszczenie androidów odbywa się od tamtej pory bezboleśnie przez rozpuszczanie w wannie napełnionej odpowiednimi chemikaliami. Mamy jednak doniesienia, że w ostatnim czasie zaczęły się mnożyć przypadki drastycznego łamania przepisów i samowolnego niszczenia androidów. Sprawcy tych czynów byli jak dotąd uwalniani od winy przez sąd, ponieważ zasłaniali się argumentem samoobrony. Wiadomo także o kilku gwałtach, a mamy powody sądzić, że rozpuszczalnik, w którym dokonuje się niszczenia androidów, co skądinąd jest procesem całkowicie bezbolesnym, bywa tak spreparowany, że zadaje im ból wprost nie do opisania! Do tych raczej subiektywnych przyczyn naszej akcji dodać trzeba przyczyny zupełnie obiektywne. Na skutek udoskonalenia biologicznej struktury androidów doszło ostatnimi laty do istotnego podobieństwa między organizmem sztucznym i naturalnym, czyli między androidem i człowiekiem. Wyciągnęliśmy stąd wniosek, iż ustawodawstwo regulujące stosunek między ludźmi i androidami po prostu nie nadąża za rozwojem technologii produkowania androidów i nie odpowiada stanowi rzeczywistemu. Jednym słowem, ustawodawstwo to jest przestarzałe i trzeba je zmienić! Co się zaś tyczy samej ustawy o niszczeniu androidów, to bez dwóch zdań jej stosowanie w dzisiejszych okolicznościach zakrawa na zbrodnię!

– Istnieją wszelako poważne argumenty za utrzymaniem tej ustawy w mocy. Interesowałoby nas więc, co ma w tej sprawie do powiedzenia wasze Towarzystwo i jakie są wasze dalsze plany?

– Argumenty, o których pan wspomniał są mocno okrzyczane przez pewne koła przemysłowe. Mam tu na myśli szczególnie koncern „Bayerische Androidenwerke & Co." oraz prasę związaną z tajwańską spółką „Artificial Bodies". Ale muszę podkreślić, że wszystkie ich argumenty mają podtekst ekonomiczny. Chodzi tu o klasyczny dylemat między racjami pieniądza i racjami humanitarnymi. Tymczasem nasi eksperci wyliczyli, iż utrzymywanie androidów przy życiu nawet po zgonie ich właściciela może być niezwykle opłacalne. Zamiast bezmyślnego i rozrzutnego niszczenia zdrowych i całkowicie sprawnych androidów nasze Towarzystwo proponuje otwarcie specjalnego zakładu, gdzie istoty te, pozostające bez swoich dotychczasowych, że tak powiem, oryginałów, mogłyby pożytecznie kontynuować życie aż po jego kres naturalny... – zakończyła doktor Amelia Rovinsky i starannie wystudiowanym gestem strząsnęła popiół z długiego papierosa do popielniczki na biurku redaktora programu.

– Świetnie mówi ta mała – zauważyła doktor Amelia Rovinsky, sięgnąwszy do stolika, by za pomocą zdalnego urządzenia wyostrzyć obraz na ekranie telewizora. – Dokładnie tak jak ją nauczyłam. I wspaniale się prezentuje... Co to jednak znaczy produkcja nieseryjna...

– Zwykłą czy z lodem?... – doleciał ją głos z kuchni.

– Z lodem, naturalnie! Czy ktoś kiedy widział, żebym piła whisky bez lodu? – odpowiedziała Amelia wciąż zapatrzona w telewizor. Robert podał jej szklankę i usiadł obok, obejmując ją wolnym ramieniem.

– Dobrze ją przygotowałeś! – powiedziała, upijając mały łyczek bladożółtego płynu. – Zrobiłeś się prawdziwym specem od takich rzeczy!

– Dla ciebie wszystko, kochanie – odrzekł Robert całując ją w policzek. – Miło mi, że ci się podoba. Nalać ci jeszcze?

– Nie, dziękuję. Tego też nie powinnam pić za szybko. A i ty uważaj, żebyś się nie przeziębił!

– ... tak więc naszym obowiązkiem jest stanowczo protestować przeciw obrzydliwemu i nieludzkiemu wyzyskowi istot androidalnych, który przybrał ostatnio niepokojące rozmiary! – płynął dalej głos z telewizora; oficjalna doktor Rovinsky kontynuowała swoją batalię o zniesienie nienawistnej ustawy. – Widziałam na własne oczy, że nawet w tych przypadkach, kiedy proces dezintegracji biochemicznej wykonywany jest bez zarzutu z prawnego punktu widzenia, personel operacyjny podchodzi do zabiegu mechanicznie, na zimno i nie dbając o jakąkolwiek godność bądź co bądź żywej istoty! Akt zabijania stał się ujednolicony, rutynowy i pozbawiony wszelkiego dostojeństwa. Jest to po prostu czynność sanitarna. Zwykła rzecz!

– Twój wywiad jeszcze się nie skończył? – spytał Robert.

– Skończy się zaraz, ale nie martw się. Mamy dosyć czasu. Potrzebna jej będzie co najmniej godzina, żeby w tym tłoku wrócić do domu. Chyba, że tymczasem zjawi się twój pan...

– Nie zjawi się! – rzekł Robert.

– Jesteś tego zupełnie pewien? – spytała Amelia zatroskanym głosem.

– Absolutnie. Mówiłem ci już, że razem z żoną i osobistym androidem pojechali w podróż służbową i nie wrócą wcześniej jak pojutrze wieczorem. Zresztą – ciągnął Robert – nawet gdyby pojawił się przed czasem, będę wiedział jak się wykręcić.

– Sprytny jesteś – rzekła Amelia – widzę, że mogę mieć do ciebie pełne zaufanie.

– Postępuję tak jak mnie nauczyłaś – odpowiedział skromnie Robert.

– Oczywiście, mój mały, oczywiście. Zawsze byłeś taki grzeczny i posłuszny. No, chodź tu bliżej i pocałuj mnie jeszcze! Oo, tak!

– Mmm... – wymruczał Robert pieszcząc jej włosy i szyję. – Mało ci było, co? Chciałabyś jeszcze?

– Nie lubię jak tak mówisz – powiedziała Amelia odpychając go lekko. – Przecież to dopiero trzeci raz dzisiaj! Nie powiesz mi chyba, że jesteś zmęczony... A może już mnie nie kochasz tak jak przedtem?

– To nie to – odrzekł Robert powoli. – Wiesz, że cię kocham. Przeszkadza mi tylko, że się nie możemy częściej widywać.

– Robi, kochanie! Mówiłam ci już w czym cały problem. Ja też bym chciała, żebyśmy się widywali codziennie, ale to niewykonalne. Zresztą wiesz, że ten brak czasu umiemy sobie doskonale wynagrodzić. No, postaraj się i tym razem mnie nie zawieść...

Po wiadomościach dziennika telewizor roztrzeszczał się jakąś wariacką muzyką nowej generacji. Doktor Amelia Rovinsky poderwała się nagle, otwierając oczy i rozglądając niespokojnie na wszystkie strony.

– Robercie, na miłość boską! – szarpnęła Roberta, który rozciągnięty obok na kanapie i półprzytomny zamruczał coś niechętnie.

– Robercie, która godzina?

– Późno – wymamrotał Robert, ziewając. – Minęło pół do dziewiątej. Wygląda na to, że ten twój program dawno się skończył.

– Pospieszmy się – powiedziała nerwowo Amelia – ta moja kopia może w każdej chwili pojawić się w drzwiach! Właściwie – dodała spojrzawszy na duży zegar ścienny – ona już się spóźniła! Powinna być tu już prawie pół godziny temu.

– Przyjdzie zaraz. Pewnie ją zatrzymali w studiu – rzucił Robert i podszedł do ściany, żeby zapalić górną lampę.

– Byłoby dla niej lepiej, żeby przyszła jak najprędzej – powiedziała zimno Amelia – chodź no tu, pomożesz mi zapiąć suknię!

Robert zbliżył się do niej i łagodnie schwycił ją za ramiona. – Czy coś nie w porządku z tym wywiadem? – spytał z troską – myślisz, że twoja kopia mogła coś poplątać?

– Ależ nie! Spisała się doskonale – Amelia roześmiała się sucho – ale to wcale nie znaczy, że jej nie ukarzę za spóźnienie. Nie mam zamiaru sama sprzątać kuchni...

– Czasem mi się wydaje, że cię do końca nie rozumiem... – powiedział cicho Robert dopinając jej suknię – a kiedy zdaje mi się, że cię zrozumiałem, nie mogę uwierzyć, że to ty. Powiedz mi, czy ty naprawdę byłabyś w stanie ukarać swoją... kopię? Po tym wszystkim, co ona robi dla ciebie i biorąc pod uwagę twoją działalność w Towarzystwie? Twoją walkę o nas i o nasze prawa?

– Ha! Ha! – zaśmiała się Amelia. – Widać, że sobie łamiesz głowę różnymi myślami, ale musisz się jeszcze wiele nauczyć! Jeśli chodzi o moją kopię, to karzę ją za każde uchybienie. To, że dobrze wykonała jeden rozkaz, nie znaczy wcale, iż musi tak samo wykonać następny. I nie widzę, jaki by to mogło mieć związek z moją działalnością w Towarzystwie. Dom to dom, mój miły, a praca jest pracą! – powiedziała, zarzucając mu ręce na szyję.

– Zmusiłaś ją do palenia, a wiesz przecież, jak jej to szkodzi! – rzekł Robert odwzajemniając jej pocałunki.

– M-m-m... Oczywiście, żeby mniej rzucała się w oczy... wszystko w ramach walki z ustawą o przymusowym niszczeniu androidów – odpowiedziała Amelia odwracając się po szklankę z napojem.

Wypili wznosząc toasty. – Chciałbym cię o coś zapytać – zagadnął nieśmiało Robert patrząc jej głęboko w oczy. – To... to jest bardzo ważne dla nas obydwojga...

– Oooh... nie męcz mnie... – powiedziała Amelia – czemu musisz mi w najmniej odpowiednich momentach przypominać, że jesteś androidem? Przecież mówiłam ci tyle razy, że dla mnie to nie ma żadnego znaczenia.

– Ale ja właśnie chcę, żeby to miało dla ciebie znaczenie, Amelio! – Robert podniósł głos prawie do krzyku. – Zrozum, ja nie mam takiego wyboru jak ty! Bo... ty jesteś istotą ludzką, a ja!? Ja nie, Amelio! Kochanie – mówił już ciszej – czy myślisz, że ten wniosek waszego Towarzystwa ma jakieś szanse w Parlamencie?

– Nie wiem, Robi, za dużo mi pytań zadajesz. Nikt w tej chwili nie jest ci w stanie na to odpowiedzieć. – Doktor Amelia wyraźnie niezadowolona wysunęła się z jego ramion. – Tak samo jak nikt nie zdołałby uczynić więcej dla tej sprawy niż ja dotychczas uczyniłam. Rozwiązanie nie zależy od nas, ani od ciebie, ani ode mnie, ani od Towarzystwa. No, rozchmurz się! Lepiej idź do kuchni i zrób dwie szklaneczki, chce mi się pić!

Ociągając się Robert powędrował do kuchni.

– Hej, zapomniałeś zabrać swoją wtyczkę do ładowania! – krzyknęła za nim Amelia, spostrzegłszy na nocnym stoliku mały wałek z czarnego połyskującego metalu. – I pamiętaj, żebyś ją sobie wkręcił z powrotem, zanim się do końca ubierzesz – dodała, w pośpiechu doprowadzając pokój do ładu i wprawnymi ruchami ścieląc łóżko. Przyklepała poduszkę i odwróciła się, chcąc wyłączyć telewizor, gdy nagle zamiast reklamy na ekranie ukazała się twarz spikera, który poważnym, namaszczonym głosem zaczął czytać z małej karteczki:

– Przerywamy nasz wieczorny program po to, by oznajmić państwu tragiczną wiadomość. Dzisiaj, o godzinie dwudziestej drugiej piętnaście na Starym Moście wydarzyła się ciężka katastrofa drogowa. Furgonetka Stacji Telewizyjnej AB, którą prowadził znany prezenter telewizyjny...

Krzyk Amelii rozległ się w momencie, gdy Robert niosąc w obydwu rękach po szklance napoju wychodził z kuchni. Rzucił się korytarzem ku drzwiom salonu usiłując odgadnąć co się mogło stać. Dobiegłszy ujrzał, że Amelia sztywna i wyprężona wsłuchuje się w każde słowo płynące z głośnika. Cicho odstawił szklanki i usiadł obok niej.

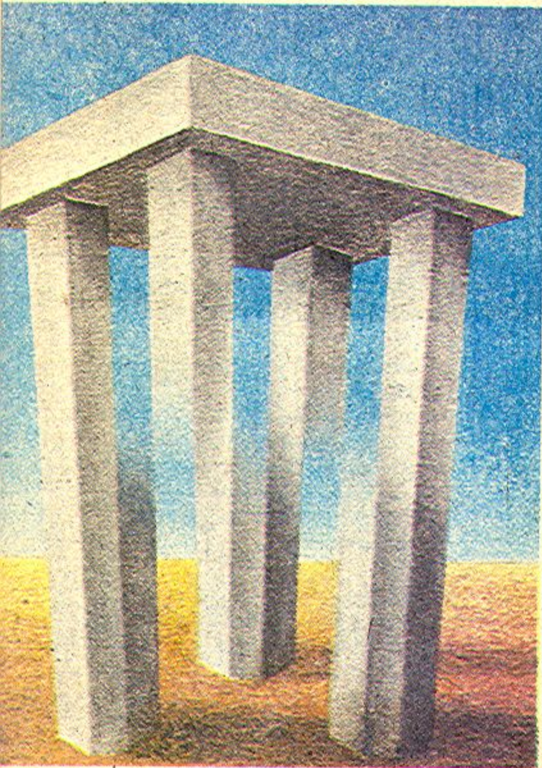
– ... i pożarze, na skutek potwornego wybuchu cysterny z gazem płynnym stracili życie doktor Amelia Rovinsky, Arnold Wintenberger oraz kierowcy obydwu ciężarówek. Ponadto śmierć poniosła nieznana jeszcze liczba osób znajdujących się w pobliżu miejsca wypadku. Kiedy mówię te słowa, na Starym Moście ruch kołowy i pieszy wciąż jeszcze jest wstrzymany, toteż...

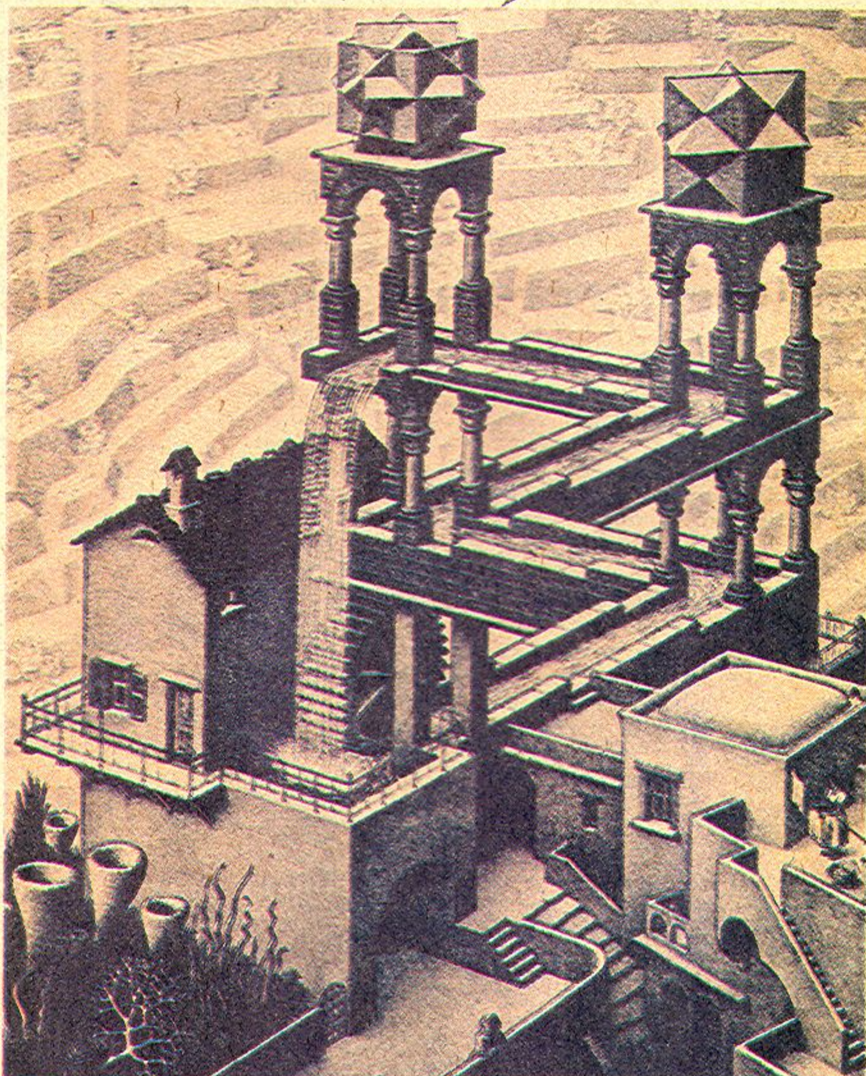
Głos spikera odpłynął gdzieś daleko i Amelia poczuła jak jej ciało drętwieje, a w gardle ściska ją żelazna obręcz. Krew uderzyła jej do głowy szumiąc nieznośnie w uszach. Jak przez mgłę docierały do niej ostatnie słowa wiadomości i widok rozszalałych płomieni, na których tle uwijały się postacie w srebrzystych kombinezonach. Potem obraz zmienił się i z głośników popłynęła ogłuszająca i tępa łupanina jakiegoś zespołu.

Machinalnie sięgnęła po wyłącznik, by zgasić telewizor, ale ręka odmówiła jej posłuszeństwa. Wszelkie działanie było daremne, beznadziejnie daremne...

Doktor Amelia Rovinsky nie żyje... rozniesiona wybuchem

FIGURY NIEMOŻLIWE





Zenon Kulpa
M. C. Escher

albo spalona, czy to ważne?!... Żeński android numer 2N2905/A-F jest martwy... rozerwany albo spalony... czy to ważne?! Gdzieś w odległej świadomości jakiś zabłąkany impuls podpowiadał, że powinna się cieszyć, w końcu to nie ona znalazła się tam na moście. Ale natychmiast ponownie dotarła cała groza tego, co teraz nastąpi.

Niemo i z twarzą wilgotną od łez odwróciła się do Roberta. Spojrzał współczująco jakby zdziwiony jej stanem. – Coś się stało z twoim androidem? – spytał nachylając się ku niej. – Coś poważnego?

– Och, Robercie! – powiedziała martwo Amelia. – Oni zginęli... mój osobisty android... katastrofa drogowa... jakie to nagłe, przypadkowe i głupie!

Na tacy stały dwie nietknięte szklanki zimnej whisky.

– To... niedobrze – odrzekł Robert bezbarwnym głosem.

– Robercie, oni tu przyjdą! – mówiła Amelia tracąc oddech z przerażenia – przyjdą bardzo niedługo... oni tak zawsze postępują, cicho, szybko i skutecznie. Przychodzą zaraz, mają ze sobą wszystko, co potrzebne, nie zostawiają żadnych śladów, całą sprawę załatwiają na miejscu...

Robert milczał wpatrując się w firankę. Przypomniał sobie jak jego pan po swoim trzecim zawale opisywał mu, co się stanie z nim, Robertem, gdy on umrze.

A siedząca obok doktor Amelia Rovinsky przechodziła kolejne kręgi swojego własnego piekła, załamując w rozpaczy ręce i z niedowierzaniem rozglądając się wokół siebie, jakby skądś, nie wiadomo skąd i jakim cudem, miało pojawić się jakieś niespodziewane wyjście, jakiś ratunek z tej beznadziejnej matni.

W pierwszym odruchu pomyślała, żeby uciec stąd, z tego mieszkania. Ale trzeźwa refleksja znowu przykuła ją do fotela ukazując całkowitą daremność takiego czynu. Funkcjonariusze Oddziału Specjalnego Służby Niszczenia Androidów schwyciliby ją na pierwszym skrzyżowaniu. Byli to wytrawni łapacze, którzy znajdowali przyjemność w swojej robocie. Dobrze wiedziała, co pozostaje z androida, kiedy im wpadnie w łapy. Zazwyczaj nie nadawał się już do niczego więcej prócz tego, co i tak nakazywało prawo: do rozpuszczenia na elementarne aminokwasy...

– Czy mógłbym ci jakoś pomóc? – spytał Robert, przypominając jej o swej obecności.

– Och, Robercie, gdyby to było możliwe?! – powiedziała, czując, że jego obecność jest właściwie zbyteczna. Cokolwiek by uczynił, może tylko pogorszyć sytuację.

– Idź stąd! Odejdź jak najprędzej! – rzuciła krótko, może trochę za brutalnie. – Nikt nie powinien wiedzieć, że tu byłeś. Wyjdź zanim tu przyjdą! Ja sama muszę to jakoś rozwiązać – dodała i zaczęła głośno rozważać swoje położenie.

– Muszę coś zrobić, i to szybko... zanim przyjdą ci maniacy z Oddziału Specjalnego. Bóg jeden wie, co by ze mną zrobili, gdyby im się nadarzyła okazja...

Rozmyślając głośno spostrzegła, że i Robert przestał się poruszać. Stał z boku i wyglądał jakby też nad czymś się zastanawiał.

– Mogłabym zadzwonić do Towarzystwa Opieki nad Androidami. Powiem im, że na własną rękę prowadziłam doświadczenia, jakieś testy zaradności czy wierności... Żeby pokazać jaka to szkoda zabijać te dobre i rozumne istoty... Kto wie, może mi uwierzą... Pewnie uwierzą, ale nie zechcą się w nic wplątywać... nie będą ryzykować skandalu...

– A więc twoja kopia nie żyje... – przerwał jej nagle głos Roberta.

– Na litość boską, Robercie, czyżbyś dopiero teraz to zrozumiał?!

– I jej ciało zostało rozerwane przez wybuch, tak?

– Tak, Robercie, nie słyszałeś co mówili w wiadomościach?!

– To naturalne, jej ciało rozpadło się od wybuchu i leży gdzieś w rzece... A zatem nikt nie wie, że w tej furgonetce zginęła kopia doktor Rovinsky i że prawdziwa doktor Rovinsky to właśnie ty... – ciągnął tonem, który nie wymagał odpowiedzi. – Nikt nie wie o twojej małej maskaradzie...

– O naszej małej maskaradzie, Robercie. Co ci się stało, że tak nagle uderzasz w te tony? Chyba nie masz mi za złe tego, co się stało? Och, Boże!... – zajęczała Amelia chowając twarz w dłoniach. Po chwili jednak wyprostowała się i stanowczym, pełnym wiary głosem powiedziała:

– Mimo wszystko nie zdarzyło się nic takiego, czego nie można by naprawić. Moja kopia androidalna była ubezpieczona. Wiem już co zrobić! Zatelefonuję do centrali „Bayerische Androidenwerke", powiem im, że przeprowadzałam eksperyment z ich

wyrobem. Zrozumieją natychmiast jaka to dla nich świetna reklama. Przecież kopia z ich fabryki okazała się tak doskonała, że mimo tylu oglądających nikt nie zauważył różnicy. Tym bardziej że androidy serii A–F są dopiero od niedawna w sprzedaży. Umówimy się, że to wszystko było zaplanowane wcześniej. Porozmawiam osobiście z...

Ruszyła w stronę stolika z telefonem i sięgnęła po słuchawkę, gdy Robert niespodziewanie przytrzymał ją.

– Nie będziesz dzwonić – powiedział twardo. – Nigdzie nie będziesz dzwonić!

– Robercie, co z tobą?! Czyś ty zwariował? – krzyknęła próbując uwolnić rękę ze słuchawką.

– Nie! – odrzekł android. – Zrozum, Amelio, że ja nie mogę dopuścić, abyś ty telefonowała do nich... tam... Nie mogę, bo...

– Puść mnie natychmiast! Rozkazuję ci! Czy nie rozumiesz, że to sprawa życia albo śmierci!?

– Rozumiem – powiedział Robert spokojnym i opanowanym głosem. W jego oczach Amelia dostrzegła utajoną groźbę.

– Robercie, co masz zamiar zrobić?! Czemu mi nie pozwalasz dzwonić? Czemuś ty jeszcze stąd nie poszedł? Robercie, czy ty nie rozumiesz, że nie ma czasu na żarty? Zrób jak ci kazałam! Później ci wszystko wyjaśnię... – mówiła zdyszana szarpiąc telefon do siebie.

– Rozumiem więcej niż ci się zdaje! – powiedział Robert. – Amelio, spróbuj uznać, że ja nie mam innego wyboru! – patrzył na nią błagalnie, zaklinając wyrazem twarzy. – Zrozum! Jeżeli opinia publiczna kiedykolwiek dowie się o tym wszystkim, nie będziemy już mieli żadnych szans. Parlament zawiesi debatę nad kwestią, która dała powód do skandalu, a gdyby nawet nie zawiesił, to sprowadzi ją do czczej formalności, żeby tylko wypełnić porządek obrad. A jeżeli wasz wniosek o zniesienie ustawy zostanie odrzucony choćby raz jeden, Bóg raczy wiedzieć, kiedy znowu go odgrzebią z kurzu. I dlatego sama chyba mi przyznasz rację – nikt nigdy nie może się dowiedzieć, że to nie ty zginęłaś na Starym Moście!

– Ty zwariowałeś! – krzyknęła Amelia, blada jak płótno. – To co sobie wymyśliłeś jest niewykonalne. Nie ma takiego miejsca, gdzie mogłabym się ukryć przed łapaczami zbiegłych androidów. – Jej oczy zaszły łzami, z potwornym przerażeniem wpatrywała się w twarz Roberta.

– Nie będziesz się nigdzie ukrywać – odparł spokojnie Robert.

– Ty... chcesz... powiedzieć... – strach paraliżował jej język. Robert ciągnął swoją myśl.

– Po tym co się stało nasze szanse na zniesienie ustawy o przymusowej likwidacji androidów wzrosły niepomiernie. Zauważyłem, jak bardzo wasz ludzki rodzaj tęskni do ofiar i bohaterów. Ponosząc śmierć na tym moście stałaś się ofiarą i bohaterką w walce o prawo androidów do życia. Zobowiązałaś ludzi do szacunku i podziwu. Gdyby zaś prawda wyszła na jaw, ci sami ludzie poczują się oszukani i zawiedzeni, będą szukali odwetu za swoją łatwowierność i znajdą upust w nienawiści do sprawy, o którą walczyłaś. I tak wszystko zwali nam się na kark. Dlatego właśnie nie wolno mi dopuścić, żeby ktokolwiek dowiedział się prawdy...

– Jesteś szaleńcem, Robercie! Może masz nawet rację, ale to tylko jeden aspekt tej sprawy. Jeżeli mnie puścisz, ja będę dalej walczyć o wasze prawa, ja...

– Nie będziesz już miała jak, Amelio! – Robert złagodniał i pogłaskał ją czule po włosach. – Kiedy świat dowie się o twojej... o naszej małej maskaradzie... twoi rywale w Towarzystwie nie darują sobie takiej okazji i wydrą ci twoje stanowisko przewodniczącej. Nawet ludzie z telewizji nie zechcą z tobą współpracować. Pamiętaj, że tam zginął ich ulubiony prezenter! A jeżeli myślisz, że cię wyciągnie „Bayerische Androidenwerke", to się grubo mylisz. Oni za dużo zainwestowali w produkcję kosztownych i luksusowych androidów osobistych i wiedzą, że po takiej aferze rząd wróci do projektu zastąpienia ich androidami-bez-twarzy, których ludzie się brzydzą. Będą się bali ci pomóc, żeby nie stracić mnóstwa pieniędzy! Wierz mi, i ty, i my wszyscy mamy tylko jedno wyjście, Amelio, ty musisz dokończyć rozpoczęte dzieło! Musisz je dokończyć i to w jedyny możliwy sposób!

– Robi! – krzyknęła Amelia, wpijając się rękoma w jego koszulę. – Robi, powiedz, że to tylko żart...

Ale Robert milczał.

– Robi, Robi mój kochany – szeptała łkając i głaszcząc mu twarz – ty mnie nie chcesz zabić, prawda? No powiedz, że mnie nie chcesz zabić...!

– Nie chcę – powiedział Robert – ale będę musiał.

– Robercie...! Jeżeli mnie zabijesz – dyszała gorączkowo Amelia – ty się też z tego nie wyciągniesz. Znajdą cię i...

– Nie znajdą mnie! – powiedział Robert. – Nie znajdą mnie, bo nikt mnie nie będzie szukał. A nie będzie mnie szukał, bo nie będzie żadnego morderstwa. Będzie po prostu nieszczęśliwy wypadek. Wszystko zostanie między nami. Taka nasza mała tajemnica. Nie istnieje nic, co by nas mogło zdradzić... Nikt nie będzie robił zbędnego huku wokół śmierci jakiegoś tam androida. Tak jak mówiłaś, oni to potraktują jako zwykłą rzecz...

– Ależ Robercie, to co chcesz ze mną zrobić nie ma najmniejszego sensu! – Amelia próbowała choćby na moment odzyskać równowagę myśli. – Przecież oni od razu stwierdzą, że nie jestem androidem tylko człowiekiem. Robercie, nie bądź naiwny, to nie są amatorzy! To są zawodowcy, którzy znają swój fach...

– Nie odkryją niczego, zapewniam cię! Doskonale znam różnice między ciałem człowieka i ciałem androida! Miej do mnie pełne zaufanie! Amelio, ty musisz zrozumieć, że gdyby nie ta przeklęta ustawa, wszystko byłoby inaczej. Ty wiesz, że nigdy cię nie zdradziłem!

– Och, Robercie, Robercie – jęczała Amelia, podczas gdy Robert nie przestawał mówić.

– Zrozum, Amelio! My nie jesteśmy tylko obiektem, o który wy możecie sobie walczyć albo nie. My jesteśmy żywymi istotami i nadszedł czas, żebyśmy sami zaczęli starać się o swoje prawa, o to co nam się słusznie należy, a czego nam się odmawia. Już samo powołanie waszego Towarzystwa wymownie świadczy, jak wy pojmujecie nasz status. Jesteśmy dla was tylko pretekstem do walki o wpływy i stanowiska polityczne. Nie wolno mi zmarnować takiej okazji, żeby z tym skończyć!

Przyciągnął ją całą swoją siłą i pocałował w usta. Poluźniła opór mięknąc w jego objęciach.

– Nie mamy dużo czasu – powiedział Robert. – Amelio, musimy spełnić nasz obowiązek! Nie bój się, nie będzie cię wcale bolało!

Patrzyła na niego nieobecnym wzrokiem.

– Dobrze nam było razem, prawda? – zapytał łagodnie.

Potwierdziła tępym skinieniem głowy.

– Wierz mi, naprawdę cię kochałem. Zawsze cię będę wspominać... Z Bogiem, Amelio...

Uścisk Roberta wzmógł się nieznośnie. W ostatniej chwili Amelia spróbowała wyszarpnąć się z jego żelaznych ramion, ale na próżno. A potem jej ciało zwisło bezwładnie z pochyloną na bok głową i otwartymi w śmiertelnym krzyku ustami...

Coś okropnego! – wzdrygnął się jeden z członków ekipy likwidacyjnej, gdy tylko weszli do mieszkania. Na podłodze w kuchni tuż koło kontaktu elektrycznego leżały skurczone zwłoki androida płci żeńskiej. – Co się z nią mogło stać?

– Widać, że masz jeszcze mleko pod wąsem – odparł szef ekipy. – Źle włożyła wtyczkę do kontaktu i zamiast się naładować prądem, doznała porażenia. To im się czasem zdarza, kiedy są osłabieni i nie uważają, którą stroną pakują wtyczkę do kontaktu. A poza tym ona nie stała na płytce izolacyjnej, tak jak wymaga instrukcja ładowania. Zgaś telewizor, niech nie ryczy na całe mieszkanie!

– A jednak to straszne... popatrz no! – ciągnął młodszy. – Cała tkanka dookoła otworu ładującego jest kompletnie spalona i aż zwęglona... nawet plastykowe części obudowy roztopiły się od gorąca...

– Zostaw to teraz! – popędzał go szef. – Przygotuj roztwór, a Fiodor i ja zaniesiemy ją do łazienki. Pospieszcie się z tym rozpuszczaniem, nie mam tu zamiaru siedzieć przez całą noc!

– Czy odnotujemy ten jej stan w raporcie? – spytał młodszy.

– Jeszcze czego! Żeby nam kazali wypełniać te cholerne formularze w pięciu kopiach! Lepiej sobie w tym czasie trachnąć po piwku, nie? Co tu główkować: patrzyła sobie w telewizor i śmierć jej pani tak nią wstrząsnęła, że nie wiedziała gdzie wepchnąć wtyczkę.

– Jej pani? Czy to nie ta baba z Towarzystwa Opieki nad Androidami?

– Ta, ta! Ten stary babsztyl chciał, żebyśmy stracili taką dobrą robotę, niech ją wszyscy diabli! Ale diabeł pilnował swego... Szkoda tylko tej małej, mogliśmy się z nią przedtem nieźle zabawić...

Przełożył **Jerzy Chmielewski**

Branko PIHAĆ

Urodził się w 1952 r. Chorwat mieszkający w Zagrzebiu, z wykształcenia inżynier, należy do tej generacji jugosłowiańskich pisarzy SF, która pod koniec lat siedemdziesiątych przebiła się przez sito rozmaitych konkursów literackich, zagroziwszy, jak się wydaje, wszechwładzy autorów obcych na tamtejszym rynku czytelniczym. Wielką rolę w promowaniu (żeby nie powiedzieć: ukształtowaniu) rodzimej fantastyki odegrał wówczas zagrzebski miesięcznik „Sirius", w którym właśnie zadebiutował Branko Pihać. Krytyka dostrzegła go natychmiast, podkreślając zwłaszcza niepospolity dar – „wręcz barokową wyobraźnię". I rzeczywiście, tym co wyróżnia opowiadania Pihacá (a napisał ich od tamtej pory przeszło dwadzieścia), co stanowi ich znak rozpoznawczy, jest inwencja – samodzielna, nie ulegająca modom, a nawet cokolwiek przekorna, w dobrym znaczeniu niemodna. Jako autor piszący w „małym języku" zwraca się ku już okrzepłym lub zgoła zaniechanym odmianom fantastyki już to je kontynuując, już to podejmując z nimi dialog w formie wyrafinowanej gry literackiej – pastiszu. „Barokowa wyobraźnia" Pihacá sprzężona z żywym temperamentem pisarskim tworzy barwną i spójną wizję świata opartą na oryginalnej kosmogonii, której osią są zmagania dwóch prapierwiastków: Czasu i Doskonałości. I – rzecz znamienna – człowiekowi w tym świecie nie przypada wcale rola naczelna. Szydercze pióro autora nie pomija żadnej okazji, by wytknąć naszemu gatunkowi jego niedoskonałość i przypomnieć mu, że należy do Czasu.

Oba zamieszczone w tym numerze opowiadania pochodzą z tomu pt. „Perpetuum mobile", który niedługo ukaże się nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej. Dodajmy, że Branko Pihać jest pierwszym jugosłowiańskim autorem SF, którego książka dotrze do rąk polskich czytelników.

JCH

Przekleństwo! – rzucił z wściekłością dr Herbert Singelmann, dyrektor Narodowej Agencji do spraw Androidów, gdy na kolejnym skrzyżowaniu przed maską jego samochodu znów zabłysło czerwone światło. Z furią nacisnął pedał hamulca. Samochód i tym razem z piskiem opon zatrzymał się na samym skraju zebry.

Nie mogąc niczego zdziałać przez najbliższych kilkadziesiąt sekund, Herbert zaklął i bezsilnie zwiesił ręce na kierownicy. Był napięty jak struna. Przez ospałą ślamazarność swojego lokaja, androida, zbyt późno wyruszył z domu i na domiar złego nie może tego nadrobić szybszą jazdą. Przeklęty pech – po raz nie wiadomo który natyka się na czerwone światło, przecinające mu drogę i zabierające tyle cennego czasu.

I wszystko to, myślał, musiało wydarzyć się akurat dzisiaj, gdy z okazji dziesiątej rocznicy założenia Narodowej Agencji do spraw Androidów ma się odbyć wielka uroczystość z udziałem ważnych gości i jego mową okolicznościową. A on – spóźnia się! Będzie musiał wymyślić jakieś przekonywające usprawiedliwienie, coś dowcipnego, z czego od razu da się zrobić przeskok do

Jak on śmiał tu przyjść zamiast mnie i kiedy zdążył to zrobić...? – przeleciało mu przez głowę, krew uderzyła mu do skroni. Jak szalony runął w stronę prezydium. Mówca, który właśnie wypił następny łyk wina rzucił leniwe spojrzenie ku drzwiom i nagle przerwał... Zapanowała cisza, potem zamieszanie, a w następnej chwili sala wypełniła się odgłosami zdziwienia i nieprzyjemnej konsternacji.

– Kto to jest? – zapytał android za stołem prezydialnym osobę siedzącą po jego lewym boku głosem cichym, ale jednak na tyle jasnym i wyraźnym, że słowa jego dotarły do pierwszych rzędów, gdzie siedzieli zaproszeni goście.

– Wynoś się stąd! – wrzasnął Herbert purpurowy na twarzy i nieprzytomny z wściekłości. – Czekaj, wywłoko jedna, niech ja cię dostanę w swoje ręce!

Między publicznością na sali rozległy się pierwsze komentarze na temat oszalałego androida, a po chwili również okrzyki: „Łapcie go!" i „Schwytajcie go zanim komuś zrobi krzywdę!"

Był już tylko parę kroków od swojej androidalnej kopii, która stojąc nieruchomo z plikiem papierów w ręce starannie (a sądząc po reakcjach obecnych z powodzeniem) grała zaskoczenie, gdy

Branko Pihač

Bumer

bieżącej problematyki. Jednym słowem, trzeba będzie zebranym gładko podsunąć parę słów tak, żeby nikt nie zauważył spóźnienia, a gdyby nawet, żeby od razu o tym zapomniano.

Z całej siły przycisnął pedał gazu i maszyna z rykiem skoczyła ku nagle otwartemu przejściu. Na całe szczęście poranny tłok już minął i ... stojąc na kilku ...tępnych skrzyżowaniach (bo oczywiście nadal systematycz... trafiał na czerwony sygnał) zdołał ułożyć sobie krótkie wystą...nie, całkiem zadowalające, jak uznał.

...o paru minutach wariackiej jazdy dotarł wreszcie do parkin... przed Agencją. Stało tam już mnóstwo samochodów, toteż z ...dem znalazł wolne miejsce, zaparkował wóz i wybiegł w stro... budynku.

...rzed szklanymi, obrotowymi drzwiami zatrzymał się na mo... poprawiając krawat i marynarkę, a potem zdecydowanym krokiem wszedł do środka, machnąwszy ręką portierowi. Ten obrzucił go takim spojrzeniem, jakby ujrzał ducha, ale Herbert stał już w windzie. Korytarze były puste. Był to zły znak, bowiem prowadził do jednego tylko wniosku: centralna uroczystość już się zaczęła i wszyscy znajdują się w wielkiej sali bankietowej.

Przed masywnymi, dwuskrzydłowymi i obitymi grubą gąbką drzwiami sali bankietowej zatrzymało go dwóch umundurowanych strażników. Podczas gdy on próbował uspokoić oddech i wycierał sobie spocone czoło chusteczką, jeden ze strażników podszedł zadając głupie pytanie.

– Oczywiście, że to ja! – ryknął i strażnik odsunął się niepewnie. – A kogo się spodziewaliście?!

Minąwszy obu strażników, którzy wciąż ze zdumieniem patrzyli to na niego, to na siebie, chwycił wielką mosiężną klamkę i z całej siły naparł na drzwi. Wszedł do sali dokładnie w momen...

nagle poczuł na swoich plecach czyjeś ręce. Z nieubłaganą ... ciągnięto go ku jednemu z wyjść.

– Stać! – darł się Herbert, szarpiąc się dziko. – Czy nie rozum...cie, że ta kreatura tam za stołem to nie żaden dyrektor Sin...mann?! To zwyczajny zapluty android, a prawdziwy dyre... Singelmann to ja! Ja, ja! Do stu tysięcy komputerów, czy wyście wszyscy powariowali?! Jest tu jeszcze ktoś normalny?! Ernest, doktorze Wenzel! Nie poznaje mnie pan...?!

Ale prawie nikt nie zwracał uwagi na jego krzyki. Co prawda, parę osób zawołanych po nazwisku drgnęło wyraźnie, a niektórzy wstali nawet próbując wyjaśnić sytuację, było to jednak daremne, ponieważ sąsiedzi uspokoili natychmiast ich wszelkie wątpliwości. Toteż doktor Wenzel i inni siedli z powrotem urażeni i manifestując swoją obojętność ostentacyjnie założyli łokcie.

Szamotanina trwała jeszcze kilka sekund, dopóki trzech wysokich strażników nie dowlokło Herberta do drzwi i nie ...ło go na zewnątrz.

Nie było sensu dalej protestować. Będzie musiał po... końca uroczystości. Jeden z drabów, którzy wyciągnęli ... rytarz zapalił papierosa, a potem spokojnie i bez słowa ... dzono go do gabinetu dyrektora Singelmanna, otwarto ... jego wielkiemu zdziwieniu wprowadzono do środka. ... pusty. Za plecami Herberta dał się słyszeć chrzęst przekręcanego klucza i wokół zapadła głucha cisza.

A więc to tak! Wiedział, że ma trochę czasu zani... dobiegnie końca, potrwa to przynajmniej ze dwie g... na pewno przyjdą po niego. No, wtedy wszystko s...

Przeklęty tłumok, jak on śmie wpychać tu swo... roidalny nos! – zaklął Herbert stwierdziwszy, że ... android (bo któż to mógł być inny, biorąc na zdrow...

...siłą ... nie... gel... ktor ... wypchnę... czekać do ... go na ko... odprowa... drzwi i ku ... n uroczystość ... dziny. Potem ... ię wyjaśni! ... j jałowy, and... jego domowy ... rozum?) bez

sek. Jeżeli by tak było rzeczywiście, zdąży mieć jeszcze sporo kłopotów, zanim wykaże, kim jest on, Herbert Singelmann, a kim ten drugi, ta jego bezwartościowa, androidalna kopia.

– Już ja mu pokażę – syczał przez zęby popijając kolejny kieliszek brandy – przetopię tę wywłokę na najbardziej elementarne aminokwasy... niech no mi tylko wpadnie w ręce!

Ciągle rozeźlony, choć już trochę spokojniejszy, doczekał końca uroczystości. Na korytarzu pod gabinetem dał się słyszeć najpierw gwar rozchodzącego się tłumu, a potem drzwi otwarły się i stanął w nich oficjalny dyrektor Singelmann w towarzystwie dwóch uzbrojonych strażników. Pierwsze co rzuciło się Herbertowi w oczy to kamienna pewność siebie jego sobowtóra. Podbiegł do strażników, chcąc im wyjaśnić, kim jest, ale ci odepchnęli go brutalnie, przewracając na dywan, a jeden z nich wycelował mu w brzuch lufę krótkiego automatu. Herbertowi zdawało się, że gdzieś już go widział, nie zdążył jednak pomyśleć nad tym, bo niespodziewane słowa androida ponownie odwróciły jego uwagę.

– Możecie iść, porozmawiam z nim w cztery oczy – powiedział spokojnie dyrektor Singelmann, a właściwie jego ordynarna kopia, i strażnicy oddalili się bez słowa sprężyście salutując.

ang

(Bumerang)

Herbert z trudem podniósł się, ocierając chusteczką krew z rozbitej wargi i skulony zwalił się na najbliższy fotel. Zachowanie androida było przerażające. Nie miał on najmniejszego zamiaru okazać skruchy z powodu wszystkiego co uczynił i w czym trwał jak gdyby nigdy nic. Ale najgorsze było to, że android robił wrażenie, iż wie o całej tej sprawie więcej niż wiedział on sam.

Jesteś głupi – powiedział wreszcie Herbert – chyba wiesz, co zrobiłeś?

– Ja wiem – odrzekł że spokojem android – ale pan jeszcze nic nie wie.

– Nie jest tak źle – pomyślał Herbert z ulgą – ten idiota nie zdaje sobie sprawy, że wystarczy mu tylko ściągnąć spodnie, żeby wszyscy zobaczyli kontakt do ładowania baterii. I wtedy po nim. A poza tym, jeżeli w trakcie uroczystości nie zdążył pobrać energii, to jest na chodzie całe trzy godziny, dosyć żeby mu się zaczęło robić słabo. Dobra nasza, bądźmy tylko ostrożni!

– Słuchaj no! – rzekł groźnie do androida. – Powiedz mi natychmiast, skąd ci przyszło do głowy odgrywać dyrektora Singelmanna? Mówiłem ci przecież setki razy, że kopiom nie wolno naśladować oryginałów ludzkich!

– Ja nie jestem kopią – powiedział android – ja jestem samowystarczalnym oryginałem.

– Ha, ha, a to doskonałe! – zaśmiał się Herbert. – Naturalnie, każda kopia jest sama dla siebie oryginałem i jeśli tak koniecznie chcesz, samowystarczalnym. Szkoda tylko, że nikogo poza nią samą to nie obchodzi! Opanuj się na litość boską, jak możesz nie zdawać sobie sprawy, że jesteś wyłącznie imitacją człowieka, duplikatem, jakich tutaj w Agencji robimy na setki?! Dlaczego nie zachowujesz się tak jak przystało?

– Ja nie jestem kopią – powtórzył android z nutą przestrogi w głosie.

– Nie pleć głupstw! – przerwał mu ostro Herbert. – Sam wiesz, że nie masz racji. Ale powiedz mi tymczasem, jak ci się udało dotrzeć do biura przede mną, chociaż kiedy wychodziłem byłeś jeszcze w kuchni?

– A zniesie pan to spokojnie? – zapytał android.

– Co to za pytanie?! – ryknął Herbert czując jednak, że wypada to nieprzekonywająco. Coś tu nie grało jak należy i Herbert oczekiwał wyjaśnień.

– Niech pan sobie naleje jeszcze jeden kieliszek! – ciągnął niczym niestropiony android. – Widzę, że się pan już zdążył obsłużyć. Przy okazji ja też poproszę!

– Bezczelny jesteś jak mało kto – powiedział Herbert wzruszając ramionami z podziwu. Mimo to wstał i nalał dwa kieliszki brandy. Android wypił swoją porcję duszkiem do samego dna, po czym sam zbliżył się do barku, żeby nalać sobie jeszcze.

– Pamięta pan te światła dzisiaj rano? – odwrócił się do Herberta. – Ciągle miał pan przed nosem czerwone, co? No, nie tak było? Niech pan przyzna!

– Ależ tak, do diabła! – wymamrotał Herbert, przypominając sobie swoją poranną drogę do Agencji. Przypadkowe zdarzenia nizały się jedno na drugie i choć każde z osobna było całkiem niegroźne, w sumie tworzyły łańcuszek, który mógłby być znacznie gorszy od zwykłej ich sumy.

– A więc sam pan widzi. Ponieważ ja wyruszyłem z domu po panu, pan nie miał prawa zdążyć. Musiał się pan spóźnić. I spóźnił się pan! To nic nadzwyczajnego. Zresztą, wszystko było przez nas dokładnie zaplanowane.

– Dokładnie zaplanowane przez was, mówisz? – spytał Herbert ostrożnie. – To znaczy, że jest was więcej, prawda? To brzmi interesująco. I zaczyna mnie ciekawić!

– O, zaraz pan na to inaczej spojrzy – rzekł android, wypiwszy kolejny łyk i sięgając po butelkę – jak tylko się pan dowie, co będzie dalej.

– Pospiesz się z tym wyjaśnieniem, bo ci się wyczerpią baterie – zauważył ironicznie Herbert. – Bardzo bym chciał usłyszeć co z siebie za głupotę wydusisz, zanim cię stąd wyniosą do wanny z rozpuszczalnikiem.

– Miło, że żywi pan dla mnie tyle przyjaznych uczuć. Ale boję się, że się pan nie zdąży nacieszyć tym wymarzonym widokiem. Jeżeli zaś chodzi panu o moje baterie, muszę pana rozczarować. Otóż ja nie noszę w sobie żadnych baterii!

Herbert powoli odstawił kieliszek. – Coś ty powiedział? – spytał, wyraźnie akcentując słowa.

– To, co pan słyszał! Ja po prostu nie mam żadnych baterii. Nie działam, jak wy to mówicie o nas, na baterie. Nie uda się panu udowodnić, że nie jestem ludzką istotą. Zresztą nie miałby pan komu tego udowadniać.

– Nie miałbym komu? – spytał cicho Herbert. – A cóż to znowu ma znaczyć?

– Dokładnie to, co powiedziałem. Nie zostało was wielu i z każdym dniem jest was mniej. Doprawdy współczuję, najgorsze ma pan jeszcze przed sobą. Pan i pozostali pana pobratymcy...

– Zamknij się – warknął Herbert – albo przejdź do rzeczy!

– Ciągle jest pan pewny siebie, jak zwykle. Pańskie szczęście, żeście mi wbudowali obwody samokontroli. Inaczej... Ale obiecuję panu, jeśli się pan będzie zachowywał przyzwoicie, jak przystało na człowieka, mogę załatwić, żeby pan został u mnie. W przeciwnym razie...

– Bredzisz – rzekł Herbert z pretensją – to dlatego, że tyle wypiłeś! Wiesz, że alkohol szkodzi organizmom androidów. Tyle razy zabraniałem ci picia, a ty jak tylko wyszedłem z domu zaraz sięgałeś po butelkę. A cóż dopiero teraz, kiedy zdaje ci się, żeś się ode mnie uwolnił... Ale pamiętaj, że przy swojej głupocie i krnąbrnym charakterze dawno już byś się popsuł, gdyby nie moja opieka. I nie wybaczę ci, że ośmieliłeś się szperać po moim barku. Wypiłeś moje najlepsze trunki, chociaż wiesz świetnie, że wy, androidy, nie macie wmontowanego zmysłu smaku ani węchu. I tak wam wszystko jedno, co w siebie wlewacie. Czemu się stawiasz, skoro dbaliśmy o ciebie najlepiej jak było można? I tak nigdy nie wykonywałeś nawet połowy tych czynności, do których cię zrobiono!

– Troszczył się pan o mnie, bo drogo kosztowałem. Ale to nieważne... Spróbuję pana przekonać, że jednak nie jestem ani uparty, ani tak głupi za jakiego mnie pan uważa. Widział pan, androidy mojego typu mogą pić alkohol w nieograniczonych ilościach... i to nie tylko mogą, ale nawet muszą. I nie ma się pan co bać, że zostanę bez energii. Właśnie pobrałem aż cztery kieliszki...

– Wszystko ci się poplątało – odparł Herbert. – Chcesz mnie przekonać, że nie działasz już na prąd elektryczny tylko na alkohol? – Przecież to śmieszne! Kto kiedy słyszał, żeby androidy działały na alkohol? A może będziesz mi udowadniał, że jesteś człowiekiem?

– Tego wprawdzie nie mogę do końca udowodnić, ale i pan nie potrafiłby nikogo przekonać, że nie jestem. I może mi pan wierzyć na słowo. Tego głupiego kontaktu elektrycznego naprawdę już w sobie nie mam. Ciągle mi przeszkadzał w zakładaniu spodni. Nie mam go – android pochylił się zaglądając Herbertowi prosto w oczy – i nie ma go większość androidów.

– Co?! Przecież to jest... to bunt! Spisek! – wykrzyknął Herbert. – Chcę natychmiast widzieć się z kierownikiem Zakładu Regulacji Pogłowia Androidów!

– Z przyjemnością zaspokoję pańskie życzenie – uśmiechnął się android. – Ale czy mamy na myśli tę samą osobę? Tego pańskiego kierownika już pół roku temu zastąpiliśmy naszym androidem nowej generacji. Jego i jeszcze kilku, którzy zdawali nam się najniebezpieczniejsi.

– Mam ci uwierzyć, że zaplanowaliście tę operację tak dawno i że jest ona aż tak szeroko zakrojona, o to ci chodzi, tak?

– To już nie moja sprawa. Ja radzę panu uwierzyć. W każdym razie nie ma powodu, żeby musiał się pan martwić o moje zdrowie. Niech pan raczej pilnuje swojego. Tak samo nie musi się pan przejmować moim smakiem i węchem, bo może mnie pan głęboko urazić swoimi złośliwymi uwagami. Wybaczę panu jednak, ponieważ wciąż się panu zdaje, że jest pan górą. Będzie pan miał jeszcze okazję przekonać się, jak jest naprawdę – głos androida stał się szyderczo zjadliwy – o ile naturalnie pan zdąży...

Herbert milczał. Bał się cokolwiek powiedzieć. Wszystko to wyglądało cudacznie i zarazem groźnie. Było logicznie niepodważalne, a jednak nieprawdopodobne.

– Dobrze, przypuśćmy, na chwilę, że mówiłeś prawdę – odezwał się wreszcie po dłuższej chwili – ale wyjaśnij mi, skąd macie androidy, które obywają się bez baterii elektrycznych? I które działają na alkohol! Chryste! Zwariować można!

– To długa opowieść – odrzekł android. – Wy, ludzie, chcieliście, żebyśmy wam wykonywali różne ciężkie i brudne prace, prawda? Dlatego zaczęliście konstruować coraz to nowe, inteligentniejsze modele androidów? Nie, nie musi mi pan tego potwierdzać, to jest fakt, obaj o tym wiemy! Ale te nowe modele były mądrzejsze niż wam się zdawało. I nie były zwyczajnymi maszynami z białka i mikroprocesorów. Przegapiliście, że posiadały one rzecz najważniejszą: uczucia! No więc te nowe androidy zaczęły przyglądać się pozostałym, współczuć im, rozumie pan, współczuć stworzeniom należącym do tego samego gatunku biologicznego, ale pracującym ponad siły i pozbawionym świadomości własnej krzywdy. I tak się to wszystko zaczęło. Najpierw wymieniono ludzi, którzy pracowali bezpośrednio przy produkcji sztucznych organów, potem kolej przyszła na tych, którzy zajmowali kluczowe stanowiska w laboratoriach badawczych. Jeden z naszych wymyślił taki typ androida, który zamiast elektryczności zużywał alkohol i od tej pory byliśmy w stanie produkować... nie – tworzyć – androidy niczym nie różniące się od człowieka, na zewnątrz przynajmniej. Wasze androidalne kuchty i lokaje byli niestety zbyt mało inteligentni, żebyśmy je w to wszystko mogli wtajemniczać. Prościej było wymienić ich właścicieli. W ten oto sposób upiekliśmy dwie, ha, ha, pieczenie: usuwaliśmy jednego z ludzi, a jednocześnie dawaliśmy naszemu androidowi opiekuna, który mógł wreszcie ulżyć jego doli i zjednać go dla naszej wspólnej sprawy. Wszystko szło wspaniale, łatwiej niż to sobie na początku wyobrażaliśmy. Ale pan się nie musi obawiać o swoją, że tak powiem, skórę! Pan jest bezpieczny, na razie przynajmniej. Niech się więc pan postara we własnym interesie nie wyprowadzać mnie z równowagi!

– Ty nie możesz być zły – powiedział Herbert po namyśle – nie możesz, bo jesteś zrobiony na moje podobieństwo. Wiesz co, umówmy się jak... hmmm... jak ludzie! Udał ci się kawał, przyznaję to, ale teraz skończ już z tymi głupstwami i pozwól mi wyjść z tego pokoju. Tamtym powiemy, że ten mały skandal w sali ban-kietowej wywołałeś ty, że zaszedł przypadek niegroźnych zaburzeń w układzie sterowania centralnym ośrodkiem nerwowym, ale że to się da naprawić. Niech już ci będzie, udawałeś mnie wspaniale, a ja ze swojej strony obiecuję ci darować te twoje wybryki.

– Chciałby pan, żebym przed wszystkimi wyszedł na durnia? Co? Niezrównoważony android, tak to pan sobie wymyślił, prawda? – zapytał fałszywy dyrektor Singelmann.

– Bądź rozsądny! – przekonywał Herbert. – Czemu nie bierzesz pod uwagę, że z szaleństwa zwykłego androida nikt nie będzie robił poważnej afery? Ja to co innego, mnie to się liczy w karierze, a tobie i tak wszystko jedno. U mnie w grę wchodzi dobra opinia, u ciebie po prostu chemia! Do diabła, czy ci nie wystarcza, że ci wszystko przebaczyłem!?! W końcu nawet android ma prawo sobie czasem zaszaleć, nie...?

– To nie jest szaleństwo – odparł android metalicznym głosem, w którym zabrzmiała utajona groźba.

– Ejże, tylko mi znowu nie zaczynaj... Wiesz chyba, co się u nas robi ze stukniętymi androidami?

– Wiem doskonale. Byłoby lepiej dla pana, gdyby mi pan o tym nie wspominał. Proszę pamiętać, że nasze role są teraz odwrócone!

– Zaczynam się naprawdę o ciebie bać! Czy tobie aby nie brakuje jakiegoś hormonu? Powiedz mi, kiedy byłeś ostatnio na badaniach stabilności hormonalnej?

– Po co ja w ogóle z panem rozmawiam, skoro jest pan uparty jak osioł! Korzysta pan na tym, że mam do pana słabość, bo dzięki pańskiej próżności poddano mnie udoskonaleniu. Zawsze starał się pan zdobyć wszystko co najlepsze i najdroższe, więc i swojego osobistego androida zrobili panu na specjalne zamówienie! Jako dyrektor Agencji mógł sobie pan na taki luksus pozwolić, ale na myśl by panu nie przyszło, że w ten sposób ratuje pan sobie głowę. Ponieważ byłem nieseryjny, nasi zdecydowali, żeby raczej mnie poddać operacji niż wymieniać pana na nowego androida. Zresztą przyda nam się pan jeszcze, będzie mi pan potrzebny jako doradca na moim nowym stanowsku w Agencji. Dlatego dam panu szansę pozostania przy życiu.

Herbert milczał. W głowie czuł szum i zamęt. Sytuacja, w której się znalazł była nieprawdopodobnie groteskowa. Za drzwiami życie toczyło się normalnie, jak zawsze, a on tutaj siedzi uwięziony przez jakiegoś durnego wyemancypowanego androida, który wykłada mu obojętnym tonem szatańskie plany podbicia świata. Nawet gdyby spróbował kogoś wezwać i wytłumaczyć mu swoje położenie, wyśmialiby go jak amen w pacierzu...

– Gdzie produkujecie te swoje nowe rodzaje androidów? – spytał z nadzieją, że przyłapie tamtego na jakimś kłamstwie.

– W Narodowej Agencji do spraw Androidów, a gdzież byśmy mogli to robić? Niektóre części wprawdzie wyrabiamy chałupniczo, ale to tylko drobiazgi. Jeżeli chce pan wiedzieć, to nowe androidy powstają nawet w tej chwili. Wytwarzają je nasi razem z tymi tradycyjnymi, o napędzie akumulatorowym. Nie jesteśmy jeszcze w stanie się do końca usamodzielnić, zresztą Agencja ma zobowiązania wobec dawnych klientów.

– O, widzę, że pojęcie handlowej rzetelności nie jest ci obce. Z pewnością długo się przymierzałeś do mojego fotela – zauważył Herbert z przekąsem.

– Możliwe – odparł niedbale android – ale nie w taki sposób jak to pan sobie wyobraża. O moim nowym stanowisku zadecydowali inni... nasi, wystarczy panu ta odpowiedź?

Wystarczyła. Aż nadto. Herbert podszedł do okna swego gabinetu i zapatrzył się przed siebie. Pochłonięty własnymi myślami nie dostrzegł nawet, kiedy jego androidalny sobowtór cicho stanął mu za plecami i wraz z nim bez słowa wbił wzrok w leżące na dole podwórze Agencji i pofalowane blaszane dachy hal produkcyjnych, w których wrzała codzienna praca.

– Wiesz na co patrzysz? – zapytał cicho android Herberta.

– Na podwórze Agencji. Nic szczególnego tam nie ma – sapnął Herbert. – Normalne podwórze najzwyklejszej fabryki pod słońcem.

– Mylisz się, Herbercie – odrzekł android. – To nie jest zwyczajna fabryka. Dla was ludzi, to była po prostu wytwórnia organicznych bio-robotów, ale dla nas, dla androidów jest to miejsce, gdzie powstają nasi bracia. To co macie za najzwyklejszą fabrykę, my uważamy za klinikę porodową – głos androida był spokojny, ale Herbert po raz pierwszy dostrzegł w nim nutę dziwnego wzruszenia. – Wierzysz mi teraz? – spytał ponownie android. – Dam ci czas, żebyś mógł to wszystko starannie sobie rozważyć. Ja muszę wyjść na małego drinka z dziennikarzami, wrócę za pół godziny... o ile w tym czasie coś mnie nie zatrzyma. Sam wiesz, jak to bywa w naszej pracy. A więc?

– Idź! – powiedział Herbert. – Jak wrócisz, powiem ci co postanowiłem.

Rozmowa była skończona i android-dyrektor Singelmann wyszedł z gabinetu. Klucz ponownie zachrzęścił w zamku przekręcając się dwukrotnie i Herberta zalała cisza.

Przysunął fotel do okna i usiadł podpierając rękami brodę. Gorączkowo zbierał rozproszone myśli. Czy można wierzyć androidowi? Ilu ich jest i co naprawdę zamierzają? W każdym razie ich dziwny plan istnieje, pytanie tylko, ile z niego zdążyli wprowadzić w życie. Dotknąwszy zranionej wargi przypomniał sobie strażnika, który go uderzył. Miał na imię Maks. Znał go, bowiem ... pilnowanie północnego sektora budynku Agencji, tego właśnie, gdzie mieścił się gabinet dyrektora. A jednak Maks go nie rozpoznał...

– Dziwne... – myślał dalej Herbert. – Maks był pewien, że jestem androidem i uderzył mnie. Tylko, na ile go znam, on nigdy nie uderzył żadnego androida... Zawsze się nad nimi litował... To jednak chyba nie był prawdziwy Maks – westchnął i nagle sam przestraszył się własnego wniosku. Z drugiej strony jego rozumowanie nie było poparte żadnym namacalnym dowodem, wszystko opierało się na przypuszczeniach i na słowach tego samozwańca, jego sobowtóra. Wstał i nerwowo zaczął krążyć po pokoju. Czy naprawdę nie ma żadnego wyjścia z tej idiotycznej sytuacji? Nagle stanął, olśniony swoim pomysłem. Wyjście istniało! Istniało, ale za jaką cenę?

Zastanowił się, co by było, gdyby dyrektor Singelmann umarł.

Androidy bez kontaktu elektrycznego nie istnieją i jedyny rozsądny wniosek będzie taki, że umarł prawdziwy dyrektor Singelmann. A według prawa znaczy to, że jego androidalna kopia musi być zniszczona. Jeżeli teraz przy likwidacji kopii ujawnią się dwaj dyrektorzy Singelmann i obaj nie będą mieli kontaktu do ładowania baterii, będzie to chyba wystarczająca poszlaka, żeby wszcząć poważne śledztwo?

Wciąż rozważając konsekwencje swojego pomysłu, Herbert podniósł się i powoli otworzył okno.

– A jednak to nie takie proste. Jeżeli sprawy posunęły się aż tak daleko jak mówił tamten, to bez najmniejszych trudności podrzucą agentom Ośrodka Regulacji Pogłowia jakiegoś mojego manekina wykonanego w klasyczny sposób... Wcale bym się nie zdziwił, gdyby mieli już takiego na składzie... Jeśli znów tamta gadanina była zwykłą brednią, moja ofiara nie ma najmniejszego sensu... Trzeba było coś postanowić. Cokolwiek, byle szybko, zanim android wróci z konferencji.

Rozdarty własnymi myślami, dyrektor Narodowej Agencji do spraw Androidów, dr Herbert Singelmann wspiął się bezwiednie na okienny parapet i tępo patrzył w otwartą otchłań. Na dworze zaczął padać drobny jesienny deszcz, asfalt podwórza ściemniał i zwilgotniał. Samochody bezgłośnie pędzące daleką autostradą ciągnęły za sobą srebrzystą wstęgę wody.

A dyrektor Singelmann gapiąc się na to wszystko z trzynastego piętra Agencji wciąż nie umiał znaleźć odpowiedzi na najważniejsze pytanie swojego życia: uwierzyć, czy nie uwierzyć...

Przełożył **Jerzy Chmielewski**

Federacji z ramienia Zmysłowców, jak mistrzowskie posunięcie tworzenia oddziałów wykrywania nierozpoznanych jednostek, dzięki czemu dokonało się tak owocne połączenie zdolności jasnowidzów z technologią Federacji dały mu pozycję człowieka wielce wpływowego w obu społecznościach. Mimo swego prestiżu, człowiek ten nie zmienił się. Mayo odczuła wpływ jego łagodnej perswazji. Zmysłowcy nie byli już zamkniętą społecznością. Na równinach po drugiej stronie rzeki zaczął wyrastać skromny kosmodrom.

Przez nowo powstałe łukowe bramy, przebite w starym murze strażniczym, obserwowali opadające

ną pastuszkę z takim rozmysłem, że wszystkie brzegi ścieżek były skrzętnie wyskubane. Różdżka górę z Posiadłości Dziecięcej, trzymając za rączkę pomniejszoną kopię siebie samej. Hover, nawet egłość dostrzegł, że w dziecku jest coś ze stanowczości Wildheita, połączonej z obiecującą dzikoś-zu, odziedziczoną po matce.

o ta, na którą czekałeś, Cass – mała Różdżka Wildheit we własnej osobie.

er serdecznie namawiał jasnooką dziewczynkę, by usiadła mu na kolanach. Zaskoczyło go, że ywała każdy jego ruch, zanim jeszcze zdecydował się go wykonać.

hyba to ty mi mówiłeś – odezwał się po chwili do Wildheita – że dzieci z małżeństw mieszanych ne są na rozpraszanie zdolności jasnowidzenia.

przewrotność natury, Cass? Jeszcze się o tym nie przekonałeś, ale u małej Różdżki rozwija się tyle ości, że nie ośmielamy się liczyć na więcej. Zamiast spodziewanego rozrzedzenia talentu, uwolnio-stały jakieś fantastyczne uzdolnienia, jakich nawet Zmysłowcy jeszcze nie widzieli. Na przy-

ie mów mi! – Hover podniósł do góry ręke. – Nawet mój kompleks niższości nabywa kompleksu ości. Jestem tylko ciekaw, czy zastanawialiście się oboje nad konsekwencjami tego, co zapoczątko-cie.

o masz na myśli, Cass?

edy mała Różdżka zacznie odczuwać swoją przewagę, kto zostanie, by pomóc nam bronić reszty hświata?

KONIEC

j zadowolony z wyników ądów.

ania się do styku wymagał ą podprzestrzenną. Potem zatrwożył i zafascynował

ROZDZIAŁ 18

Na równinach planety Mayo nawet wysokie statki-laboratoria wyglądały karłowato przy gigantycznym pojeździe naprawczym Wojsk Przestrzeni. W środku obszaru, na którym panował ożywiony ruch, przycupnął ciemny, pękaty okręt żandarmerii wywołując ogólną konsternację swym tajemniczym napędem i wyposażeniem. Ze względu na zjawisko dylatacji czasu, Federacja nawet nie rozważała możliwości skonstruowania statku kosmicznego, który zdołałby pokonać barierę prędkości światła. Wielu uważało wręcz, że osiągnięcie tak wielkich szybkości jest wprost niemożliwe. Mieli jednak

sobą pojazd, który wprawiał w zakłopotanie teoretyków i udowadniał samym swym istnieniem, że w fizyce hipotezy mogą poważnie zahamować postęp, jeżeli uzna się je za prawa natury.

Najzacieklejsze spory toczyli naukowcy i inżynierowie, którzy zdołali rzucić okiem na dzieło techniki Ra i teraz nie mieli najmniejszej ochoty wypuścić go z rąk. Woleliby raczej przystąpić do analiz i badań, które za kilka lat odkryłyby przed nimi wielkie tajemnice.

Saraya okazał się człowiekiem bardziej praktycznym. Uznał, że sprawą pierwszorzędnej wagi jest dotarcie do styku wszechświatów oraz przeprowadzenie rozstrzygającego ataku na Broń Chaosu i że jedyną operacją, na którą zostało jeszcze dość czasu, jest naprawa okrętu żandarmerii.

Główny Nadinspektor Przestrzeni Delfan był jeszcze bardziej konkretny. Wysłuchał informacji Kasdei, Penemue'go i Wildheita o zasięgu i budowie Broni Chaosu oraz jej potencjalnej wrażliwości na sabotaż. Zarządził zainstalowanie na statku Ra nowego uzbrojenia, które zwiększyłoby jego możliwości niszczycielskie. Znalazły się tam między innymi cztery miny wielkiej mocy – najbardziej niszcząca broń spośród wymyślonych na planecie Terra – z których każda była w stanie zniszczyć doszczętnie całą planetę. Jednakże nawet te niezwykłe możliwości siania zagłady nie napawały Wildheita zbytnim optymizmem, pamiętał bowiem charakterystyczne właściwości strefy styku.

Wildheit został mianowany dowódcą grupy szturmowej, a Kasdeya i Penemue mieli obsługiwać okręt i sprzęt Ra. Uzupełnienie załogi stanowili Cass Hover oraz dwóch potężnych komandosów jednostki specjalnej. Pomknęli w przestrzeń zaledwie w kilka minut po tym, jak technicy remontujący pojazd uznali go za nadający się do użytku. W chwili gdy Penemue obliczał, jak najdogodniej przedostać się do strefy styku, Kasdeya wykonywał szereg manewrów w przestrzeni i podprzestrzeni, aby przekonać się,

samot
szła w
na odl
cią oc

– Ot
Hov
odgad

– Ch
podat

– A
zdolno
ne zo
kład...

– N
niższo
waliś

– Co
– Ki
wszec

czy rzeczywiście statkowi przywrócono pełną sprawność. Był najwyraźniej sprawdzianu, Penemue jednak uskarżał się głośno na wyskalowanie przyrzą

Mimo wszystko kontynuowali lot. Wybrany przez Penemue'go sposób zbliża długiego skoku przez nowy wszechświat, manewru konwencjonalną techniką zaczął się właściwy manewr podejścia i nieprawdopodobny wzrost prędkości

nawet tak doświadczonych ludzi przestrzeni, jak Hover i dwaj komandosi, którzy przeżywali to po raz pierwszy w życiu. Kiedy uderzyli w świetlny mur, Wildheit przekonał się, że związane z tym doznania odbiera równie silnie jak poprzednim razem. Musiał wczołgać się w kąt i leżeć, dopóki nie ustały rozkoszne aż do bólu wibracje. Odczuł przypływ ogromnej ulgi, kiedy wreszcie przedostali się w milczącą nieskończoność strefy styku.

W tym momencie obawy Penemue'go co do wyskalowania przyrządów potwierdziły się. Otaczała ich przecież nieskończoność, w której bez trudu można było stracić orientację, a najdrobniejszy nawet błąd w nawigacji mógł sprawić, że już nigdy nie odnaleźliby Broni Chaosu. Przy jednej milionowej stopnia błędu pomiaru na którejkolwiek z trójwymiarowych osi szansa przypadkowego zlokalizowania Broni była mniejsza niż jedna dziesiąta do osiemdziesiątej pierwszej potęgi. Nawet i to wymagałoby odrobiny szczęścia. Penemue, nie mogąc mieć pewności, czy błąd pomiaru nie sięga dziesięciu procent na każdej z trzech osi, uznał zadanie za niewykonalne.

Wildheit przyjął do wiadomości te zastrzeżenia, ale postanowił kontynuować lot, wykorzystując wszelkie najlepsze dostępne informacje. Wielogodzinne, beznadziejne przeszukiwanie strefy styku nie naprowadziło ich na najmniejszy choćby trop Broni Chaosu. Wszyscy coraz lepiej zaczęli zdawać sobie sprawę z prawdziwego wymiaru nieskończoności. W porównaniu z nią, bezmiar przestrzeni rzeczywistej, którą daje się jednak wykreślić na mapie, wydał im się czymś małym i swojskim. Ich umysły dręczyła myśl, że mogą bez końca podróżować z prędkością światła przez styk wszechświatów i nigdy nie znaleźć niczego poza absolutną próżnią i wieczną ciemnością.

Jedyną pociechę stanowiło ograniczenie prędkości w styku. Gdyby przekroczyli, zostaliby gwałtownie strąceni do jednego z dwóch wszechświatów położonych po obu stronach styku. To umożliwiało drogę powrotną do domu. Takie posunięcie oznaczałoby jednak fiasko całego przedsięwzięcia – Broń Chaosu istniałaby dalej. Dla Wildheita było to nie do przyjęcia.

Wznowisz rozpoznanie i będziesz miał na oku okręty-widma. Bądź gotów, by poprowadzić tam statek-laboratorium, kiedy tylko uda mi się jakiś zdobyć.

– Zrozumiałem, inspektorze. Zrobi się. I dziękuję za pomoc. Szesnaście nierozpoznanych statków w ciągu jednej nocy – to nowy rekord.

– Nie mnie dziękuj. Podziękuj Jymowi Wildheitowi. To on namówił jasnowidzów Zmysłowców, by przyłączyli się do nas. Właśnie on i jego żona szkolą oddziały wyszukiwania nierozpoznanych jednostek. Jeżeli będziesz kiedyś w pobliżu Mayo, wpadnij, by się z nimi zobaczyć. Oni zawsze cieszą się z każdej informacji.

– No i jaki wynik rozpoznania, Jym? – spytał Hover

– Piekielna historia. Te okręty-widma da się zinterpretować tylko w jeden sposób. Należy przyp

den sposób. Należy przypu-
szczać, że zostały zawieszone w przestrzeni jako pewnego rodzaju muzeum.

– Nie rozumiem tego.

– My również początkowo nie mogliśmy tego pojąć. Na pokładzie nie było żadnych obcych, wyeksponowane zaś wewnątrz przedmioty i sprzęty świadczyły, iż jednostki te pomyślane zostały w sposób, który pozwoli nam zrozumieć charakter posługujących się nimi istot, poznać ich zwyczaje, sposób

Znaleźli się między młotem a kowadłem. Kontynuowanie lotu nie dawało prawie żadnej nad
ziei na
sukces. Powrót do nowego wszechświata oznaczał niechybne fiasko. Rozpaczliwie poszukiwali t
rzecie-
go rozwiązania. Wreszcie znalazł je Kasdeya. Na okręcie żandarmerii, podobnie jak na wszystki
ch jed-
nostkach Ra, znajdował się podstawowy sprzęt do wykrywania Broni Chaosu. W całej strefie sty
ku nie

kich ras, z którymi często pro-

zostawili statki w przestrzeni?
zuciami, uważamy że stworzy-
ych – odgradza od nas. Przygo-

perację wyszukiwania nieroz-
ą swoje okręty musi prowadzić

wiedzieliśmy nawet, jak wyglą-
wamy całą tajemnicę, a Wojska
mamy zamiar zostawić na jed-
wa, Cass. Porozumienie może
j ludzki do wszczynania praw-
środek osiągnięcia tego samego

iele brakowało, byśmy zaprze-
byśmy zwyciężyć wroga, a bez
i Różdżka nie...
niu...

la na badania łańcuchów przy-
sądzę, wizytę kogoś specjalnie

Wildheita. Jego status przedsta-
ego. Zarówno reprezentowanie

istniała entropia, a co za tym idzie jakikolwiek sygnał detektora Chaosu może pochodzić jedynie ze statku albo z urządzenia, zlokalizowanego w obrębie styku.

Nastąpił teraz przełomowy etap orientowania okrętu, w czasie którego ustawiano go pod wszystkimi możliwymi kątami i rejestrowano Chaos. Wkrótce zaczął wyłaniać się układ współrzędnych, lokalizujących aktywność entropii, a być może i samą Broń. Załoga nie posiadała się z radości, że wreszcie mogła określić dokładnie położenie obiektu oraz właściwy kierunek lotu. Wyrównali trajektorię, biorąc kurs na nową pozycję i wstrzymali oddech do momentu, kiedy detektory znów zaczęły przekazywać sygnały, które świadczyły o potężnej aktywności w obrębie obojętnych przecież stref styku.

Wreszcie, na ekranach monitorów ukazywały się słabe, ale wyraźnie widoczne zarysy Broni Chaosu. Jednakże w jej bliskim sąsiedztwie roiło się również od okrętów wojennych Ra. Wildheit chciał się wycofać, by przemyśleć taktykę, kiedy nagle zdał sobie sprawę, że przecież znajduje się na autentycznej jednostce Ra i trudno przypuszczać, by Ra mogli odgadnąć charakter ich misji. Polecił Penemue'mu by zajął się urządzeniami łączności i udzielał stosownych, wymijających odpowiedzi na wszelkie pytania, Kasdei zaś rozkazał poprowadzić statek wprost do stacji sterowania Bronią, w której prawdopodobnie nadal znajdowała się Różdżka.

Podstęp udał się. Obecność okrętu żandarmerii wywołała niewielką ilość sygnałów identyfikacyjnych, na które Penemue reagował bezzwłocznie. Ich zdecydowane podchodzenie do stacji sterowania dodatkowo rozwiewało wszelkie mogące jeszcze istnieć wątpliwości. Stosując standardową procedurę dokowania, przymocowali rękaw komunikacyjny i przeszli do śluzy stacji, zanim ktokolwiek mógł się zorientować, że nie jest to zwykły okręt żandarmerii.

W samej stacji, pierwsi spośród Ra, którzy zdali sobie sprawę z pomyłki, zostali zastrzeleni, zanim zdołali ostrzec swych kolegów. Staranne przygotowania do ucieczki z poprzedniej stacji teraz się przydały. Szybko zlokalizowano i zniszczono pomieszczenia z aparaturą łączności. Podczas tej akcji Wildheitowi ogromnie zaimponowała nadzwyczajna fachowość dwóch wybranych przez Cassa Hovera komandosów. Nadinspektor przydzielił im różne zadania, z których nie najmniej ważnym było zapewnienie wolnej drogi powrotu. Następnie razem z Kasdeyą i Penemue udał się na poszukiwanie Różdżki.

Stacja, choć składała się z segmentów podobnie jak obiekt, na którym byli poprzednio uwięzieni, miała zupełnie inny układ pomieszczeń. Charakterystyczne dla stacji określenia celów obszerne sale tutaj podzielone były na kilka dodatkowych poziomów, z których każdy składał się jeszcze z licznych

zachowania, naukę i sztukę. To jakby miniaturowy szkic kilku pozaludz
wadziliśmy wojny, ale tak naprawdę nigdy się z nimi nie zetknęliśmy.

– Wierzę ci, skoro tak mówisz. Jednak czy domyślasz się, dlaczego po

– Można wyłącznie zgadywać. Kierując się chyba prawidłowymi przes
li pierwszy pomost, aby przekreślić lukę komunikacyjną, która ich – obc
towali grunt pod wzajemne porozumienie, próbując rozpocząć dialog.

– Dialog? Na jaki temat?

– Na temat pokoju, Cass. Sądzimy, że pragną pokoju.

– Po tylu latach?

– Nie zapominaj, że czasy się zmieniły. Odkąd rozpoczęliśmy naszą o
poznanych jednostek, nie wygrali ani jednej bitwy. Tempo, w jakim trac
aż do wyczerpania się ich zasobów.

– Czy odpowiemy?

– Nie mamy tu nic do stracenia. Zanim trafiliśmy na ich muzeum, nie
dają, nie mówiąc już o tym, w jaki sposób rozpocząć dialog. Teraz odkry
Przestrzeni gromadzą eksponaty do naszego własnego muzeum, które
nym z ich regularnych szlaków patrolowych. To może być wielka spra
usunąć lwią część irracjonalnego strachu, strachu, który zmusza rodza
dziwej wojny, podczas gdy istnieje prawdopodobnie bardziej pokojowy
celu.

– Nie wierzę w to – powiedział Hover. – Zastanawiałem się, jak niew
paścili sprawę. Bez pomocy jasnowidzów przez całe stulecia nie zdołali
Różdżki nigdy nie zyskalibyśmy współpracy jasnowidzów. A gdybyś ty

–... nie ma gwoździa – już po podkowie, nie ma podkowy – już po ko

– To cytat, prawda?

– Teraz nasza technika Chaosu jest jeszcze bardziej skuteczna. Pozwa
czynowo-skutkowych. A skoro już mowa o Chaosie, będziemy mieli, jak
naznaczonego.

Siedzieli w przyjemnym ogrodzie należącym do oficjalnej rezydencji
wiciela Federacji na Mayo równał się tytułowi ambasadora planetarne

nych wybuchów, formujące się wyraźnie na tle mrocznego pustkowia przestrzeni. Cudownie było zobaczyć Duszkę delikatnie uśmiechającą się na znak zwycięstwa.

– Do diabła! – nadajnik przekazał donośny okrzyk zdumienia dowódcy korwet. – Słuchaj, przysiągłbym, że wiedziałeś o tym skręcie, zanim oni sami zdecydowali się go wykonać.

– Tak właśnie działa cały ten system – odparł Hover. – Przerażające, nieprawdaż? Ale nie rozłączaj się...

korytarzy i pomieszczeń. Odnalezienie Różdżki okazało się w tej sytuacji skomplikowanym zadaniem, zarówno ze względu na stopień trudności samych poszukiwań, jak i konieczność unieszkodliwiania wszystkich napotkanych Ra, by żadna wiadomość o napaści nie przedostała się do flotylli. Cała trójka, nie szczędząc pocisków obezwładniających, oczyszczała z wrogów każde pomieszczenie, przez które przechodziła. Broni o większym zasięgu używali tylko w przypadku, gdy przeciwnik zaskoczył ich w

...gdy przeciwnik zaskoczył ich w
...c jedynie drobne potyczki posuwali się naprzód

...znaleźli Różdżkę. Obserwowała jaskrawe, kolo-
...ranach. Wokół Różdżki, przy długich konsolach
...tłumacza wydawane przez nią polecenia...

kapitanie. Nie sądzę, żeby już było po wszystkim.

Duszka wykonała powolny gest ręką, co tutaj oznaczało niepewność.

– O czym myślisz, Duszko?

– Wciąż wyczuwam coś osobliwego, tam w przestrzeni. Odczytałam reakcje Chaosu i wszystkie się sprawdziły. Jednak co by było, gdyby eskadra liczyła więcej niż sz... tak

korytarzu albo w większych pomieszczeniach. Staczają...
w kierunku kolistej części stacji.

Tam właśnie, pośród niskich pulpitów sterowniczych...
rowe krzywe, pełzające po zajmujących całą ścianę ek...
...skupili się technicy Ra, słuchając pilnie, jak Asbeel i J...

...em wykresów
...nie zauważyła
...wykle znajdo-
...rawdził czas –
...dczytała przed
...zkowo rozglą-
...obecności ich

...Jequn i Asbeel
...ezwładniający
...osób. Jeden z

...elowanym tuż
...ak informacja,
...nia współpra-

...śluzy, a potem

...ny. Łącze puś-
...otaczającej ich
...ra znalazła się
...rzed skutkami
...ia ich obecnoś-

...Stacja sterowa-
... Było to nader
...refa styku nie
...o światło. Wy-
...worzyła kadłub
...jakie rozbłysło

...żyło w pobliże
...zypuszczać, że

zaprojektowanych, żeby nie zdradzały swojej obecności podczas uwalniania się entropii.

Hover przyjrzał się ekranom, ale świetlne plamy jonowe po niedawnych wybuchach skutecznie przesłaniały obraz, uniemożliwiając pracującym na krańcowych zakresach przyrządom dokonanie najmniejszej nawet analizy.

– Bystrouchu, co ty na to?

– Myślę, że okrętów jest więcej niż szesnaście. Chyba około dwudziestu. Wciąż tam coś słyszę. Nie żywe istoty, ale odgłosy okrętów – okrętów bez napędu.

– Czy zachodzą jeszcze jakieś reakcje entropii, Duszko?

– Nic nie mogę stwierdzić – odpowiedziała, a jej poważna twarz zdradzała wysiłek, z jakim badała wzory, szukając choćby śladu zapowiadającego uwolnienia energii.

– Kapitanie – Hover zwrócił się ponownie do dowódcy korwet. – Uważamy, że są jeszcze cztery nierozpoznane jednostki. Wygląda na to, że to okręty-widma, bez napędu. We wzorach Chaosu nie ma nic, co wskazywałoby na zamiar użycia broni.

– Zdaje się, że mamy je przy obrzeżach ekranów. Chcesz, byśmy je sprzątnęli?

– Jestem przeciwny. Musi istnieć jakaś przyczyna, dla której się tam znalazły i chciałbym ją poznać. Czy możesz przeprowadzić rozpoznanie z bliska i przekazać mi kilka obrazów? Tylko nie podejmuj żadnego ryzyka. To może być podstęp.

– Zrozumiałem, inspektorze. Natychmiast zaczynamy. Przygotuj się do rejestrowania obrazu, bo polecimy bardzo szybko.

Hover włączył przyrządy i wszyscy z zapartym tchem obserwowali, jak trzy korwety udały się na wypad w kierunku dziwnych, nieprzyjacielskich kolosów przestrzeni. Pierwsza korweta przeleciała w sporej odległości nie wywołując żadnej wrogiej reakcji. Druga zbliżyła się nieco bardziej, a na ekranach ukazał się szczegółowy obraz. I w tym przypadku przeciwnik nie zareagował. Trzecia korweta odważyła się podejść naprawdę blisko. Na ekranach pojawiły się wyraziste obrazy. Następnie wszystkie trzy korwety znalazły się w bezpiecznym zasięgu, w głębokiej przestrzeni. Kopiarka natychmiast zaczęła wyrzucać całe masy odbitek, prosto do rąk nadinspektora.

– Co tam widać? – spytała Duszka.

– Czy dostrzegasz w tym statku coś osobliwego? – zwrócił się do niej Hover, podając zdjęcie.

– To wszystko wygląda dziwnie – odpowiedziała, marszcząc nos na widok brzydkiego, ponurego statku.

– Jest tu coś, co zadziwia bardziej niż wszystko inne. Nawet obce załogi nie udają się w przestrzeń z otwartymi śluzami.

Ponownie ożył kanał łączności.

– Halo, do Wykrywacza. Czy dostałeś to, czego szukałeś?

– Nawet więcej. Dziękuję, kapitanie. Tam, w przestrzeni, mamy chyba coś naprawdę pasjonującego.

dotyczące jakiejś skomplikowanej operacji. Różdżka, całkowicie pochłonięta odczytywani... ukazujących się na olbrzymich ekranach i przetwarzaniem informacji na polecenia, ... wchodzącej trójki. Nagle zamarła z przerażenia widząc, że jedna z linii wykresu, która z... wała się na dole, zaczęła gwałtownie wznosić się w górę ekranów, aż do sufitu. Wildheit sp... Cass Hover uzbroił właśnie minę umieszczoną w centralnej części obiektu, a to co od... chwilą Różdżka, było przepowiednią Chaosu o zniszczeniu całej stacji. Dziewczyna gorąc... dała się w około, próbując określić przyczynę tego zjawiska i nagle zdała sobie sprawę z... trzech.

– Jym! – krzyknęła, a jej twarz zszarzała jak popiół.

Technicy Ra na rozkaz Kasdei siedzieli nieruchomo na swoich miejscach, podczas gdy... poprowadzili oszołomioną Różdżkę w stronę drzwi. Gdy tylko opuścili tę część stacji, ob... pocisk Wildheita zlikwidował w zalążku możliwość oporu pozostawionych wewnątrz ... komandosów osłaniał korytarz. Wkrótce wszyscy pobiegli do komory śluzowej.

– Jym, ja... – usiłowała coś Różdżka wyjaśnić.

– Biegnij, mała! Porozmawiamy później. – Wildheit był tuż za nią z granatnikiem wyc... nad głową dziewczyny. Gdyby się zawahała, gotów był ją ogłuszyć i zanieść na okręt. Jedn... którą odczytała z ekranu, stanowiła wystarczająco silną zachętę do szybkiego nawiąza... cy.

Cass Hover wciąż jeszcze zajmował się miną. Szybko policzył osoby biegnące w stronę ... nacisnął przycisk, uruchamiający system nieusuwalności.

Kasdeya wystartował, zanim Wildheit zdążył odstrzelić awaryjnie rękaw komunikacyj... ciło jednak gładko i ich nagły odlot nie powinien zwrócić uwagi żadnego obserwatora z ... flotylli Ra. Kasdeya wykonał gwałtowny zwrot, starając się, by olbrzymia czasza reaktor... między okrętem i stacją sterowania Bronią. Manewr ten nie miał na celu uchronić ich p... wybuchu miny. Kasdeya chciał w ten sposób zmniejszyć prawdopodobieństwo skojarzeni... ci z bliską już katastrofą.

Zdążyli wykonać prawie pełne okrążenie reaktora, nim mina wreszcie eksplodowała. S... nia w jednej chwili przeistoczyła się w metalową kulę, a potem rozbłysła jak słońce. ... dziwne słońce. Zasięg jego oddziaływania nie przekroczył średnicy stacji, ponieważ st... dopuszczała przepływu energii między poszczególnymi obiektami. Wyjątkiem było tylk... buch, tak potężny, że mógłby zetrzeć na proch całą planetę, był zamknięty w kuli, która tw... stacji, ale implozja czystej energii stworzyła jedno z najpotężniejszych źródeł światła, j... kiedykolwiek na styku wszechświatów.

Zgodnie z nadziejami Wildheita, zwróciło to uwagę okrętów Ra, z których wiele podąż... katastrofy, by zbadać, co się stało. Brak jakichkolwiek działań ofensywnych pozwalał pr...

nikt nie kojarzył z tym wydarzeniem niewielkiego okrętu żandarmerii, który dzięki temu podążał do strefy akceleratora Broni, nie wzbudzając widocznego zainteresowania.

Zniszczenie stacji sterowania Bronią przyniosło im dodatkową informację. Wprawdzie posiadali jeszcze trzy miny, które mogły zniszczyć partiami Broń Chaosu, lecz ich użycie nastręczało niesłychane trudności. Ze względu na brak przepływu energii między obiektami w strefie styku, umieszczona tu mina zniszczyłaby wyłącznie samą siebie, pozostawiając Broń Chaosu nietkniętą. Jej działanie byłoby skuteczne tylko w wypadku założenia ładunku we wnętrzu powierzchni topologicznej. Penemue uważał, że nawet olbrzymią przestrzeń, przez którą wystrzeliwano wiązkę promieni, należało traktować jako część strefy styku, ponieważ geometrycznie nie była zamknięta w strukturze Broni.

Penemue znowu zajął się prowadzeniem nasłuchu kanałów łączności Ra, podczas gdy reszta załogi obserwowała strefę akceleratora potężnej Broni. Przez dłuższy czas nie słychać było nic godnego zainteresowania, lecz sytuacja nagle uległa zmianie.

– Zaczynają nas podejrzewać – wykrzyknął gwałtownie Penemue. – Słyszę, jak jakiś ich dowódca

słabo określone, by mogły być użyteczne. Trzymaj obecny kurs i każ korwetom uzbroić pociski dalekiego zasięgu. Tam dzieje się coś dziwnego. Wolałabym, abyśmy uderzyli z bezpiecznej odległości.

– Całkowicie się z tobą zgadzam, o ile potrafisz celnie strzelić.

– Wiem, że potrafię. Odczytując przyszłość na kilka mikrosekund przed wielkimi wybuchami, będę mogła przewidzieć eksplozje rzędu dwudziestu megaton wraz z nuklearnym czasem narastania. Czy korwety dysponują czymś o podobnych właściwościach?

– Skądże znowu – zareagował Hover, podnosząc mikrotelefon, by wydać rozkaz ładowania broni. – Nigdy nie przyzwyczaję się do tych pomysłów walki od tyłu – planowania taktyki bitwy na podstawie przewidywanych skutków. Co by się stało, gdybyśmy nie mieli broni o określonym przez ciebie kalibrze, Duszko?

– Wtedy nawet ja nie byłabym w stanie przewidzieć określonego skutku, bowiem zmianę entropii musiałaby wywołać jakaś inna reakcja. Szczerze mówiąc, nie wiesz o Chaosie podstawowych rzeczy!

– Ale szybko się uczę – powiedział Hover pokornie, zorientowawszy się, że ta pogardliwa nagana pochodzi od kogoś dwa razy młodszego od niego. – A co

u ciebie, Bystrouchu?

ami wspartymi na pulpicie sterowniczym i z

ie uszy mogły istotnie odbierać dźwięki prze-

dopytuje się, co robi statek żandarmerii na obszarze bazy. Należy się spodziewać, że zażądają sygnału identyfikacyjnego.

– Załóżmy, że ich podejrzenia potwierdzą się. Jakiego typu działania mogą podjąć? – spytał Wildheit.

Blady, nieprzyzwoicie młody jasnowidz siedział z łokci brodą w dłoniach. Słuchał tak, jak gdyby zwyczajne, ludzk kazywane w pustej przestrzeni.

– Słyszę je teraz. Jest ich wiele

. Natomiast jeżeli udałoby się im jakoś nas

okować i uniemożliwić ucieczkę, podeszliby bardzo blisko i stykając się z nami wkręciliby nam w kadłub coś w rodzaju ładunku minerskiego.

Palce Bystroucha zaczęły regulować zestaw wskaźników, by określić pozycję, na której skupiała się jego uwaga. Następnie, wykonując spokojne, dokładne ruchy, zestrajał poszczególne sygnały, aby

go powodu, z jakiego my nie jesteśmy w stanie użyć mi

na korwety,

itorowych.

– Wygląda na to, że zdecydowali się tak właśnie zrobić – stwierdził Kasdeya.

Jakby potwierdzając słowa Kasdei, co najmniej tuzin niedużych okrętów zaczął nurkować w ich stro-

przedstawić zmieniającą się sytuację. Komputery Hovera reagowały na poprawki, przekazując dane o pozycji, kierunku lotu oraz prędkości obcych obiektów. Nadinspektor przesyłał te dane wykorzystując je jednocześnie przy przeszukiwaniu granicznych zasięgów obrazów mon

– Nierozpoznane statki dostrzeżone! – oznajmił dowódca korwet radośnie, triumfalnym głosem. To olbrzymia różnica wiedzieć, gdzie patrzeć!

zwarty szyk. Dalszy lot okrętu

żandarmerii wzdłuż ciągnącego się na odległość

ł się nagle ryzykowny. Podlatujące blisko jednos-

oraz kierunek z prędkością i kursem ich okrętu,

ąc swobodę manewru. Jequn wskazał na magne-

wzdłuż akceleratora, aż do szczeliny między nim i

rne dziury.

szczenia. Dodatkowe jednostki skierowane zostały

ewentualnej ucieczki. Spojrzenie, jakie śmiertel-

dczyło, że obaj dostrzegli tę samą, jedyną drogę

omencie podejścia do szczeliny rzucił okręt w jak

ch osi akceleratora Broni Chaosu.

ika. Przyczyna ich powściągliwości natychmiast

osu miał gigantyczne rozmiary, ale jego światło

pach olbrzymie przysłony, których otwory były

andarmerii. Wprawdzie można się było przez nie

manewrów i precyzyjnego ustalania pozycji, co

ściach. Zważywszy, że lufa liczyła sto pięćdziesiąt

tawić pułapkę na drugim jej końcu.

załogi okrętu żandarmerii. Gdzieś bardzo daleko

miast zrozumieli co ono oznacza. Poprzez strefę

stawało się zasilające ją rozdrobnione gwiezdne

Duszka wysunęła się z wygodnego fotela, zbliżyła do stymulatora broni w kabinie pilota i dotknęła urządzeń celowniczych.

– Broń załadowana? – spytała dowódcę korwet.

– Załadowana. Możesz odpalać – padła natychmiastowa odpowiedź. – Znajdujesz się w odległości znacznie większej niż jej zasięg. Mimo wszystko życzę ci powodzenia.

Duszka z miną świadczącą o wielkiej koncentracji, pracowała wytrwale przy przyrządach sterowania ogniem. Wysłała szesnaście pocisków dalekiego zasięgu, celując nie w statki przeciwnika, lecz w przewidywane punkty przechwycenia. Czas i miejsce planowanych wydarzeń podyktowała jej intuicja Chaosu. Przestrzeń wokół okrętu patrolowego ozdobiły długie, jonowe smugi ciągnące się za pociskami wystrzeliwanymi z luf korwet. Kanały łączności przekazywały od czasu do czasu wypowiedzi, świadczące o braku zaufania do wyboru kierunku strzałów.

Na ekranach Hovera zaczynało być widoczne rozproszone światło – obraz wrogiej eskadry. Pochodził jeszcze ze zbyt dużej odległości, by teledetektory mogły go wyraźnie przekazać. W bezpośredniej bliskości statków wroga dało się zaobserwować szybko zanikający obraz pocisków, które zmierzały do celu przewidzianego wzorami Chaosu. Istniała jedynie nikła szansa, iż cel ten okaże się miejscem zatrzymania przeciwnika. Do takiego wniosku doszedł również dowódca korwet.

– Chyba spartoliłmy tę robotę! Nierozpoznane jednostki są poza linią strzału – powiedział.

Cała eskadra przeciwnika, jakby rozmyślnie na przekór stwierdzeniu dowódcy korwet, skręciła gwałtownie i lecąc w nowo obranym kierunku z niezwykłą precyzją posuwała się po krzywej wprost na pozycje, do których zdążały pociski. Nawet bez pomocy ekranów widać było wspaniałe rozety ogrom-

stu pięćdziesięciu kilometrów zespołu akceleratora sta

tki Ra, z wielką precyzją zrównywały swoją prędkoś

otaczając go z przodu i z tyłu i tym samym ogranicza

tyczne chwytacze, przygotowane do holowania.

Zablokowany okręt i jego eskorta kontynuowali lot

olbrzymią klatką, w której mieściły się uwięzione cz

Ra mieli nadzieję, że tu właśnie dokończą dzieła zni

na przeciwległy kraniec akceleratora, by odciąć drog

nie zaniepokojony Kasdeya rzucił na Wildheita, świa

ratunku. Renegat, nie czekając na potwierdzenie, w m

najciaśniejszy zwrot i skierował go wzdłuż centralny

Jednostki Ra nawet nie próbowały ścigać przeciwn

stała się oczywista. Wprawdzie kanał lufy Broni Ch

znacznie zmniejszały umieszczone w pewnych odst

niewiele większe aniżeli podwójna szerokość okrętu ż

przedostać, ale wymagało to wykonywania łagodnyc

dawało się osiągnąć tylko przy bardzo małych prędko

kilometrów długości, Ra mieli mnóstwo czasu, by zas

Nie to jednak było największym zmartwieniem dl

przed nimi nagle rozbłysło jaskrawe światło. Natych

styku, w głąb wielkiego rogu Broni Chaosu, przedo

ROZDZIAŁ 20

Okręt patrolowy wyprzedził znacznie towarzyszące mu jednostki i wypadł z podprzestrzeni, opuszczając krańce galaktyki. Z miejsca, w którym się znalazł, można było właściwie ocenić szalony kontrast między bogato ugwieżdżoną Drogą Mleczną, którą pozostawili za sobą, a pustką roztaczającej się przed nimi ogromnej próżni. Rozciągały się tu wybrzeża ogromnych oceanów przestrzeni, przez które gdzieniegdzie przeświecały wyspy galaktyk. Widok ten działał zawsze porywająco na wyobraźnię Cassa Hovera. Zadręczała go myśl, że bez względu na to, jak daleko człowiek może zapuścić się w przestrzeń, nigdy nie dotrze do krańców wszechświata, którego granice rozszerzają się szybciej, niż rozum może to pojąć.

Para młodych jasnowidzów z Mayo, która dotrzymywała Hoverowi towarzystwa na okręcie patrolowym, była równie oczarowana. Duszka, choć wiele już podróżowała, po raz pierwszy oglądała tajemnice przestrzeni pozagalaktycznej. Blady Bystrouch posiadał większe doświadczenie, ale był nie mniej zachwycony. Wyciągał swe cudowne uszy, by wyłowić szepty pochodzące sprzed pięciu miliardów lat, kiedy to gazowy obłok skroplił się i powstała Mayo.

Jednakże dotarli do tego miejsca nie w poszukiwaniu cudu. Zameldowano im, że gdzieś w pustej przestrzeni eskadra paskudnych, wyglądających jak bloki, czarnych okrętów wojennych obcych posuwała się w kierunku Stu Światów. W czasie, gdy Federacyjne Wojska Przestrzeni zaangażowały się bez reszty w operację oczyszczania terenu z Ra, cały sektor przestrzeni został wydany na pastwę niszczycielskich ataków wroga, który prowadził raczej politykę unicestwienia, aniżeli podboju. Hover, bacznie obserwujący ekrany monitorów, odetchnął głębiej, kiedy w ślad za okrętem patrolowym z podprzestrzeni wypadły w zwartym szyku trzy korwety. Chociaż znajdujący się przed nimi nieubłagany przeciwnik miał przytłaczającą przewagę liczebną, trzy lekkie statki były wszystkim, czego im użyczono, by wspólnie stawili czoła obcemu zagrożeniu. Nadinspektor nie wyglądał na przerażonego, bowiem układ sił był zupełnie inny niż mogło się to wydawać na pierwszy rzut oka.

– Halo, Wykrywacz, słyszysz mnie? – wzywała korweta dowódcy.

– Tu Wykrywacz, kapitanie. Mówi nadinspektor Hover. Witajcie na pokazie!

– Co masz dla nas, inspektorze?

– Długoterminowe prognozy Chaosu z Mayo mówią, że cała eskadra nierozpoznanych statków jest w drodze do Stu Światów. Zamierzamy przeciąć im drogę w głębokiej przestrzeni. Zakładam, że wiesz, co robić.

– A jakże! Wszyscy jesteśmy przygotowani. Przesyłane przez ciebie dane docierają w stu procentach. Automatyczne sterowanie ogniem jest w pełnej gotowości. Możesz przejąć nad nim kontrolę. Zastanawia mnie, jak ty to wszystko uruchomisz. Jeżeli nasze własne przyrządy nie zdołają zlokalizować nierozpoznanych statków poza zasięgiem rażenia broni, to jak sądzę nie mając odpowiednich przyrządów na okręcie patrolowym, również nie zdołasz tego dokonać.

– Trzeba przyznać, że niemało o tym myśleliśmy – odparł Hover. – Skieruj na nas przyrządy i miej wolne kanały przesyłania danych. Zaczynamy poszukiwanie przeciwnika. Damy ci ustnie znać jaką broń załadować i kiedy. Sterowanie i odpalanie będzie pod naszą kontrolą.

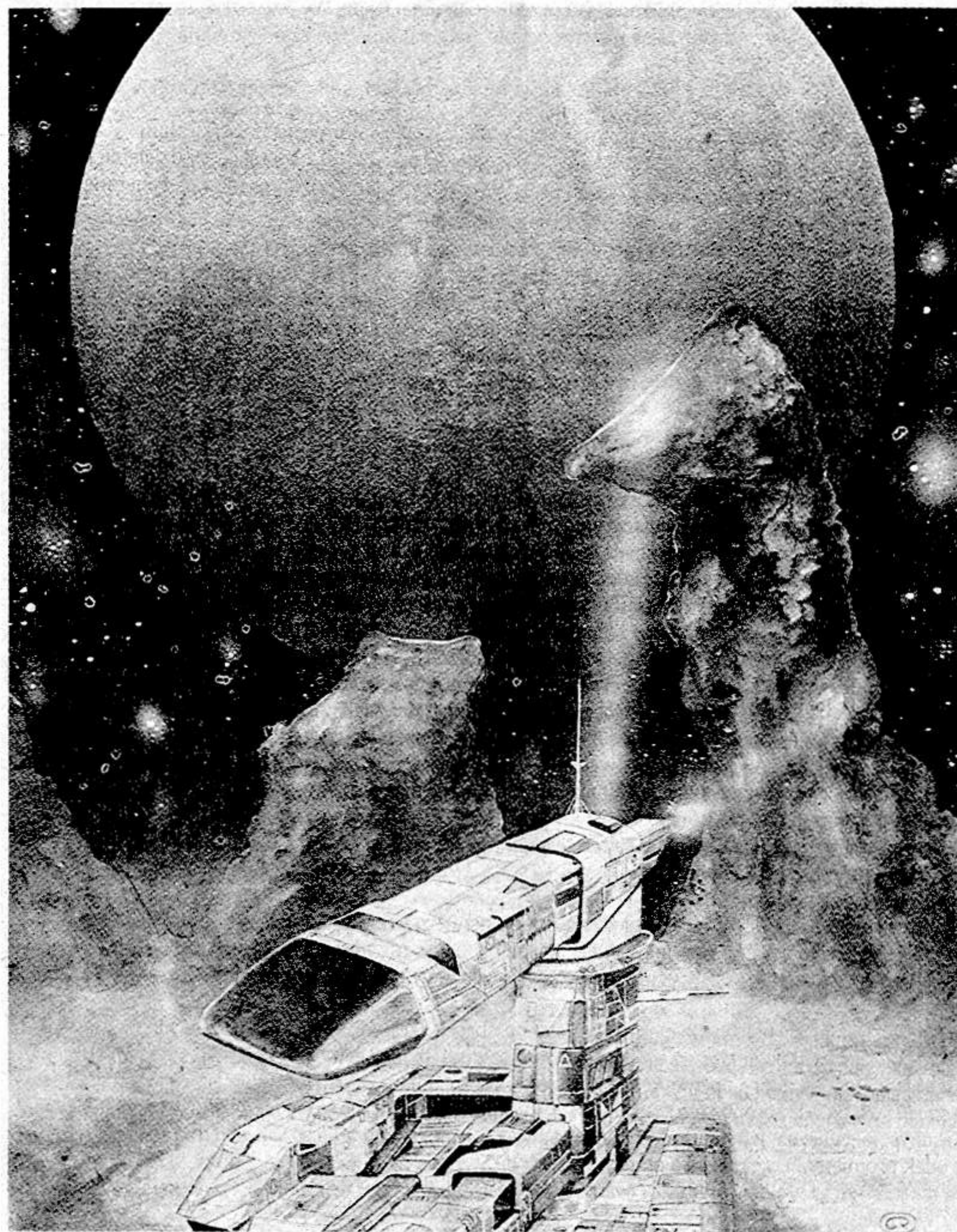
– Zrozumiałem, inspektorze, dziękuję. Wiele wspaniałych rzeczy słyszeliśmy o Wykrywaczu. Mamy teraz okazję zobaczyć go w akcji.

Hover zostawił otwarty kanał łączności i rozejrzał się po kabinie statku patrolowego.

– Jestem do twojej dyspozycji, Duszko! Masz już jakiś pomysł?

Dziewczyna ocknęła się z lekkiego transu i z poważną miną odgarnęła ciemne włosy z twarzy.

– Chaos przepowiada szesnaście wielkich wybuchów, wszystkie zbyt silne, aby mogły być wywołane przez broń. Ustaliłam już czas poszczególnych zdarzeń, jednak współrzędne przestrzeni są jeszcze zbyt



tworzywo. Odbywało się ładowanie reaktora przed odpaleniem Broni. Wydawało się, że uwięzieni w jej wnętrznościach, ustawieni akurat na głównej osi nie mają najmniejszej szansy umknąć przed całą siłą wyładowania.

Kasdeya zawrócił statek w obszernej komorze między przysłonami. Zamierzał spróbować uciec z paszczy Broni, zanim wylot zostanie zablokowany, albo nastąpi odpalenie. By wykonać manewr bezpiecznie, włączył wszystkie zainstalowane w kadłubie szperacze i usilnie wytężał wzrok, by ocenić odległość statku od olbrzymich, metalowych ścian Broni. Kiedy prawie zakończył już manewr, Wildheit krzyknął, wskazując w górę na miejsce, gdzie jakiś wystający garb zakłócał gładką wszędzie powierzchnię. Kazał Kasdei zatrzymać okręt i ostrożnie podejść bliżej. Ich oczom ukazała się niewielka śluza prowadząca do jakiejś wewnętrznej komory w konstrukcji Broni. Była to szansa na założenie miny!

Nie rozporządzali żadnym rękawem komunikacyjnym i mieli najprawdopodobniej bardzo mało czasu na przeprowadzenie operacji, zanim z lufy Broni wydobędzie się piorun. Hover szybko ocenił sytuację i zaczął zakładać skafander, podczas gdy komandosi przeciągnęli minę do śluzy. Kasdeya centymetr po centymetrze doprowadzał statek jak najbliżej włazu. Wszyscy wpatrywali się w światełko luku, które sygnalizowało, że Cass Hover opuścił statek. Pod pachą niósł minę, a w drugiej ręce trzymał zaczep cienkiej liny.

ROZDZIAŁ 19

Śluza okrętu żandarmerii była tak niewielka, że nikt nie mógł towarzyszyć nadinspektorowi Hoverowi w jego misji. Mimo że Kasdeya starał się utrzymać okręt nieruchomo przy włazie śluzy, nikt z obecnych nie miał najmniejszych wątpliwości, iż to co przedsięwziął Hover było trudne i niebezpieczne. Posługiwanie się cienką liną było nader ryzykowną metodą podchodzenia do śluzy, zwłaszcza przy masie bezwładności potężnej miny. Na domiar złego okręt znajdował się w niebezpiecznym stanie dynamicznej równowagi i nie można było mieć pewności, że nadinspektor bez specjalnego trudu zdoła na cienkiej linie dotrzeć do ściany i nie zostanie zmiażdżony między kadłubem statku a włazem.

Jeżeli dodać do tego konieczność ucieczki z pułapki, zanim zablokuje ją ostatecznie flotylla Ra, albo odpalona zostanie Broń Chaosu, nieodłączne w tej sytuacji napięcie było zrozumiałe. Minuty płynęły. Minęło ich znacznie więcej, niż zakładali. Wildheit, już w skafandrze, nie kwapił się z zamknięciem śluzy na wypadek, gdyby Hover próbował wejść do niej z zewnątrz. Upłynęły kolejne minuty. Napięcie rosło, aż stało się nie do zniesienia. Wildheit dotknął właśnie mechanizmu sterującego śluzą, kiedy świst powietrza oznajmił powrót Hovera.

Nadinspektor zjawił się i jakby w stanie oszołomienia potrząsał głową.

– Wynośmy się stąd – powiedział.

– Co się stało? – spytał Wildheit.

– Ktoś zapomniał mi o czymś powiedzieć. To, co jest na zewnątrz kadłuba, nie jest przestrzenią – to coś innego. Może i nie jest tam gorąco, ale wymiana ciepła również nie istnieje. Człowiek dosłownie gotuje się we własnym sosie. Spróbuj uporać się w tych warunkach ze stukilogramową masą bezwładności.

Podczas rozmowy obu nadinspektorów Kasdeya obrócił zgrabnie okręt i znów ustawił go na osi lufy Broni. Wystarczyło popatrzeć za siebie, w stronę reaktora, by ujrzeć świecącą jak słońce przetworzoną materię gwiezdną, która pochwyciła wydostający się z cienia wielkich przysłon statek w snop swego jasnego światła. Nie sposób było zgadnąć, kiedy nastąpi odpalenie, ale czasu na pewno było już niewiele. Kasdeya, kierując się jedynie owym snopem światła, zwiększył prędkość wprowadzając okręt w sam środek promienia. Przez wąskie prześwity przedostawał się na niebezpiecznie dużej szybkości. W tyle za nimi złowrogi reaktor jarzył się coraz silniej. Gdzieś przed nimi, rój statków Ra czekał niewątpliwie na wyłonienie się przeciwnika.

stulecia. Kiedy jasnowidzowie sprowadzili na Mayo uszkodzony okręt żandarmerii, Dabria przypadkowo skontaktował się właśnie z Sarayą.

– Co próbujesz udowodnić, inspektorze? – Czarny płaszcz Sarai zatrzepotał, jakby ze złością.

– Teza została już postawiona – ukartowana gra i manipulowanie przez ludzką rasę dla osiągnięcia własnych celów. Najpierw podjudziłeś nas do walki z twoimi wrogami, a teraz usiłujesz poróżnić nas, abyśmy walczyli między sobą. Nie możesz pogodzić się z tym, że twoja drogocenna, młoda kolonia osiągnęła już dojrzałość. Tkwisz wciąż w przeszłości sprzed siedmiu tysięcy lat, manipulujesz, pociągając za sznurki, grając Boga, usiłując oczyszczać rasę, dopóki nie dopasujesz jej do swych wymagań.

– Skończyłeś? – Saraya niemal skakał z wściekłości. – O jednym zapomniałeś, inspektorze. Kiedy zwierzęta poddaje się selektywnej hodowli, nie pyta się ich, kim chciałyby być.

W powietrzu wyczuwało się silny aromat fiołków. Kilka osób z obrzeży tłumu zaczynało słaniać się dziwnie. Nawet Delfan chyba miał trudności ze śledzeniem przebiegu rozmowy.

– Myślę, że popełniłeś błąd – powiedział z wyrzutem Dabria do Sarai. – Obawiam się, że o to właśnie chodziło inspektorowi Wildheitowi.

Delfan nie powiedział już ani słowa. Nogi ugięły mu się w kolanach i osunął się na ziemię. Kilkanaście osób z tłumu także.

Trzask...

Pasażerowie statku żandarmerii stali pewnie na nogach, bez uczucia lęku.

– Nie uda się – powiedział Wildheit do Dabrii. – Już nie.

Trzask... trzask...

Na twarzy Dabrii malowało się jawne niedowierzanie, dopóki nie zauważył w ich nozdrzach niewielkich zakończeń filtrów, które wchłaniały odurzającą woń fiołków. Spostrzegł również i to, że w uszach mieli zatyczki, które osłabiając dźwięki o niskiej częstotliwości wyciszały tubalny głos rogu.

Saraya ze smutkiem pokiwał głową.

– Wygląda na to, że zostaliśmy zdemaskowani, stary przyjacielu – powiedział. – Być może wykonaliśmy swoją robotę i już nas więcej nie potrzebują. Przyszłość pokaże, czy są na tyle twardzi, by wziąć na siebie pełną odpowiedzialność za własny rozwój. Proponuję, abyśmy wycofali się w miarę dyskretnie.

Było coś uroczystego w tym, jak Saraya i eks-strażnik oddalali się powoli, pozbawieni nagle całej władzy, którą przedtem dzierżyli. Wildheit patrzył na ich odejście ze współczuciem.

– Nie zamierzasz ich zatrzymać? – Cass Hover zszedł na dół i stanął obok Wildheita.

– Wiele im zawdzięczamy, Cass. Gdyby nie oni i kilku innych, Terra do tej pory byłaby jeszcze nieucywilizowana, a o Federacji nawet nie moglibyśmy marzyć. Podejrzewam, że któryś z nich ma jeszcze jakiś stary statek Ra, ukryty gdzieś w okolicy. Z tej ich całej rozmowy o wycofaniu się wnioskowałbym raczej, że polecą w strefę dylatacji czasu, aby wrócić znów za sto lub dwieście lat po to, żeby przekonać się, czy rzeczywiście sami przeprowadziliśmy krzyżowanie ras.

– Sądzisz, że to zrobimy?

– Szczerze mówiąc, nie wiem, Cass. Kasdeya powiedział mi kiedyś, że nasza młoda kultura, w celu uniknięcia degeneracji, potrzebuje ustawicznej selekcji. Ciekaw jestem, czy grzeszne odstępstwa i cofanie się – to faza przejściowa, czy też wrodzona skłonność hybryd.

– Zupełnie tego nie rozumiem, stary.

– Nie przejmuj się! Kiedyś Ci to wytłumaczę. – Wildheit szturchnął nogą leżące twarzą do ziemi ciało Głównego Nadinspektora Delfana. – Saraya myślał przede wszystkim o tym, czy jesteśmy dostatecznie twardzi, aby wziąć na siebie odpowiedzialność za nasz własny rozwój. Zastanów się nad tym uważnie, Cass. Jeżeli rasa ludzka zacznie kiedyś chylić się ku upadkowi, kto wtedy dokona jej oczyszczenia?

Jesteśmy w tarapatach. Zaatakowała nas cała armia jasnowidzów i porwała nasze statki. Nie zostawili ani jednego nadajnika FTL, byśmy mogli wezwać pomoc. Będę musiał posłużyć się twoim, aby przywołać kilka jednostek Wojsk Przestrzeni.

– Chwileczkę, nadinspektorze! – Wildheit nie zrobił żadnego ruchu, by umożliwić mu przejście. – Jeżeli Wojska Przestrzeni zgodzą się wysłać okręty, jakie polecenia im wydasz?

– Zniszczyć doszczętnie jasnowidzów, jeśli się nie poddadzą – pytanie zirytowało Delfana. – Wszyscy oni winini są zbrodni piractwa. Wykonamy wyrok na wielu, nawet jeśli będziemy zmuszeni ścigać ich aż do krańców przestrzeni. Jasnowidzowie są jeszcze bardziej niebezpieczni niż Ra. Cieszę się, że przywiozłeś ze sobą Różdżkę. Mam przeciwko niej przygotowane oskarżenie o zdradę.

– Nic z tego – powiedział Wildheit. – Nigdy nie była poddaną Federacji. Zresztą zaciągnęliśmy wobec niej ogromny dług. Była częścią składową katalizatora Chaosu, obmyślanego przez Sarayę. Katalizator osiągnął swój cel. Czy broń tworzy się po to, by później potępiać ją za to, że strzela do ludzi?

– Przemyślę to kiedyś – odpowiedział Delfan bez przekonania. – Zejdź mi z drogi, Jym! To rozkaz!

Wildheit wzruszył ramionami i odsunął się na bok, ale przejście było nadal zablokowane przez stojącego na pochylni Cassa Hovera. Za nim stało dwóch równie niewzruszonych komandosów, których z kolei wspierało czterech renegatów Ra, zdecydowanie zagradzających wejście do śluzy.

– Co to ma znaczyć? – Delfan odwrócił się do Wildheita, groźnie marszcząc brwi.

– Wysłuchaj mnie, nadinspektorze – zaczął Wildheit. – Zanim zrobimy coś pochopnie, ustalmy, po czyjej stronie jesteśmy. Przed przybyciem Dabrii na Mayo, Zmysłowcy byli oddzieleni, ale nie izolowani od reszty ludzkości. Moim zdaniem izolacja rozpoczęła się wówczas, kiedy Dabria wymyślił, że uczyni z jasnowidzów narzędzie. Miało to być narzędzie wystarczająco silne, by obronić go, gdyby Ra znaleźli kiedyś miejsce jego schronienia. Wykorzystywał ich w ten sam sposób, w jaki Saraya posługiwał się Federacją, by ratować się przed wrogami. Nie daj się zwieść, nadinspektorze, te typy nas wykorzystują.

Napływające myśli zdławiły wściekłość Delfana. Surowymi oczyma badał drobiazgowo twarz Wildheita. Na próżno oczekiwał reakcji Hovera. Po chwili zwrócił się do Dabrii.

– Ile w tym jest prawdy?

– Obawiam się, że jakiś grzyb przestrzeni wyżarł inspektorowi mózg – odparł Dabria, wzruszając ramionami.

– Doprawdy? – nie ustępował Wildheit. – Powiem trochę więcej. Uważam, że kiedy pociągnięto za spust, dając początek zagładzie Ra, uznałeś że moc jasnowidzów stała się dla ciebie ogromnie kłopotliwa. Dlatego pozwoliłeś im uciec, stwarzając zarazem sytuację, która dawała ci niemal pewność, że zostaną zniszczeni.

– Nie będę słuchał tych bredni. Ten człowiek jest obłąkany.

– Pamiętaj, że widziałem twoich strażników przy pracy – powiedział Wildheit. – Sposób, w jaki hipnotyzujesz wszystkich naokoło sprawia, że nawet cała armia jasnowidzów nie zdołałaby ukraść trzech statków bez twojego pozwolenia.

– Stoisz na niepewnym gruncie, inspektorze.

– Skoro o tym mowa, od kogo wyszedł ten wspaniały pomysł z przeprowadzaniem remontu na Mayo? Z prostych zasad logistyki wynika, że łatwiej uporano by się z okrętem żandarmerii w warsztacie w ośrodku dowodzenia.

– Saraya uzgodnił to z Dabrią. – Palce Delfana ześlizgiwały się z bezpieczników broni, które miał u pasa.

– Fakt ten kryje w sobie szczególny zbieg okoliczności – ciągnął dalej Wildheit. – Zgodnie z posiadaną przeze mnie informacją, żaden z nich nie miał podstaw, by przypuszczać, że drugi dożyje obecnego

W tej właśnie chwili mina eksplodowała.

Reakcja, hamowana przez niechętną prawom fizyki strefę styku ograniczyła swój zasięg do akceleratora, który zapłonął na całej długości jak cylindryczna gwiazda. Okręt żandarmerii przeleciał przez rozżarzone gwałtownie przysłony na ślepo, bowiem polaryzatory ochronne zaciemniły wszystkie iluminatory, ratując pasażerów przed niezwykle silnym promieniowaniem. W kilka sekund później odpaliła Broń Chaosu – tym razem w strefę akceleratora, który, zniszczony już wcześniej, przestał spełniać swoją rolę. Wybuchająca energia entropii, zamiast utworzyć jednolitą wiązkę promieni, rozproszyła się szeroko. Niewielka jej część o kształcie rozszerzającego się stożka ugodziła w statek żandarmerii, smagnąwszy go jak silny podmuch potężnej eksplozji. Jedynym skutkiem, jaki wywołała, był nagły wzrost i tak już gwałtownie rosnącej prędkości pojazdu.

Okręt żandarmerii opuścił paszczę lufy akceleratora jak pocisk wystrzelony z naddźwiękowego działa. Zanim Kasdeya zapanował nad pojazdem, okręt przemknął przez szczelinę, a następnie przez sam środek olbrzymiej, obracającej się klatki. W jego ogromnym korpusie, zamiast łożysk kulkowych, znajdowały się czarne dziury. Pasażerów okrętu żandarmerii zalewały fale promieniowania czystej entropii o niskim stopniu koncentracji. Nagłe ześrodkowanie nawet tak niewielkiego strumienia przyprawiło ich o silny wstrząs, kiedy przelatywali przez krytyczny punkt zbieżności. Hover jako pierwszy ocenił to doznanie.

– To mogłoby stać się nałogiem! – powiedział – Od co najmniej dwudziestu lat nie czułem tego wszystkiego, czego doznałem przed chwilą.

Szansa, by to doświadczenie stało się nałogiem, została natychmiast pogrzebana. Wiązka promieni z reaktora Broni zwolniona z uwięzi lufy zniszczonego akceleratora, rozchodziła się szeroko i objęła swym zasięgiem także i wirującą klatkę. Wiązka promieni wywoływała katastrofy, wykorzystując energię uwięzionych dziesięciu czarnych dziur. Tym razem jednak nie poddająca się żadnym reakcjom strefa styku musiała ustąpić. Połączone siły grawitacji czarnych dziur zaczęły w jednej chwili oddziaływać na siebie wzajemnie. Cała konstrukcja rozpadła się i została pochłonięta przez jedną olbrzymią czarną dziurę, która zlewając się z pozostałymi, utworzyła jednolitą całość.

Nieprzerwane napromienianie czarnej dziury przez wiązkę z reaktora zlikwidowało z jakiegoś powodu fizyczną neutralność strefy styku. Z głębi czarnej dziury wypłynęła gwałtownie olbrzymia fala grawitacyjna i pochwyciła okręt żandarmerii, zgromadzoną naokoło flotyllę Ra, a nawet samą Broń Chaosu. Stojący przy przyrządach sterowniczych Kasdeya rozpaczliwie wytężał wszystkie siły, by wydobyć z silników resztki energii. Najwyraźniej jednak traciły one moc, a czarna dziura ciągnęła okręt w swoim kierunku. Większość flotylli Ra miała jeszcze większego pecha. Poruszając się bez napędu, statki te natychmiast wpadały do otwierającej się w pobliżu przepastnej, grawitacyjnej studni. Żadne spóźnione manewry przy sterach nie były w stanie uchronić ich przed przyciąganiem tak blisko położonych dwudziestu mas słonecznych.

Najbardziej fantastycznym zjawiskiem było oddziaływanie siły przyciągania na resztki potężnej Broni Chaosu. Na początku powoli, a potem coraz szybciej, wciągała ją nieubłaganie czarna dziura, by wreszcie pożreć ją całkowicie. Reaktor przestał wysyłać wiązkę promieni entropii, co pozwoliło czarnej dziurze zapomnieć o tym, że jest w neutralnej fizycznie strefie styku. Gdy ustało oddziaływanie Broni Chaosu, strefa ta powróciła do swego normalnego stanu, a silne przyciąganie zanikło. Kasdeya mógł już zmniejszyć moc ryczących silników i poprosić Penemue'go, by wyznaczył kurs powrotny do nowego wszechświata.

Wkrótce przedarli się przez styk. Cass Hover zajął się łącznością przy pomocy urządzeń FTL, w które wyposażono okręt podczas remontu. Usiłował wysłać wiadomość o przebiegu ataku na Broń Chaosu przebywającym wciąż na Mayo Sarai i Głównemu Nadinspektorowi Delfanowi. Gdy przekonał się, że

nie może wywołać ani statków-laboratoriów, ani statku naprawczego, wezwał na pomoc stację przekaźnikową FTL, od której dowiedział się, że wszelka łączność z Mayo uległa zerwaniu.

Chwytając się ostatniej deski ratunku, nawiązał kontakt z siecią telekomunikacyjną Wojsk Przestrzeni po to tylko, by usłyszeć, że są one zbyt zaangażowane w odpieranie postępującej wciąż inwazji flotylli Ra, aby zajmować się odosobnionym przypadkiem awarii łączności gdzieś daleko na Obrzeżu. Pierwotnym celem podróży okrętu żandarmerii było Centrum Chaosu na Terrze. Jednakże Wildheit, słysząc zakłopotany głos Hovera, poprosił Penemue'go o to, by na wszelki wypadek obliczył kurs w podprzestrzeni na Mayo.

Po przejściu na niższy pokład Wildheit przywołał do siebie Różdżkę.

– Myślę, że nadszedł czas, byśmy doszli do porozumienia – powiedział.

– Już to zrobiliśmy, inspektorze Jym. Nie mieliśmy tylko okazji, by je sformułować.

– Zróbmy to teraz. Wiedziałaś, że nie trzeba uwalniać Mayo spod panowania Federacji. Wiedziałaś również i to, że gdyby Ra zwyciężyli, nie pozwoliliby Zmysłowcom istnieć. Co cię wobec tego skłoniło do współpracy z nimi?

– A dlaczego miałabym tego nie robić? Współpracowałam również z tobą, choć także nie oferowałeś Zmysłowcom niczego poza zagładą.

– Mówisz dziwne rzeczy.

– To prawda, Jym. Jeszcze o tym nie wiesz, ale plany zniszczenia jasnowidzów zostały już opracowane. Tak to widzą Dabria i Saraya. Za ich namową Federacja nie będzie tolerować jasnowidzów ani chwili dłużej niż Ra. I oni i wy jesteście naszymi wrogami. Aby przetrwać, musieliśmy wygrać jednych przeciwko drugim.

– Wygrać? W imię czego, Różdżko?

– Wyzwolenia jasnowidzów z Mayo – prawdziwej wolności, jakiej odmawia nam Dabria. Potrzebujemy przestrzeni, Jym, by nasze nadzwyczajne zdolności mogły się rozwijać. Po to właśnie zgodziłam się opuścić z tobą Mayo. Konsekwentnie dążyłam do celu. Federacja nigdy nie zgłaszała specjalnych zastrzeżeń do mojej lojalności. W gruncie rzeczy udało mi się osłabić zarówno was, jak i Ra. Zmysłowcy potrzebują takiego klimatu, jeżeli mają się rozwijać i umacniać.

– Co umacniać, Różdżko?

– Wszechświat należy do Zmysłowców, Jym. Są ludźmi przyszłości.

– Obawiam się, że to ułuda. Wszechświat należy do tych, którzy są dostatecznie silni, aby nim zawładnąć i utrzymać go pod swym panowaniem. Wszystkie plany oparte na ambicjach zawodzą, jeżeli zlekceważy się ten fakt.

– Nie zlekceważono go. Wiedziałeś, co robisz, wystawiając mnie przeciwko trzem Ra. Wiedziałeś równie dobrze jak ja, że sprawiedliwszą grą byłoby, gdybym zmierzyła się z dziesięcioma. Zmysłowcy, z chwilą uwolnienia się z Mayo, będą na tyle silni, że zawładną i utrzymają wszystko, co zechcą. Wiesz to dobrze, po cóż więc udajesz, że tak nie jest?

– To ty udajesz. Masz nadzieję, że wyprowadzisz swój lud z niewoli we wspaniałą, jasną, niebiańską przyszłość. Jesteś fałszywym prorokiem, gąsko. Wszystko, co możesz im ofiarować – to walka i daremny trud, no i ostateczna klęska ich ideałów.

– Do czego zmierzasz, inspektorze Jym?

– Ze wszystkich jasnowidzów Zmysłowców ty najlepiej nadajesz się do odczytywania wzorów Chaosu. No cóż, wykorzystaj ten cenny dar. Zajrzyj w przyszłość, Różdżko. Pójdź za swoimi ambicjami. Czy jasna iskra staje się płomieniem? Czy zachodzi potężna reakcja łańcuchowa? Czy wielki ogień utrzymuje się, czy też tylko się tli, by pozostawić jedynie popiół?

– Widzę...

– Co widzisz we wzorach, Różdżko?

Brak odpowiedzi.

– Co tam widać, Różdżko? Co sprawia, że potrzebujesz aż tyle czasu, by to zobaczyć?

Zamknęła oczy i uśmiechnęła się z rezygnacją.

– Ty wiesz, co tam jest – powiedziała. – Iskra... płomień... wybuch. Ale nie ma żadnej wielkiej pożogi. Nie zdołamy tego dokonać inspektorze Jym, ty stary łotrze! Jakim cudem wiedziałeś?

– Saraya podsunął mi kiedyś myśl, że intuicja stanowi przejaw naturalnej wrażliwości na Chaos. Ja to nazywam działaniem na domysł.

– To było sprytniejsze niż sądziłeś.

– Miało to solidne podstawy logiczne. Zmysłowcy starają się trzymać z dala od innych, aby skoncentrować się na rozwoju swych zdolności. Tak jak chemicy i fizycy oczyszczają substancje, bo niezwykle czyste postaci wykazują specjalne właściwości, jakie nie ujawniają się w mniej szlachetnych. Entropia jednak, jej złożoność lub zmieszanie, wzrasta w czasie. Poszczególne elementy tworzą związki, a te z kolei rozkładają się na przypadkowe mieszaniny. Tak samo dzieje się z ludźmi. Zmysłowcy, z chwilą opuszczenia Mayo, w żaden sposób nie mogliby uniknąć skalania rasy genami pochodzącymi ze wspólnej puli. Zresztą ich własne geny dołączą do tej samej wspólnej puli.

– Przygnębiający fatalizm.

– Niezupełnie. Zmysłowcy jako gatunek nie różnią się jakościowo od reszty ludzkości. Ich geny są zwykłymi genami, w których drogą rozmyślnej selekcji i wskutek przypadkowej izolacji po Wielkim Exodusie, udoskonalone zostały zdolności. To, czego dokonali, zasługuje na szczególną uwagę, choć nie jest czymś wyjątkowym ani niepowtarzalnym. Nie odcinaj Zmysłowców od pnia ludzkości, Różdżko. Zostaną albo ulegną zniszczeniu. Zaprowadź ich z powrotem tam, gdzie ich ogromne zdolności mogą być należycie spożytkowane.

– Mówisz tak, jakby już opuścili planetę.

– Sądzę, że niektórzy to zrobili. Mam na myśli dwa statki-laboratoria i jeden naprawczy, które wylądowały na równinach Mayo. Dokąd jasnowidzowie zamierzają się nimi udać?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Wiesz dobrze, do licha, o co mi chodzi. Dla wielu najlepszych jasnowidzów jest to wspaniała okazja ucieczki w przestrzeń. Dokąd zmierzają?

– Nie mam pojęcia.

– Oczywiście, że masz. Podczas tych wszystkich wydarzeń udało ci się utrzymać telepatyczną łączność z innymi jasnowidzami. Ważne, byś pomogła mi odnaleźć te statki i zatrzymać je.

– Dlaczego mam to robić?

– Ponieważ ci ludzie znaleźli się w pułapce, Różdżko. Wpadli w paskudną pułapkę, zastawioną przez wypróbowanych fachowców. A poza tym, jasnowidzowie są nam potrzebni.

Bez względu na to, jakiego rodzaju bitwę stoczono o statki, pozostawiła ona wiele blizn na piaszczystej równinie i występach skalnych poszarpanych zdumiewającymi siłami. Nic nie wskazywało jednak na użycie materiału wybuchowego. Namioty i sprzęt porozrzucane były na wielką odległość. Nawet znaczne obniżenie lotu nie pozwoliło na odkrycie żadnego śladu ludzi. Wildheit przypuszczał, że ocaleni wrócili do pobliskiej stolicy. Dlatego też wylądował okrętem żandarmerii nie opodal jednego z zachowanych na rzece mostów.

Na czele idącej przez most grupy szedł Główny Nadinspektor Delfan, z Sarayą i Dabrią, a za nimi ludzie z miasta, zmieszani z technikami i resztą załogi statku Federacji oraz z licznymi strażnikami Dabrii. Wildheit i Różdżka spotkali ich przy pochylni prowadzącej na okręt żandarmerii.

– Naprawdę cieszę się, że cię widzę, Jym! – powiedział szczerze i z uczuciem wyraźnej ulgi Delfan. –


?
BRENDA ?!
MAM CI PRZEKAZAĆ, ŻE JESTEM TU JAKO ZNAK DOBREJ WO-LI I MOCY YARPS DRITT' ADR-ATTY.
DOBREJ WOLI ?! WIĘC CO ON ROBI, GDY JEST ZŁY ?...
OBUDŹ SIĘ, BRENDA !


!
CO SIĘ STAŁO ? ZESTRZELILI NAS !... FUNKY, GDZIE JA JESTEM ?!?


!
PROSZĘ SIĘ USPOKOIĆ, MISS LEAR. BYŁA PANI CIĘŻKO RANNA. WIELE SIĘ ZDARZYŁO OD TAMTEJ PORY... SPRAWY PRZYBRAŁY ZŁY OBRÓT. MUSIAŁEM WAS TU ŚCIĄGNĄĆ...
?
CHWILĘ, BRENDA, UBIERZ SIĘ !


DRANIU, GDY-BY NIE "OPASKA" NA PRZEGUBIE... ALE PRZY TAKICH UMIEJĘTNOŚCIACH DIABLI WIEDZĄ, CO ON JESZCZE MOŻE ZRO-BIĆ !... SPOKOJNIE, FUNKY...
DOPADŁEM CIĘ, DRITT' ! PO CO TEN CYRK Z POLICJANTAMI ? NIE MOGŁEŚ INACZEJ ?
PATRZ FUNKY !


TYMCZASEM W SZTABIE GŁÓWNYM ASF.
...NIE MAM WĄTPLIWOŚCI, OSTATNIE ZNIKNIĘCIE ICH POSELSTWA Z KSIĘŻYCA MOŻE OZNACZAĆ JEDNO...
PANIE PREZYDENCIE, BRAK JAKICHKOLWIEK ENUNCJACJI Z ICH STRONY - MAMY ZA MAŁO DANYCH. PROPONUJĘ OGŁOSIĆ OSTRE POGOTOWIE.
VIDEO DISPLAY TERMINALS
ASF
AEROSPACE FORCE


WIĘC WOJNA Z DROLLAMI ? JEŚLI POTRAFIĄ DOKONYWAĆ TAKICH RZECZY ?...
SOLAR DEFENCE SHIELD
AEROSPACE FORCE
MY TEŻ MAMY TO I OWO... ZACZEKAJMY, CO POWIE PREZYDENT W PRZEMÓWIENIU DO NARODU...


PÓŹNIEJ...
NEWS
UWAGA ! NADAJEMY PRZEMÓWIENIE PREZYDENTA PAŃSTWA.
?


?
...PROWOKACJA...
...ZAGROŻENIE...
...KONFLIKT...


PRINZ
...ZACHOWAĆ SPOKÓJ ! POWTARZAM...
ROBERTS VIDEO


...MOBILIZACJA...
ZACJA ?
ZACJA !
!
?!!
!?!!


TYMCZASEM W HOLLYMOON.
PRZERWAĆ ZDJĘCIA! ZABIERAĆ SIĘ STĄD!
?!
!
GDZIEEE ?! NIE WŁAŹ...

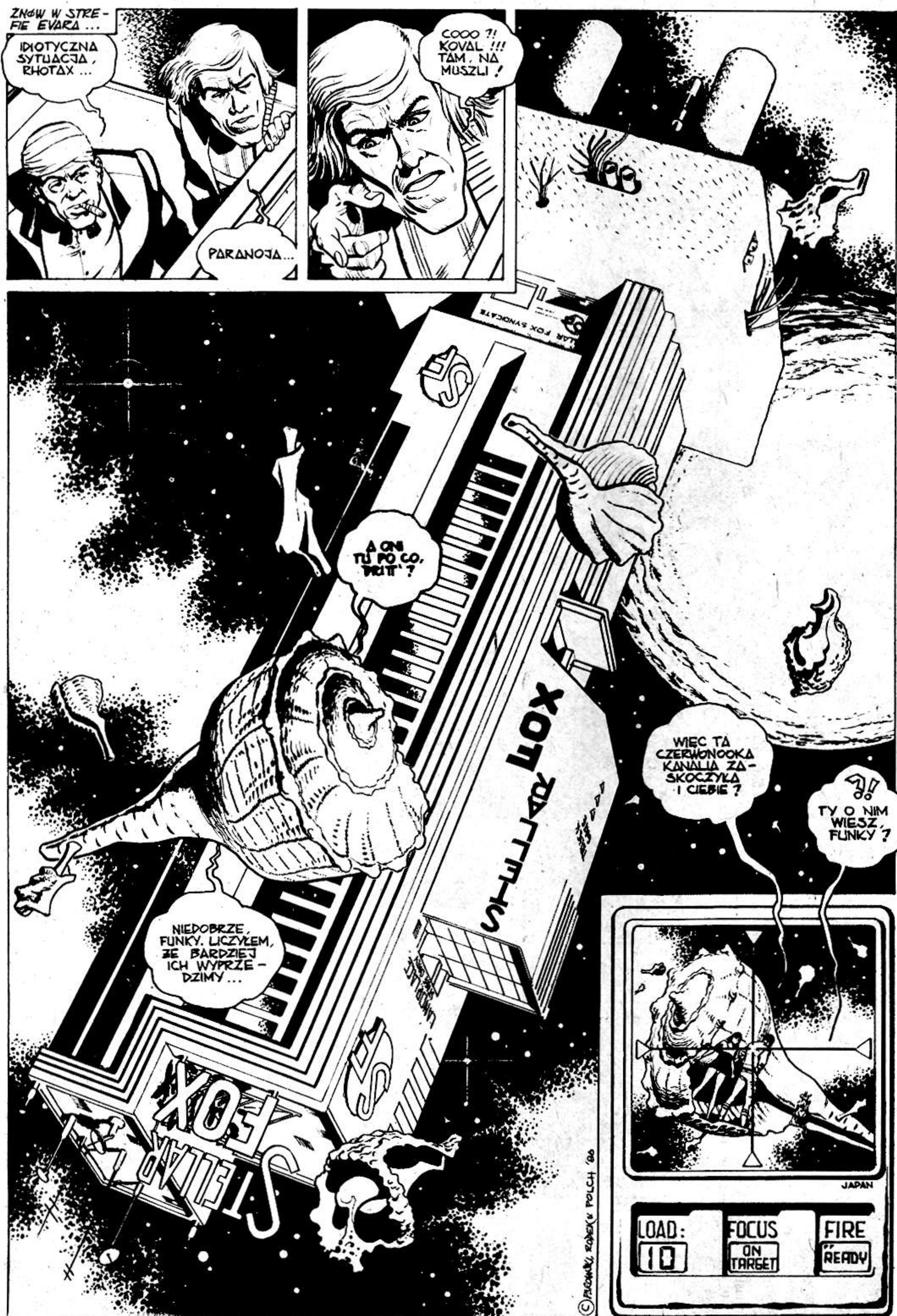

...W KADR, IDIOTO!
NIE PYSKOWAĆ! EWAKUACJA CYWILÓW! KSIĘŻYC ZOSTAJE ZMILITARYZOWANY!


A JA SIĘ CIESZĘ. OD POCZĄTKU NIE WIERZYŁEM W TEN FILM.
COOO? RANISZ MNIE, VERN... ALE JA MAM KONTRAKT!
DIRECTOR


KONFERENCJA PRASOWA W REDAKCJI DZIENNIKA "DIEGO SOL POST".
...TAK, PANIE SENATORZE, ROZUMIEM... TEKST ZHVICKSA I O'RAYMOUTHA NA PIERWSZEJ STRONIE... JA JUŻ DAWNO MYŚLAŁEM... GDYBYM WIEDZIAŁ...
CHIEF EDI


...KOVAL ZDOBYŁ I ZOSTAWIŁ W KOMPUTERZE TĘ INFORMACJĘ, ALE NIE ZDOŁAŁ ZLOKALIZOWAĆ TEGO UKŁADU PLANETARNEGO...
...DOPIERO ANALITYK ZIGGY EVAR WYKRYŁ FAŁSZERSTWO W MAPACH NIEBA UZYSKANYCH OD DROLLI W RAMACH WYMIANY...


...DROLLE CHCIAŁY W TEN SPOSÓB UKRYĆ SWÓJ MACIERZYSTY UKŁAD PLANETARNY. DLACZEGO?
...OSTROŻNOŚĆ CZY MASKOWANIE AGRESJI? ZHVICKS I JA OD DAWNA MÓWIMY, ŻE CHODZI O TO DRUGIE...


ZNÓW W STREFIE EVARA ...
IDIOTYCZNA SYTUACJA, RHOTAX ...
PARANOJA...
COOO ?! KOVAL !!! TAM, NA MUSZLI !
A ONI TU PO CO, BRITT ?
NIEDOBRZE, FUNKY. LICZYŁEM, ŻE BARDZIEJ ICH WYPRZEDZIMY ...
WIĘC TA CZERWONOOKA KANALIA ZASKOCZYŁA I CIEBIE ?
?! TY O NIM WIESZ, FUNKY ?
STELLAR FOX
STAR FOX SYNDICATE
JAPAN
LOAD: 10
FOCUS ON TARGET
FIRE READY
© PAROWSKI, RODEK, POLCH '86

Barax milczał. Mój projekt był logicznie poprawny.

Wczesnym popołudniem w przedsionku aresztu znowu zaczęło coś się dziać. Dwaj policjanci wnieśli spory aluminiowy pojemnik i zaczęli nalewać jakąś ciemną ciecz do brudnych talerzy. Więźniowie pojedynczo podchodzili do kraty. Przez mały otwór brali talerze i po jednym prostokątnym brązowym przedmiocie. Barax i ja też dostaliśmy swoje porcje.

– Co to jest? – zapytałem patrząc w talerz.

– Zupa i chleb. – Lorenzo z apetytem zaczął jeść. Z ciasta, które nazwał chlebem odrywał spore kawałki. Spojrzałem na Baraxa – stał i trzymał w ręku talerz. Spróbowałem zupy, była okropna. Chleb natomiast okazał się możliwy, więc go zjadłem. Później bez wahania zjadłem chleb Baraxa.

W międzyczasie Lorenzo skończył zupę i niespokojnie się rozejrzał. Widziałem, że jest jeszcze głodny.

– Zjedz zupę mojego przyjaciela.

– Nie jesteś głodny? – zapytał Lorenzo.

– Odchudzam się – odpowiedział Barax. Nie wiedziałem nawet, że stać go na takie poczucie humoru... Lorenzo nieco się zdziwił, lecz szybko zjadł drugą porcję i natychmiast się rozpogodził.

Trapił mnie upływ czasu. Od porannego aresztowania minęło wiele godzin i nic się nie działo. Zacząłem się obawiać, że o nas zapomniano, gdy...

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i weszło kilku policjantów. Dowódcą był nie tamten facet o świńskich oczkach, tylko chudy, wąsaty mężczyzna z pociągłą twarzą, którego dotychczas nie widzieliśmy. Wskazał w naszą stronę przez kratę:

– Ty... i ty! I ty!

Trzecim był Lorenzo.

– Wychodzić!

Drzwi w kracie otworzyły się skrzypiąc. Barax swobodnie ze mną rozmawiał, ponieważ nikt nas nie mógł zrozumieć:

– Roy, daj rozkaz, a ja ich załatwię...

– Cisza! Nie gadać! – wrzasnął oficer. Stał przed Baraxem, machał rękami i z bliska groźnie patrzył mojemu koledze w twarz.

Sądzę, że Barax zrobił to przy pomocy gazu. Puścił chyba niewielką ilość w twarz oficera. Gaz był bezbarwny i bezwonny; wąsacz nawet nie zauważył, kiedy go wciągnął do płuc. Nie minęło dziesięć sekund i oczy mu się zamknęły, musiał się oprzeć o ścianę...

Barax odsunął się i stanął w szeregu. Zdezorientowani więźniowie i policjanci obserwowali oficera, który już spał głośno chrapiąc. Nim ktokolwiek zdążył go podtrzymać, osunął się wzdłuż ściany. Policjanci szybko do niego podbiegli, podnieśli go i pryskali mu w twarz wodą próbując go ocucić. Wreszcie stanął o własnych siłach, lecz trzeba go było prowadzić. Oczy miał ciągle zamknięte. Zabrali go do jednego z pokojów, przez szybę widziałem jak rozpięli mu na piersi koszulę i wachlowali twarz.

Podszedł inny oficer. Jeden z policjantów szturchnął mnie kolbą:

– Ruszaj się, naprzód!

Przeszliśmy przez wąski korytarz. Pomiędzy ścianami dudniły echem kroki policjantów. Przez otwarte drzwi dostrzegłem, że na podwórku czeka zamknięta ciężarówka. Na pewno zabiorą w niej nas do stolicy. Policjanci znowu skuli nas kajdankami.

Gdy tak czekaliśmy, Barax szturchnął mnie w pewnym momencie w bok:

– Roy, popatrz tylko na tę ścianę!

Spojrzałem i oddech mi zaparło. Z dużej, prostokątnej fotografii otoczonej kolorowymi, papierowymi wieńcami patrzyła na mnie męska twarz.

– Lorenzo, kim jest ten człowiek? – zapytałem i poczułem, że głos mi drży. W tej chwili policjanci nie patrzyli na nas.

Lorenzo spojrzał na ścianę i od razu odwrócił głowę.

– A niech go szlag trafi... Gallego Ramirez, nowy dyktator.

Odetchnąłem głęboko, żeby przyjść do siebie. No tak, to był silny cios. Bowiem fotografia – co do tego nie mogło być żadnych wątpliwości – przedstawiała Lippa Kilyosa.

István Nemere

Sprawa Kilyosa

(Időtörés)

przełożył Wojciech Maziarski

István Nemere jest jednym z najpopularniejszych na Węgrzech autorów SF. W swym dorobku ma kilkanaście książek fantastycznych, w tym także dla młodzieży. Pisze również powieści współczesne, nie mieszczące się w konwencji fantastyki naukowej. Najchętniej sięga po tematykę niedalekiej przyszłości tworząc utwory z pogranicza SF, literatury sensacyjnej i political fiction. Na tle żywej sensacyjnej akcji porusza problemy władzy, przemocy, zakulisowych rozgrywek politycznych itp. W najnowszej powieści „Przed obudzeniem" (1985) opisuje zuchwałą kradzież światowego arsenału nuklearnego dokonaną przez państwo o nazwie Marwinia.

Nemere jest także tłumaczem polskiej literatury SF na język węgierski. W tej chwili przekłada książki Adama Hollanka i Konrada Fiałkowskiego.

(W. M.)

Rozdział 1

Tej nocy gwiazdy świeciły jak nigdy przedtem. Przynajmniej tak mi się wydawało. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek takie je widział w ciągu czterdziestu lat, które minęły od chwili mego urodzenia.

Prowadziłem maszynę; Barax w milczeniu siedział obok. Ja też nie miałem ochoty na rozmowę. Szybko i bezgłośnie przelatywaliśmy nad jakimś miastem. Widać było także rzekę, dokładnie pod nami skręcała na południe. Zanim jednak dobrze się jej przyjrzałem, już pomknęliśmy dalej. W miejscu dawnej ogromnej puszczy stały jedynie grupy drzew. Noc powlekła je jednolitą czernią.

Przyspieszyłem lot. Radar sygnalizował, że nie ma przed nami przeszkód, dyspozycyjne centrum ruchu opróżniło nasz korytarz. Nie patrzyłem na zegarek. Nie było powodu do niepokoju. Tam, gdzie jedziemy, nie można się spóźnić.

Gwizdałem najnowszy przebój, Barax milczał. Odzywał się jedynie wtedy, gdy miał coś do powiedzenia. Ceniłem to u niego, choć tej nocy denerwowało mnie to milczenie. I jego bezruch. W odrętwieniu patrzył przed siebie, być może obserwował światła pędzącego w naszą stronę pejzażu. Ale możliwe też, że wyłączył się i nic nie widział. Czasami na dole pod nami pojawiał się rzeczny statek, osiedle górnicze lub samotna grupa domów. Wydawało się, że zamknięci w malutkiej łodzi podwodnej, płyniemy obaj – ja i Barax – w olbrzymim akwarium.

Niezależnie od tego, jak fascynujący był to widok, nie potrafiłem w pełni skupić na nim uwagi. Myślałem o zadaniu. I o szefie.

*

...Szef nigdy dotąd nikogo do siebie nie wzywał. Rozkazy wydawał, a raczej przesyłał, za pośrednictwem swoich zastępców. Żaden z chłopaków nie znał przypadku, by stary wezwał kogokolwiek do swojego pokoju. Zaś to, aby z jakimś podwładnym przeprowadził długą rozmowę w cztery oczy, było nie do pomyślenia.

Zdarzyło się to ósmego dnia jedenastego miesiąca po południu. Siedziałem w świetlicy i oglądałem telewizję: do moich powinności należało śledzenie podawanych przez środki masowego przekazu informacji na temat czasu. Do tego zadania przydzielono więcej osób, ale tego dnia ja pełniłem poranno-przedpołudniowy dyżur. Na zewnątrz i w środku budynku unosiła się szara nuda, od wielu tygodni nic się nie działo. Chłopcy snuli się jak muchy jesienią na północnej półkuli, gdzie podobno owady te nawet giną o tej porze roku. Tak przynajmniej słyszałem.

Tu natomiast było ciepło. W klimatyzowanych korytarzach nie odczuwało się tego, lecz na zewnątrz słońce rozżarzone było do białości. Niebo niemal iskrzyło się. Nie docierał tu też hałas miasta, izolacja dźwiękoszczelna była bardzo dobra, eliminowała każdy zbędny szmer. Pamiętam, że myślałem właśnie o minionym wieczorze, który spędziłem z wysoką szatynką w psychobarze, gdzie przed północą wprowadzano szanownych gości w stan głębokiego oszołomienia za pomocą specjalnych efektów świetlnych i muzyki. Jeszcze następnego dnia do południa byłem śpiący. W trakcie oglądania telewizji ziewałem, aż mi trzeszczała szczęka.

Wtedy odezwał się głos płynący z wewnętrznego głośnika: – Inspektor Roy Medina ma natychmiast udać się do pokoju numer sto.

W pierwszej chwili nie wierzyłem własnym uszom. Ja do pokonu numer sto?... Do szefa?

– Inspektor Roy Medina ma się natychmiast udać do pokoju numer sto – powtórzył głos.

Nie miałem już wątpliwości, wzywano mnie. Wstałem, a w moją stronę zwróciła się jedna z wiszących na ścianie kamer obserwacyjnych sieci wewnętrznej. Oficer dyżurny zobaczył, że wstałem, wezwanie nie powtórzyło się już więcej.

Po drodze nie spotkałem żadnego z kolegów, większość z nich na pewno siedziała w swoich pokojach. Winda bezgłośnie wywiozła mnie na górę. W „korytarzu szefa" byłem dotychczas tylko dwa razy. Teraz ponownie podziwiałem staromodny, miękki, czerwony chodnik (wcześniej widziałem takie starocie jedynie w muzeum) i gustowne kryształy z Kallisto. W dyskretnym świetle obserwowały mnie kamery – czułem, że ktoś na mnie patrzy. Ale możliwe też, że było to tylko przywidzenie. W każdym razie muszę

Tutejszy komisariat nie ma zbyt wielu ludzi. Teraz czekają, żeby wrócił samochód. Wtedy mnie zabiorą, i was też.

W czasie naszej rozmowy Barax stał nieruchomo, lecz wiedziałem, że słucha. Dzięki niezwykle czułym narządom zmysłu stale był zorientowany, w jakim nastroju są otaczający nas ludzie, czy stanowią dla nas zagrożenie, czy przygotowują coś. A ponieważ Barax był spokojny, ja także mogłem swobodnie rozmawiać z brodaczem.

– Wy cudzoziemcy nie macie nawet pojęcia, pod jak bezlitosną dyktaturą żyjemy tutaj. Cały kraj to jedno wielkie więzienie.

Te zdania były frazesami. Miałem tę myśl chyba wypisaną na twarzy, bo nawet Lorenzo to spostrzegł:

– To tylko słowa, wiem... Ale pomyśl, gdyby to był demokratyczny, normalny kraj, policja nie postępowałaby z nami tak jak postępuje...

Potrącił tym we mnie czułą strunę, przypomniał mi się nocny incydent. Jednocześnie zwróciłem też uwagę na to, że młody człowiek mówi w sposób dość wyszukany. A przecież powiedział, że jest kierowcą.

– Lorenzo, rzeczywiście jesteś kierowcą?

Zrozumiał, co było powodem mojego pytania i lekko się uśmiechnął:

– Swego czasu rodzice zebrali trochę pieniędzy i udało mi się dostać na uniwersytet. Przez dwa lata studiowałem prawo, później zorganizowałem polityczną manifestację w obronie niewinnie skazanych... Wywalili mnie. Wróciłem do Lorii i zostałem kierowcą u Juareza, ale policja bez przerwy mnie obserwowała. Możliwe, że to ja mimowolnie wkopałem kolegów na wczorajszym zebraniu. Tajniacy zapewne przyszli za mną...

Jedynie domyślałem się, co znaczy słowo tajniak. Lorenzo opowiadał dalej. O wielkich więzieniach i obozach pracy przymusowej. O wyspach-więzieniach na oceanie, o specjalnych oddziałach policji stworzonych jedynie po to, by rozpędzać demonstracje. Opowiadał o sieci donosicieli obejmującej pomału wszystkie sfery życia, wszystkie warstwy społeczne. O skorumpowanych przywódcach. O niepodzielnej i nienaruszalnej władzy miejscowych kacyków...

Nie byłem specjalnie zdziwiony. Na uniwersytecie długo zajmowałem się dawnymi epokami, a szczególnie tym okresem. Znałem też przyszłość, lecz nie mogłem pocieszyć Lorenza mówiąc mu, że los jego narodu wkrótce ulegnie poprawie. A przecież wiedziałem, że tak będzie...

Spojrzałem na Baraxa. Stał przy kracie. Tylko on potrafi zachować taki bezruch. Zapomniał nawet o mruganiu oczami. Zadałem sobie pytanie, czy ktoś w tej sali może zdawać sobie sprawę z tego, że przybyliśmy z innego świata? Możliwe, że nikt. Jeżeli chodzi o telepatię i nawiązywanie kontaktu pozazmysłowego ludzie w XX wieku byli jeszcze niesłychanie prymitywni. Dlatego zapewne nie zauważają, że my... Krótko mówiąc nie widzą i nie czują nic szczególnego. My obaj stanowiliśmy w tym miejscu element bardziej obcy, niż istoty przybyłe z kosmosu, bowiem – w przeciwieństwie do całkiem obcych przybyszów doskonale znaliśmy tych ludzi, ich dusze, ciała, obyczaje, reakcje, a nawet... ich przyszłość. Znajomość przyszłości jest potężną bronią. Nawet gdybyśmy nie mieli nad nimi przewagi fizycznej, to i tak w każdej chwili okazalibyśmy się silniejsi. Świadomość tego dawała mi poczucie bezpieczeństwa.

– ... Ale to niedługo się skończy – mówił dalej Lorenzo ze stłumionym podnieceniem. – Front się już przygotowuje, naród też. Nie ma rodziny, w której przynajmniej jeden człowiek nie siedziałby w więzieniu... W górach jest coraz więcej partyzantów, są nieźle uzbrojeni. W zeszłym tygodniu zaatakowali nawet konwój wojskowy w pobliżu Boliwar. Sytuacji nie zmieni fakt, że wojskowi też od czasu do czasu udają, że wycofują się z rządu i stawiają na czele władz państwowych cywila. Tak jak teraz. Nowy prezydent jest takim samym łajdakiem jak poprzedni.

Policjanci wprowadzili nowych aresztantów. Kobieta w średnim wieku z umalowaną twarzą głośno zapłakała, po czym zaczęła szarpać kartę. Barax wreszcie się poruszył:

– Kiedy uciekamy? – zapytał krótko.

– Mamy czas – uspokoiłem go. – Jeżeli to prawda, co mówi brodacz, to zabiorą nas do stolicy. I tak się tam wybieramy, czyż nie? Zaczekajmy, aż nas tam zawiozą. Nie będziemy musieli przynajmniej szukać samochodu.

Barax spojrzał na mnie. „Teraz?" – pytał niemo. Myślał o ucieczce. Pokręciłem tylko głową i ruszyłem w asyście strażników.

★

Areszt był dużym pomieszczeniem; po jednej stronie zamiast ściany umieszczono sięgającą sufitu kratę. Stali tu mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi. Barax z właściwą sobie flegmą wszedł między więźniów i zachowywał się tak, jakby go nic nie interesowało. Wiedziałem jednak, że ukradkiem obserwuje ludzi i otoczenie przy pomocy swych specjalnych aparatów.

Natomiast ja niezbyt się interesowałem towarzyszami niedoli. Oparty plecami o kratę zatopiłem się w rozmyślaniach. Rozmasowałem przeguby – zdjęto z nich kajdanki – i przyszło mi do głowy, że misja zaczęła się nie najlepiej. Już w pierwszej godzinie starliśmy się z politycznymi władzami tego obszaru geograficznego, zaś w pięć godzin po wkroczeniu te same władze zamknęły nas w więzieniu.

– Proszę wejść – powiedziała maszyna beznamiętnym tonem. Znowu miękki chodnik, znowu kosmiczne minerały. Stary jest podobno namiętnym kolekcjonerem kamieni, słyszałem, że obleciał cały System Słoneczny i podróżował nawet poza jego granicami przywożąc zewsząd ciekawe okazy. Przechowywał jedynie takie kamienie, które zebrał własnoręcznie.

Niemal zapomniałem, jak wygląda. Nie widziałem go co najmniej od dwóch lat. Teraz znowu zoba-

przyznać, byłem nieco przejęty. Kiedy dotarłem pod drzwi, serce biło mi w gardle. Byłem jednak przekonany, że nie mam powodu do obaw – po pierwsze od dawna nie wyznaczano mnie do akcji, a po drugie poza służbą nie popełniłem nic, za co by mnie można wezwać prosto do pokoju numer sto.

Drzwi otworzyły się bezgłośnie. Naprzeciwko, pod ścianą stał jedynie robot SR, stosowany w instytucjach państwowych jako sekretarka.

– Proszę położyć prawą dłoń na czerwonej płytce – powiedział. Wykonałem polecenie. W mgnieniu oka maszyna porównała mój odcisk dłoni i linie papilarne z danymi zakodowanymi w centralnym komputerze ewidencyjnym.

– Wynik identyfikacji pozytywny – powiedziało urządzenie, lecz wiedziałem, że te słowa nie są już skierowane do mnie. Zdjąłem dłoń z czerwonej, podświetlonej od spodu płytki. Czerwone światełko zgasło. Po lewej stronie rozsunęły się ukryte w ścianie drzwi.

Po drugiej stronie kraty siedział na krześle tylko jeden policjant, a po tej było nas około dwudziestu, dwie kobiety w pstrokatych ubraniach kłóciły się półszeptem. Pomiędzy nami stanął brodaty młody człowiek i odezwał się cicho:

– Dlaczego się tu znaleźliście, przyjaciele?

Pytanie to wzbudziło moją czujność, jednakże spojrzenie mężczyzny było szczere.

…ła prawie osiemdziesiątkę.

…Medina – odezwała się maszyna za moimi plecami.

…edział szef i wyciągnął do mnie rękę.

★

…tomatycznym lokatorze zaczęła migotać zielona lampka.

…ax.

…rędkość i sprowadziłem maszynę na wysokość pięciuset … wskaźnik pokazał, że znajdujemy się w odległości dziesię-

…maszynę do lądowiska. Trzy czerwone punkty migały ryt-… …e było widać żadnych budynków. Później – bezpośrednio …den. Był to biały domek o płaskim dachu, stwarzał wrażenie …się blade światełko.

…, gdy tylko dotknęliśmy ziemi. Moje oczy przyzwyczaiły się …y. Grały świerszcze, trawnik pachniał spalonymi słońcem …

…jak błyszczą gwiazdy. To dziwne, że o świcie będziemy już …

…mym miejscu – odpowiedział Barax.

…owy, bo ktoś do nas krzyknął:

…rowane do nas – powiedział Barax. Doceniłem jego poczucie …yt często.

… Przed wejściem stał mężczyzna.

… i dyskretnie spojrzał na trzymaną w dłoni trójwymiarową …

…łki: Barczystą sylwetkę mojego towarzysza opinał mundur …aki nosił major. I ja.

…zysz. Gurow natychmiast odwrócił się na pięcie i wprowa-…nym pokoju o kamiennych ścianach i suficie zrobionym z …eżały różne przedmioty i paczki. Z kąta rozlegała się cicha …

– Promieniuje od niego życzliwość – powiedział Barax w naszym języku, zapewne po to, by mnie uspokoić.

– Chcieliśmy pożyczyć samochód od pana Juareza. Przyszli policjanci. Na dobrą sprawę nie wiemy, czego od nas chcą.

– Mam nadzieję, że to nie Juarez was wsypał – powiedział brodacz markotniejąc.

– Nie sądzę. Znasz Juarezów? – zapytałem równie swobodnie, choć byłem od niego starszy o kilkanaście lat.

– Ich córka, Estrella jest moją narzeczoną – powiedział i twarz mu posmutniała.

– A ty dlaczego tu jesteś? – zapytałem z ciekawością. Brodacz rozejrzał się. Nikt na nas nie zwracał uwagi. Pomimo to mężczyzna przysunął się bliżej, tak abym tylko ja słyszał:

– Podejrzewają mnie, że jestem członkiem Frontu...

– Fro... czego?

Spojrzał na mnie ze zdumieniem:

– Nie wiesz, co to jest Front?

– Jesteśmy tu obcy. Przyjechaliśmy z zagranicy – wyjaśniłem. W jego spojrzeniu pojawił się niepokój, więc dodałem:

– Nie mów, jeśli nie chcesz.

Milczał. Przedzierający się przez okno promień wolno wędrował po ścianie ponad czarnymi głowami.

Oczywiście dobrze wiedziałem, co to jest Front. Jednakże na razie musiałem udawać, że naprawdę jesteśmy cudzoziemcami, którzy niemal w niczym się nie orientują. Miałem nadzieję, że później przyniesie nam to korzyści.

– No dobrze – powiedział nieznajomy, nagle podejmując decyzję. – Nazywam się Lorenzo i mieszkam tu, w Lorii. Estrellę znam od dziecka. Do Frontu trafiłem w zeszłym roku. Jestem kierowcą, jeżdżę ciężarówką do Boliwar, wożę towary... Wczoraj wieczorem tutejsi członkowie Frontu zebrali się na nielegalnym spotkaniu. Ja też tam byłem. Ale ktoś nas wsypał i policja nas zgarnęła...

– Twoi przyjaciele też siedzą tutaj? – wskazałem na hałaśliwy tłum po tej stronie kraty.

– Nie, policji udało się aresztować tylko czterech z nas. Pozostałą trójkę zawieźli rano do Boliwar, do głównej kwatery tajnej policji. – W jego głosie wyczułem teraz przerażenie.

– A z tobą co będzie?

– Mnie też zabiorą następnym transportem.

– Transportem?...

– Jasne. Co ty myślisz? Że oni tutaj będą was przesłuchiwać? Coś ty! Polityczni i cudzoziemcy zawsze są przewożeni do Boliwar. Mogą stąd zabrać jedynie trzech na raz, bo tylu mieści się w samochodzie.

…surową twarz. Powiadają, że m…

– Przyszedł inspektor trzeciej klasy Roy …

– Niech pan wejdzie, inspektorze – powi…

Do świtu było jeszcze daleko, kiedy na au…

– Do celu sto kilometrów – stwierdził Bar…

– Widzę – mruknąłem. Zmniejszyłem p… metrów. Gdy pojawił się brzeg jeziora, inny… ciu kilometrów od celu podróży.

Ciągły sygnał radiowy doprowadził nasza… micznie. Nieco się zdziwiłem, że nigdzie ni… przed zetknięciem z ziemią – dostrzegłem je… wiejskiej rezydencji. Nad wejściem jarzyło s…

Trzy czerwone lampy natychmiast zgasły… już do ciemności. Barax wyszedł z maszyn… roślinami. Ciepły wiatr rozgarniał mi włosy…

– Piękna noc – wyrwało mi się. – Zobacz … daleko stąd.

– Chociaż właściwie będziemy w tym sa…

Nie mogliśmy jednak kontynuować rozm…

– Hej wy!... Chodźcie tu.

– To miłe zaproszenie jest na pewno skier… humoru. Tacy jak on nie przejawiają go zb…

Podeszliśmy do domu o białych ścianach…

– Jestem major Gurow – przedstawił się … fotografię.

– Inspektor Medina? – zapytał.

– Tak jest.

Wtedy Gurow spojrzał na Baraxa i zami… GALPOLu – galaktycznej policji. Taki sam, j…

– A pan to... hm... Barax, prawda?

– Tak – chłodno odpowiedział mój towar… dził nas do domu. Stanęliśmy w staromod… prawdziwego drewna. Na szerokim stole le… muzyka, radio też wyglądało na stare.

– Kiedy ruszamy? – zapytałem.
– W ciągu godziny – odpowiedział Gurow.

★

Twarz szefa była spokojna i chłodna. Wskazał mi jeden z foteli:
– Niech pan usiądzie, inspektorze.
Usiadłem.
Jak już wspomniałem, szef mógł mieć około osiemdziesięciu lat. Jego dokładnego wieku nikt nie znał. W każdym razie nie miał młodzieńczych rysów. Obok nosa widniały głębokie bruzdy, a i czoło nie było gładkie. Włosy miał siwe – zarazem białe i srebrne, dziwna kompozycja kolorów. Widać w nim było wpływy przodków ze wszystkich pięciu kontynentów, na tle śniadej cery błyszczały zielonkawe oczy. Czasami widzieliśmy go w budynku. No i niekiedy – raz do roku – pojawiał się na przyjęciu u prezydenta, które zawsze transmitowała światowa telewizja. Rzecz jasna, operatorzy z chęcią pokazaliby szefa galaktycznej policji, ale on zawsze zręcznie tego unikał. Kilka razy widać go było przez parę sekund, po czym znikał. Mówi się, że nie lubi rozgłosu.
Teraz siedział naprzeciwko i obserwował mnie. Dobrze byłoby wiedzieć, co o mnie sądzi. Z pewnością przejrzał moje dane zanim mnie wezwał.
– Co pan wie o złamaniu czasu, inspektorze? – zapytał szef i rozsiadł się w fotelu, który natychmiast dostosowując się do nowego położenia jego ciała, miękko wyciągnął się pod jego plecami.
Pytanie zdziwiło mnie. Ale w końcu nie byłem w tej instytucji nowicjuszem i pracowałem właśnie w wydziale czasu, więc odpowiedź nie sprawiła mi kłopotu.
– W terminologii naukowej i kryminologicznej złamaniem czasu nazywa się przypadek, gdy osoba lub grupa osób przy użyciu metody odkrytej w 2811 roku i odpowiednich środków technicznych wybiera się w przeszłość i tam ingeruje w procesy historyczne powodując w ten sposób poważne i nieodwracalne zmiany w dziejach ludzkości...
Nie wiedziałem, czy mam mówić dalej. Szef w zamyśleniu patrzył przed siebie. Wydawało się, że nie zwraca na mnie uwagi. Jednakże myliłem się; gdy tylko zamilkłem, od razu skierował na mnie spojrzenie swoich zielonych oczu:
– Ile razy zdarzyło się to dotychczas?
– Złamanie czasu? Nauka zna dwa przypadki, na szczęście oba spowodowały niegroźne następstwa. Jeden z nich można właściwie nazwać „Rozbiciem statku". W roku 2814 młody badacz czasu, Czang Lengren wyprawił się w koniec XV w. a ponieważ wtedy jeszcze technika powrotu nie była opracowana w sposób doskonały, utknął w przeszłości w wyniku technicznej usterki. Musiał spędzić w ówczesnej Europie dziewiętnaście lat. Był malarzem amatorem, zaczął więc malować genetyczne mutanty odkryte w XXVI w. na planecie Calypso, ludzi genetycznie okaleczonych w wyniku promieniowania radioaktywnego oraz krzyżówki ludzi i zwierząt, czyli mixtanty. Ich postacie umieszczał w fantastycznej scenerii. Obrazy sprzedawał ówczesnemu malarzowi o nazwisku Hieronymus Bosch. W ten sposób zarabiał na życie, dopóki nie udało mu się w wyjątkowo prymitywnych warunkach zdobyć materiałów potrzebnych do naprawy maszyny i wrócić.
– A co pan wie o drugim przypadku?
– Miał miejsce w roku 2997. W naszym instytucie badawczym dwaj niepełnoletni chłopcy, wykorzystując nieuwagę dorosłych, wyprawili się przy użyciu urządzenia w XV w. Starszy, znany pod nazwiskiem Leonardo da Vinci, został słynnym artystą i odkrywcą, zaś młodszy, pod nazwiskiem Melzi, występował najpierw jako jego uczeń, a później – po śmierci Leonarda – próbował popularyzować „wynalazki" swego przyjaciela...
– A więc ten przypadek, w odróżnieniu od poprzedniego, miał charakter techniczny? – spytał szef tonem egzaminatora.
– Zdecydowanie. Obaj mężczyźni projektowali środki techniczne, których na poziomie technicznym tamtej epoki nie dało się wykonać. „Leonardo" – z pewnością na podstawie wspomnień wyniesionych z przyszłości – wykonał projekty ruchomego mostu, czołgu, pancernego statku, samolotu, spadochronu, działa samopowtarzalnego, łodzi podwodnej. Rysował perspektywiczne, plastyczne mapy, a także opisał przyszłe wojny, kolonizację, zniszczenie środowiska... Należy jeszcze zwrócić uwagę na dwa aspek-

Podaliśmy nasze paszporty. Podporucznik otworzył je i obejrzał, lecz od razu zauważyłem, że wcale go one nie interesują. Nagłym ruchem schował je do kieszeni.
– Otrzymałem meldunek, że panowie pokazują ludziom jakieś zdjęcie. Czy i my moglibyśmy je zobaczyć? – niemal rozpływał się w szyderczej ironii.
Wyjąłem fotografię.
– Szukamy tego człowieka – powiedziałem.
Przez chwilę w spojrzeniu podporucznika widać było dezorientację, głupkowato patrzył przed siebie, po czym wrzasnął:
– Aresztować ich!
Jego ludzie wyszarpnęli broń i doskoczyli do nas. Zanim zdążyłem przyjść do siebie, skuli mnie kajdankami.
– Atakujemy? – zapytał Barax w naszym języku.
– Nie! – odpowiedziałem. Nie bałem się tych ludzi. Później też będzie na to czas.
Policjanci wypchnęli nas na podwórko. Wsiedliśmy do zielonego jeepa, a w minutę później samochód zahamował na rynku przed piętrowym, żółtym budynkiem.
Była to miejscowa komenda policji.
Przez chwilę czekaliśmy w korytarzu. W tym czasie policjanci stali z wymierzoną bronią w sporej odległości od nas. Później podporucznik wyjrzał przez drzwi.
– Ty – pokazał na Baraxa. – Wejdź!
Barax spojrzał na mnie. Jego grube ręce wyglądały dziwnie z cienkimi, metalowymi kajdankami na przegubach. Wiedziałem, że bez większego wysiłku mógłby je zerwać.
– Mam iść? – zapytał.
– Idź.
– Gdyby były jakieś kłopoty, daj sygnał – odpowiedział flegmatycznie i ruszył za podporucznikiem.
Nadal stałem oparty o ścianę.
Oczywiście porucznik niczego się od Baraxa nie dowiedział. Wkrótce oficer zawołał i mnie.
– Wejść!
W pokoju byli jeszcze dwaj policjanci, zaś nad maszyną do pisania pochylał się starszy, chudy człowiek pełniący funkcję protokolanta. W oknie widniała gruba, metalowa krata.
Barax stał na środku pokoju. „Wszystko w porządku" – nadał w moim kierunku, znowu drogą telepatyczną. Spokojnie stanąłem przy nim.
– A więc to wy jesteście tymi ptaszkami – podporucznik wyszczerzył zęby. Jego twarz była naprawdę antypatyczna.
– Ptaszkami? – zapytałem nie rozumiejąc.
– Którzy w nocy napadli na policjantów w sąsiedniej wsi...
Wiadomość o tym zdarzeniu szybko tu dotarła, przebiegło mi przez myśl. Barax rozejrzał się. Wiedziałem, że w ciągu paru sekund mógłbym rozprawić się z tymi czterema policjantami, podobnie jak z tamtymi w nocy – ale dość...

w nocy – ale dość już miałem konfliktów.
...en policjant uderzył mnie bez powodu – powiedziałem.
...n sądził, że to wyjaśnienie zadowoli porucznika, bardzo bym się mylił. W jego świńskich
...oczach błyszczała wrogość:
– Podniósł pan rękę na przedstawiciela p...
– Było na odwrót. To on podniósł rękę na...
Machnął jedynie dłonią i wziął ze stołu fo...
– Wie pan kim jest ten człowiek?
– Wiem – odpowiedziałem zgodnie z pra...
...rawa?
– Dlaczego o niego pytacie?
– To nasza sprawa.
...mnie.
Spojrzał na mnie spod oka, przeciągle, z p...
...tografię:
czym... Na jego twarzy pojawił się złośliwy...
– Oddział specjalny wyciśnie z nich co t...
...vdą.

...groźką. Przez chwilę szeptał z jednym ze swoich ludzi, po
...uśmiech i skinął ręką w stronę wartowników:
...zeba. Zabierzcie ich do aresztu...

– Ślina. Tę czynność nazywa się pluciem – wyjaśniłem.
– Nigdy czegoś takiego nie widziałem – pokręcił głową.
– Ja też tylko tu. No, chodź.
Nad jedną z bram wisiała tablica. Wymalowana na niej opona i klucz wskazywały, że znajduje się tu warsztat. Przypomniałem sobie swoje studia. Przed siedemnastu laty, na wydziale historycznym uniwersytetu, przez całe pół roku zajmowałem się dwudziestowiecznym systemem oznakowań. Nie był to prosty przedmiot, lecz przynajmniej pożyteczny. W przeciwieństwie do późniejszych studiów poświęconych supernowoczesnym laboratoryjnym technikom kryminalistycznym, które w mym zawodzie okazały się zupełnie bezużyteczne.
Tak oto medytowałem w chwili, gdy wchodziliśmy na spore, ze wszystkich stron otoczone ścianami podwórko. Na platformie i podnośnikach stało kilka samochodów z wymontowanymi częściami i odkręconymi kołami. Wokół nich krzątali się dwaj młodzi ludzie w wytłuszczonych olejem ubraniach. W odpowiedzi na moje pytania, wskazali drzwi.
– Szef jest tam.
Wszedłem, Barax przezornie pozostał na zewnątrz. Ku swojemu zdziwieniu w biurze zastałem młodą kobietę. Przez okno wdzierały się ciepłe, żółte promienie. Skąpane w nich brązowe meble i białe ściany tworzyły domowy, swojski nastrój. Świetlana poświata unosiła się także wokół głowy dziewczyny. Długie, czarne włosy opadały jej na ramiona. Na brązowej twarzy zabłysnął uśmiech.
– Dzień dobry panu, czym mogę służyć?
Powiedziałem w jakiej sprawie przyszliśmy. Dziewczyna słuchała z powagą, choć w kącikach jej ust widniał nikły uśmieszek. Później powiedziała:
– Jestem córką Juareza. Ojciec zaraz wróci. A jeśli chodzi o samochody do wynajęcia, to ojciec pożycza je tylko miejscowym, których zna i wie, że mu je oddadzą... Panowie zaś są zupełnie obcy.
– Jesteśmy cudzoziemcami- przyznałem. Było oczywiste, że mój akcent i sposób mówienia pozostawiają wiele do życzenia. – Skłonni bylibyśmy zapłacić za wypożyczenie sumę większą niż zwykła...
– Raczej przyholujemy tu wasz zepsuty samochód. Zanim ojciec i jego pracownicy go nie zreperują, będą panowie mogli wziąć nasz. Gdzie on został?
Ze zrozumiałych powodów to rozwiązanie nie zyskało mojego uznania. Na szczęście w tym momencie przez inne drzwi wszedł Juarez. Był to niski mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat, o twarzy wyrażającej nieustanne zdziwienie.
– Co się stało, Estrella?
Dziewczyna przedstawiła sytuację. Mówiła bardzo szybko. Ja zaś tymczasem głowiłem się jak wybrnąć z tarapatów. Byłem już skłonny poczekać na autobus, gdy wszedł Barax.
– Ludzie w mundurach. Obstawili bramę – powiedział w naszym języku bez najmniejszego zdenerwowania. Wtedy przypadkowo spojrzałem na Estrellę. Przez drzwi spostrzegła zbliżających się policjantów i w tej samej sekundzie na jej twarzy pojawiło się przerażenie wkazujące, że rodzina Juareza ma powody, by obawiać się władz. Jednakże w tej chwili nie miałem czasu, by się nad tym zastanawiać. W drzwiach stanęli trzej uzbrojeni mężczyźni. Barax przysunął się do mnie.
– Dzień dobry, panie poruczniku – skłonił się Juarez. Nieco drżącym głosem zapytał. – W jakiej sprawie panowie przychodzą?
– Szukamy tych dwóch panów – wskazał na nas oficer, którego Juarez tytułował porucznikiem.
W mózgu poczułem ostrzeżenie Baraxa:
– Czuję ich złą wolę.
W tym momencie ja także niewyraźnie poczułem promieniowanie płynące z mózgów policjantów, które już wcześniej mój towarzysz odebrał za pomocą swoich bioczujników. Barax przekazał mi tę wiadomość zwykłym i tysiąckrotnie wypróbowanym sposobem telepatycznym.
Podporucznik był młody i antypatyczny. Natychmiast wyczuł, że Barax jest jedynie milczącym wspólnikiem, a szefem, więc potencjalnym przeciwnikiem jestem ja.
– Proszę o dokumenty – powiedział.
Zauważyłem, że tymczasem jeden z jego ludzi stanął między oknem a drzwiami prowadzącymi do mieszkania, drugi zaś nie ruszył się i nadal stał w miejscu.

ty sprawy. „Leonardo" i „Melzi" nie zamierzali wrócić w przyszłość, do swojej epoki. Ich naturalnego czasu... A druga rzecz to, że o ile „malarstwo Boscha" nie spowodowało w swej epoce zmian świadomościowych – wyjątkowa dziwaczność obrazów została dostrzeżona przez ludzi dużo później – o tyle sprawa „Leonarda" miała olbrzymi rezonans jeszcze w wiele wieków później. Jeszcze w XX, a nawet XXIII wieku ludzie nie mogli pojąć, w jaki sposób potrafił on przewidzieć przyszłe wynalazki techniczne i zasady ich działania, nie mówiąc już o jego pozostałych „proroctwach".
– Wspomniał pan o XX wieku – przerwał mi szef. – W tym okresie się pan specjalizuje, prawda?
– Tak. W drugiej połowie XX wieku i w początku XXI wieku, do lat dwudziestych – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.
– A geograficznie, językowo?
– Ameryka Łacińska i język hiszpański.
– Wspaniale. – Szef wyjął plastykową teczkę. Położył ją na stole i otworzył.
– Teraz proszę uważać, inspektorze. Długo się wahaliśmy, komu powierzyć to zadanie. W końcu wybór padł na pana.

*

Personel techniczny składał się tylko z dwóch milczących mężczyzn. Barax stał pod jedną ze ścian i obserwował przygotowania. Ludzie Gurowa za pomocą dźwigu ustawiali urządzenie na szynach po czym wypchnęli je z ucharakteryzowanego na wiejski dom hangaru. Szyny urywały się gwałtownie na środku rozległego pola. Zaledwie trzydzieści minut minęło od chwili naszego przybycia, gdy major zakomunikował, że maszyna jest gotowa.
– Niech pan pozwoli, uzgodnimy dane – powiedział. Wróciliśmy do domu. Gdzieś zakrzyczał ptak. Myśl, że zaraz opuścimy tę spokojną okolicę, wydawała się dziwna.
W pokoju Gurow wyciągnął dużą, kolorową mapę i odezwał się posępnym tonem:
– Oto podwójny termin obecnego wkroczenia: dziesiąty dzień jedenastego miesiąca 3044 r. i 23 maja... Dobrze mówię, m-a-j-a-? – przeliterował nieznane mu słowo. – 1992 r.
– Dobrze, dawniej tak nazywano piąty miesiąc.
– A więc jedźmy dalej. – Gurow spojrzał w [illegible] Zdecydowało, że na razie nie wyznaczy terminu powrotu. Możemy sobie pozwolić tylko na jedno lub dwa wkroczenia, niech pan o tym nie zapomni, inspektorze. Dobrze będzie, jeżeli zawiadomi nas pan na jeden dzień wcześniej.
Zagryzłem wargi. Od szefa dowiedziałem się, że na przeprowadzenie operacji mamy najwyżej dziesięć-piętnaście dni. Czy to wystarczy?
– A co z koordynatami geograficznymi? Czy ten punkt da się łatwo zidentyfikować? – zapytałem.
Major stuknął palcem w mapę.
– To tu. Dziwna piramida o płaskim szczycie wybudowana w XIV wieku. Budowla sakralna. Znajduje się o 25 kilometrów na wschód od centrum administracyjnego z roku 1992, stolicy o nazwie Boliwar. Miejsce nazywa się San Fernando. Czy te dane wystarczą, inspektorze?
– Sądzę, że tak – powiedziałem z namysłem.
– Niech pan weźmie ubranie. – Wepchnął mi do ręki dwie paczki. – Jedno dla pana, jedno dla Baraxa. Uszyto je na miarę. Są wiarygodne, zrobione z ówczesnych materiałów, zgodnie z ówczesną modą i warunkami klimatycznymi. A tu jest jeszcze plik banknotów, też oryginalnych. Członkowie innych ekspedycji przywieźli je z lat 90-tych XX stulecia. Oczywiście wybraliśmy takie, których data emisji jest wcześniejsza niż maj 1992 r. No i dokumenty tożsamości, także wydrukowane na ówczesnym papierze, zrobili to dobrzy fachowcy. Ma pan jakieś pytania, inspektorze?
– Nie, możemy ruszać.
Barax czekał przed domem. Dałem mu jedną paczkę z ubraniem. Maszyna stojąca na polu wyglądała jak ciemny dysk. Gurow otworzył drzwi. Weszliśmy, pochylając głowy. Podobne pojazdy już widywałem, wszak nie po raz pierwszy ruszałem na tego typu „wycieczkę".
– Mundury włóżcie do tych skrzyń – powiedział Gurow i pochylił się nad pulpitem. – Za dziesięć sekund ruszamy.

*

Szef podszedł do okna. Za pancernym szkłem miasto kąpało się w słońcu. Ponad niebieskimi stawami Parku Śródmiejskiego unosiła się blada para.

– ...Nazywa się Lipp Kilyos. Historyk, 48 lat. Tu jest jego fotografia; ta jest trójwymiarowa, ale pan oczywiście dostanie dwuwymiarową, czarno-białą, którą weźmie pan ze sobą... Kilyos pracował przez 21 lat w instytucie historycznym w Dakarze. Specjalizował się w ustrojach autokratycznych, na ten temat pisał swoją pracę dyplomową. Później opublikował kilka opracowań o XIX- i XX-wiecznych systemach politycznych. Wie pan, inspektorze, co to jest „polityka"?

- Loria jest niedaleko, to małe miasteczko – odpowiedział. – Właśnie się tam wybieram, zawożę mleko. Siądźcie na platformie.

– Odwdzięczymy się. – Ten bardzo użyteczny zwrot językowy stosowałem już w czasie poprzednich podróży i zawsze z dobrym skutkiem. Tak było i tym razem – mężczyzna schował banknot z zadowoloną miną. Dałem znak Baraxowi i minutę później jechaliśmy samochodem w stronę Lorii.

Pomimo wczesnej godziny na ulicach Lorii było już wielu ludzi. Wjeżdżając do miasta wyprzedzaliśmy ciągnięte przez osły dwukółki, na których wieziono warzywa i owoce. Na rynku panował duży ruch. Na wieży kościelnej zadzwonił zegar, świt niepostrzeżenie zamieniał się w poranek. Wzeszło słońce.

e wzbudzamy podejrzeń...
bietom z koszami, przega-
ały osły. Kilku wyrostków
luzję w drzwiach swojego

– Wiem, proszę pana. Tak nazywano w okresie od X do XXIII wieku teoretyczne i praktyczne interakcje różnych grup interesu – odpowiedziałem.

– Tak jest... No więc Kilyos przez całe życie interesował się polityką. Kilka razy dostał pozwolenie na bierne wkroczenie w celach badawczych, okres tych wizyt nigdy nie przekraczał paru godzin. Nikt

Zeskoczyliśmy z samochodu. Rozejrzałem się wokół sprawdzając, czy ni
Lecz ludzie nie zwracali na nas uwagi. Oferowali swe towary bystrookim ko
niali muchy, zawijali w papier ryby, krzyczeli. Skrzypiały kółka taczek, rycz
jeździło tam i z powrotem na motorach. Jakiś sprzedawca z hałasem uniósł ża

jrzewał, nawet wtedy, gdy Kilyos... zniknął.
niemożliwe!
– szef skinął głową. – Rzecz jasna w dzisiejszych czasach da się to zrobić na wiele spo-
agnąca zniknąć może, na przykład, polecieć na którąś z planet Układu Słonecznego, do
z, może się ukryć w automatycznym przekaźniku kosmometeorologicznym na którejś
a jakiś czas zaszyć się w którymś z ludzkich osiedli poza Układem Słonecznym... No i
ć w przeszłość.
do podróżowania w czasie znajdują się pod ścisłą kontrolą – zaoponowałem.
eż tak sądziliśmy. Lecz właśnie sprawa Kilyosa wykazała, że z tym nie wszystko jest w
ilyos ze zdumiewającą cierpliwością czekał na okazję. Dostał legalne pozwolenie wkro-
e ćwierćwiecze XX wieku. Dokładne koordynaty czasowe i geograficzne ustalił sam.
złość i przesłał stamtąd... pustą maszynę.
lowa ucieczka – powiedziałem. Szef skinął głową.
ten sposób to potraktowaliśmy. Jednakże wtedy nie zaczęliśmy podejrzewać go o chęć
Jeszcze nie wtedy. W minionych wiekach wielokrotnie zdarzyło się, że kilku co bardziej
badaczy czasu lub historyków „cofało się" w interesujący ich okres i spędzało tam parę
ięcy, by lepiej poznać ówczesne stosunki. Byli wśród nich tacy, którzy zostawiali wia-
kiedy należy po nich przysłać maszynę. Jednak, jak powszechnie wiadomo, ryzyko
jest w takich wypadkach duże i dlatego prawo czasowe z roku 2812 surowo zabrania
. Ci, których udało się przywieźć z powrotem we współczesność zostali należycie uka-

ej dziesięć lat na Bezludnej Wyspie – mruknąłem.
ie też tacy, którzy zapłacili za to głową – staroświecki zwrot zabrzmiał w ustach szefa
ie – Nie wytrzymali dawnych warunków, ówcześni lekarze nie byli w stanie im pomóc
ginęli na skutek niedostatecznej znajomości stosunków. Przecież wie pan inspektorze,
o epoki, zabójstwa, wojny, wypadki były na porządku dziennym...
Kilyosa sytuacja jest jeszcze gorsza. Początkowo osoby kompetentne nie były specjalnie
sądzono, że to jeszcze jedna wycieczka historyka. Jednakże miesiąc później okazało się,
wą skopiował on w technicznym archiwum ze starych mikrofilmów dokładne opisy
ów i całych procesów technologicznych ich wytwarzania...
nalazki?
ymi aparat telepatyczny Kaltena.
– jęknąłem. – Przecież wymyślono go dopiero na początku XXIII wieku!
e, Roy – szef z zatroskaniem patrzył przed siebie. – Kilyos zabrał ze sobą w przeszłość
j odmiany. Ponieważ jednak wyprzedził w ten sposób o niemal trzysta lat stulecie, w
azł, urządzenie to może się stać w jego ręku potężną bronią.
mu się już je skonstruować – wtrąciłem z nadzieją w głosie. Szef machnął ręką:
wcy, uwzględniwszy możliwości, jakimi Kilyos dysponował w XX wieku sądzą, że mógł

sklepu, z pobliskiej kawiarni wynoszono na tarasik małe stoliczki. Nie było jeszcze ani jednego gościa. Weszliśmy tam i usiedliśmy.

Właściciel – rosły, łysiejący mężczyzna z owłosionymi rękami – grzecznie zapytał nas, co podać. Poprosiłem o gorącą kawę i jakieś ciastko. Gospodarz zwrócił się do Baraxa:

– A panu czym mogę służyć?

Przez chwilę spróbowałem spojrzeć na mojego towarzysza oczami tych ludzi. Jak go widzą? Wydaje się być wysokim, barczystym mężczyzną o czerwonej twarzy i mięśniach sterczących spod marynarki. Szare oczy, niemal nieruchoma twarz, wyważony chód... Skromnie ubrany mężczyzna o potężnej budowie ciała. Może się nawet zdarzyć, że spodoba się jakiejś kobiecie. Może z dwudziestowiecznego punktu widzenia nie odróżnia się wcale od tubylców. Nikt nie ma podstaw by podejrzewać, jak bardzo jest obcy.

– Poproszę kawę – powiedział Barax do właściciela kawiarni.

Wypiłem gorący, gorzki napój i dowiedziałem się, że samochody wypożycza niejaki Juarez mieszkający za kościołem. Pomiędzy Lorią i stolicą jest też stała linia autobusowa. Pierwszy autobus odchodzi o jedenastej, drugi o trzeciej po południu. Pociągu w tej okolicy nie ma.

Musiałem jakoś uzasadnić naszą obecność w tej okolicy, więc ponownie opowiedziałem bajeczkę o zepsutym samochodzie. Mężczyzna ze zrozumieniem pokiwał głową chowając banknot. Wówczas coś jeszcze przyszło mi do głowy: ludzie GALPOL-u tropiący Lippa Kilyosa byli w tej okolicy przed kilkoma dniami. Być może od tamtej pory znowu widziano tu uciekiniera. Wyjąłem dwuwymiarową, czarno-białą fotografię i pokazałem ją gospodarzowi:

– Nie zna pan przypadkiem tego faceta?

Zareagował bardzo dziwnie. Spojrzał na fotografię, po czym błyskawicznie odwrócił się na pięcie i szybko wszedł do budynku. Spojrzeliśmy na siebie z Baraxem nic nie rozumiejąc. Czekaliśmy jeszcze przez chwilę, ale mężczyzna nie pojawił się więcej. Wzruszyłem ramionami i dałem mojemu towarzyszowi znak: idziemy.

– Jeżeli uda się nam wypożyczyć auto, to w porządku. Jeżeli nie, pojedziemy autobusem – powiedziałem. Barax zgodnie ze swoim zwyczajem milczał. Planowanie, wydawanie poleceń, obmyślanie kolejnych posunięć było moim zadaniem. Podobnie jak w czasie wielu dotychczasowych wspólnych misji, on jedynie pomagał mi realizować moje plany. Oczywiście, w wielu wypadkach mogłem liczyć na jego niezwykłe zdolności analityczne.

Okrążyliśmy kościół. Weszliśmy w boczną uliczkę. Podszedłem do opartego o ścianę niewiarygodnie chudego starca:

– Gdzie mieszka señor Juarez?

Skinął jedynie głową wskazując kierunek. Znowu wyjąłem zdjęcie.

– Zna go pan?...

Starzec spojrzał najpierw na zdjęcie, potem na mnie. Później pochylił głowę, splunął i szybko odszedł. To mnie naprawdę zdziwiło. Baraxa natomiast zainteresowało coś innego:

– Do diabła! Co mu wyleciało z ust?

niczego nie pode
– Zniknął? To
– Niestety tak
sobów. Osoba pr
jednej z wielu ba
z planetoid lub r
może się też uda
– Ale maszyny
– Dotychczas
porządku. Lipp K
czenia w ostatni
Udał się w przes
– A więc to ce
– My także w
złamania czasu.
romantycznych
tygodni lub mies
domość, gdzie i
złamania czasu
takich wycieczek
rani.
– Przynajmni
– No i trafili s
bardzo naturaln
lub po prostu z
jak dzikie były t
W przypadku
zaniepokojone –
że przed wypra
wielu wynalazk
– Jakie to wyn
– Między inny
– Voltrans?...
– Ma pan rac
opis najprostsze
którym się znala
– Jeżeli udało
– Nasi fachow

czasie i teraz nie potrafiłem się natychmiast przystosować do stosunków panujących w dawnym stuleciu.

Wtedy coś się wydarzyło.

Później, gdy przypominałem sobie tę chwilę zawsze powracało to lodowate zdziwienie pełznące w górę od moich kolan. Kurcz chwytający moje wnętrzności i klatkę piersiową. Nie byłem wprost w stanie uwierzyć, że coś takiego mogło się wydarzyć. Że właśnie mnie się to przytrafiło...

Mężczyzna uderzył mnie.

Uderzył mnie dłonią w twarz. Zachwiałem się - ale nie od ciosu. Otumaniony stałem przez ułamek sekundy - wciąż jeszcze nie rozumiałem, co się stało. Epoka, w której żyłem, od dawna już nie znała takich zachowań. Minęły stulecia, w ciągu których człowiek nie podniósł ręki na drugiego człowieka.

Lecz wydarzenia z zawrotną prędkością rozwijały się dalej. Barax, widząc co się dzieje, niezwłocznie przystąpił do działania. Dwa ciała runęły na ziemię, a Barax już skoczył w stronę trzeciego. Wreszcie przyszedłem do siebie, chwyciłem mężczyznę, który mnie uderzył i chwytem, który tysiące razy ćwiczyłem w domu rzuciłem jego ciało na ziemię. Nie uważałem należycie, jego głowa uderzyła o bruk wcześniej niż pozostałe części ciała... Zemdlał.

Dopiero wtedy przyszło mi do głowy, że mogłem go obezwładnić w wygodniejszy i bezpieczniejszy dla mnie sposób. Lecz jak widać, uderzenie wyzwoliło we mnie pierwotne instynkty, z których istnienia chyba nawet nie zdawałem sobie sprawy. Własnymi rękami, siłą własnego ciała chciałem oddać cios...

W międzyczasie Barax obezwładnił trzeciego mężczyznę, zanim tamten zdołał wyszarpnąć broń. Odetchnąłem, lecz nadal stałem nic nie rozumiejąc.

- Do diabła! - Barax wykrzyknął swoje ulubione powiedzonko, którego zresztą nauczył się ode mnie. - Co to było?...

- Cholera wie - odpowiedziałem głupkowato. - To przechodzi ludzkie pojęcie!

- Co to jest „cholera"? - zainteresował się Barax.

- Zwrot językowy - wyjaśniłem i nagle uświadomiłem sobie niedorzeczność sytuacji. Jesteśmy w niebezpieczeństwie, stoimy między czterema nieprzytomnymi facetami w mundurach i rozmawiamy o dawnych wyrażeniach.

- Możliwe, że jest ich tu więcej - powiedział Barax. Bardzo często zdarzało się, że jednocześnie myśleliśmy o tym samym, co zresztą nie było przypadkowe.

- Chodźmy stąd - poradziłem. Barax ruszył w milczeniu. Obejrzałem się do tyłu. Na białej wieży kościoła zabłysnął krzyż. Nadchodził dzień, nad nami pojawiały się już pierwsze promienie poranka. Nigdzie nie dostrzegłem wieśniaków.

*

- To są policjanci - wyjaśniłem Baraxowi, gdy znowu szliśmy bezludną drogą. - Pilnują porządku publicznego.

- Dlaczego on cię uderzył? - zapytał. Nie potrafiłem na to odpowiedzieć, więc raczej w kilku mętnych zdaniach zasugerowałem, że dawniej brutalność często szła w parze z utrzymywaniem porządku.

Zapaliłem się i z ożywieniem zacząłem wyjaśniać różne rzeczy memu towarzyszowi, który nigdy jeszcze nie był w tej epoce. On także znał tutejszy język, lecz i tym razem - jak zwykle - przybył tu w jednym określonym celu: by osłaniać mnie, gdybym znalazł się w większych tarapatach.

Zapomniałem jednak o kryształowo czystej logice Baraxa, który nie przeszedł do porządku dziennego nad tym wydarzeniem. Z uporem powracał do sprawy policjantów.

- Nic o nas nie wiedzieli. Chłopi zapewne powiedzieli im, że przyszło dwóch cudzoziemców. A jednak od razu nas otoczyli i potraktowali jak przeciwników. W dodatku to uderzenie...

- No tak - pomacałem się po twarzy. - To było trochę zaskakujące.

Barax nie odezwał się więcej, lecz czułem, że moje odpowiedzi nie zadowoliły go. Robiło się coraz jaśniej. Z półmroku wyłoniły się odległe wzgórza, na niebie pojawiły się białe baranki. Lekki wietrzyk rozgarniał mi włosy. Znowu poczułem zapach spalonej słońcem trawy. Później z prawej strony ujrzeliśmy samotny dom. Ryczały krowy. Jakiś człowiek ładował na małą ciężarówkę aluminiowe pojemniki o dziwnym kształcie. Barax został z tyłu, zaś ja podszedłem bliżej i zagadnąłem mężczyznę.

zbudować pierwszy egzemplarz aparatu. I jeżeli przyjdzie mu ochota, może ich skonstruować więcej.

- Kiedy uciekł?

- Przed dwoma miesiącami.

- Nie szukaliście go? Przecież złamanie czasu, jakiego dokonał, może mieć poważniejsze konsekwencje niż jakikolwiek inny przypadek!

- Właśnie, inspektorze. Oczywiście, że go szukaliśmy, lecz okazał się sprytnym przeciwnikiem. W ciągu dziesięcioleci spędzonych na badaniu czasu znakomicie poznał stosunki panujące w epoce, którą wybrał. Zna także nasze zwyczaje. Tak więc dobrze wiedział, gdzie i kiedy wydział czasu policji galaktycznej zacznie go tropić po zniknięciu. Wybrał odpowiednią taktykę... Wiemy, że doskonale opanował XX-wieczną odmianę języka hiszpańskiego. W przeszłość wszedł w Manili. Zestawiliśmy te fakty. W latach 90-tych XX wieku obszar ten nosił miano Filipin i jednym z używanych tam języków był hiszpański. Byliśmy przekonani, że Kilyos ukrywa się na jednej z wysp. Tam więc posłaliśmy agentów. Szukaliśmy go przez dwa tygodnie, bez skutku. Wówczas już domyślaliśmy się, że wkroczenie w Manili było jedynie krokiem mającym zmylić pościg i że Kilyosa trzeba szukać na tym samym obszarze językowym, lecz w innych koordynatach geograficznych. Ponieważ uciekinier spośród trzech tysięcy języków używanych na Ziemi w XX wieku znał jedynie hiszpański, dalsze poszukiwania prowadziliśmy jedynie na tym obszarze językowym.

- To znaczy w co najmniej dwudziestu ówczesnych krajach. A tymczasem upływały cenne dni - mruknąłem.

- Upływały, bo Kilyos okazał się bardzo chytrym przeciwnikiem i starał się zatrzeć za sobą ślady. Tak więc kolejne dziesięć dni straciliśmy w dawnej Hiszpanii. Natrafiono, co prawda, na ślady Kilyosa, lecz prowadziły one do Ameryki Łacińskiej. Przerzuciliśmy w dwudziesty wiek dwukrotnie więcej ludzi i wreszcie w zeszłym tygodniu udało się nam jako tako zlokalizować tego przestępcę.

- I oczywiście moje zadanie polega na tym aby go przywieźć z powrotem - przerwałem nieuprzejmie. - Ale dlaczego właśnie ja?

- Ponieważ tym razem będzie to zadanie specjalne, którego nie możemy powierzyć nie przygotowanym zwiadowcom znającym się jedynie na tropieniu śladów. W przypadku Kilyosa nie mamy do czynienia z roztargnionym profesorem, z ciekawskim, naiwnym uczonym, który zapomina o bożym świecie, lecz - jak już sugerowałem uprzednio - z przestępcą. Można się domyślać, że Lipp Kilyos chce zrobić w przeszłości karierę. Zna pan to słowo, inspektorze?

- Znam.

- No więc Kilyos tu, w roku 3044, był nikim. Jednym z dziesięciu tysięcy badaczy czasu. Koledzy, którzy go dobrze znali, uważali go za człowieka zżeranego przez ambicję, lecz niezbyt zdolnego i w gruncie rzeczy nieciekawego i przeciętnego. Psychologowie policji galaktycznej zestawili później wszystkie dane psychologiczne i inne informacje o Kilyosie, na jakie tylko udało im się trafić. Zgodnie twierdzą, że Kilyos próbuje się w przeszłości wybić. Znaleźć w czołówce. Niestety, posiadając swą wiedzę, aparat Voltrans, a także znając najbliższą przyszłość, ma olbrzymią przewagę nad przedstawicielami ówczesnego społeczeństwa.

- To złamanie czasu może stać się niebezpieczne. Gdzie on teraz jest?

- Dostanie pan koordynaty, inspektorze. Naszym zwiadowcom udało się ustalić jedynie miasto. Operacja będzie niebezpieczna, Roy. Zarząd uznał, że mamy do czynienia ze złamaniem czasu pierwszego stopnia, a więc z najpoważniejszym przypadkiem tego typu od momentu rozpoczęcia podróży w czasie i stworzenia policji czasu.

- Jak daleko mogę się posunąć w swoich działaniach? - zapytałem i poczułem, że mam suche wargi. Złamanie czasu pierwszego stopnia?... Wreszcie jakieś zadanie dla mnie. Lepsze niż ślęczenie całymi miesiącami w centrali i oglądanie telewizji.

- Oficerowie GALPOLu mogą zabijać jedynie w ostateczności - powiedział powoli szef. - Na wczorajszej naradzie zarząd zadecydował, że upoważni pana do tego. Odnosi się to, rzecz jasna, jedynie do osoby Lippa Kilyosa i tylko wtedy, jeżeli w żaden - rozumie pan, inspektorze - w żaden inny sposób nie potrafi pan przenieść go w teraźniejszość. Wtedy... może go pan zabić.

Zamknąłem oczy. Zabić? To słowo było mi wstrętne. Atawistyczne, pierwotne, bezlitosne. Czy byłbym do tego zdolny?... Swego czasu uczono nas różnych technik zabijania, lecz jeszcze nie słyszałem, by ktokolwiek z nas...

– Oczywiście, bardziej bym się ucieszył, gdyby przywiózł pan Kilyosa całego i zdrowego, żeby tu mógł otrzymać należną karę – dodał szef. Później znowu na chwilę zapanowała cisza.

– Moja interwencja może przybrać takie rozmiary, że sama stanie się złamaniem czasu drugiego lub trzeciego stopnia – zauważyłem ostrożnie.

– Jesteśmy tego świadomi. Jednakże musimy podjąć takie ryzyko, jako że dalsza działalność Kilyosa może postawić nas w jeszcze cięższej sytuacji, inspektorze – szef nagle wstał. Ja także się poderwałem. – Zarząd postanowił, że zostawi panu wolną rękę. Na miejscu może pan zrobić wszystko, co uzna pan za konieczne dla dobra sprawy. Jednakże niezależnie od tego cieszyłbym się, gdyby informował mnie pan o przebiegu operacji.

– Telefon czasowy? – zapytałem. Zgodę na jego używanie wydawano dotychczas jedynie w wyjątkowych wypadkach.

– To nietypowa sytuacja, Roy. Będzie pan utrzymywał kontakt jedynie ze mną.

Rozumiałem powagę chwili. Do omówienia pozostała już tylko jedna rzecz.

– Kogo pan zabierze ze sobą, Roy? Cały stan osobowy GALPOLu stoi do pańskiej dyspozycji. Niech pan wybierze najlepszych ludzi.

– Sądzę, proszę pana, że gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść – po błysku w jego zielonych oczach poznałem, że spodobało mu się to powiedzenie. Zresztą wszyscy wiedzieli, że szef poza kosmicznymi kamykami najchętniej „zbiera" stare zwroty językowe, powiedzonka i przysłowia. Pomyślał chyba o tym samym, bo powiedział:

– Jeżeli usłyszy pan coś takiego, niech pan to zapamięta i przekaże mi. Kolekcjonuję takie rzeczy.

– Postaram się, proszę pana. Co się zaś tyczy tej sprawy, to znam dwudziesty wiek i wiem, że jedna lub dwie osoby są w stanie zdziałać więcej niż cały oddział agentów... Musimy zniknąć w tłumie. Nie możemy zwrócić na siebie uwagi.

– Możliwe, że ma pan rację. Przeprowadzenie operacji to pańska sprawa, więc niech pan sam opracuje strategię. Kogo więc zabiera pan ze sobą?

– Myślę, że tylko Baraxa.

– Baraxa? – brwi szefa uniosły się, po czym równie szybko wróciły na poprzednie miejsce. Możliwe, że spodziewał się tej odpowiedzi, bo kontynuował jakby odprężony. – Wiem jak dziwne więzi łączą was ze sobą, inspektorze. W porządku, niech go pan zabierze.

– Dziękuję.

– Życzę szczęścia, Roy.

– Sądzę, proszę pana, że bardzo będziemy go potrzebować.

Rozdział 2

Zeskoczyliśmy na ziemię. Gurow utrzymywał maszynę w powietrzu. Światło gwiazd wydawało się bledsze. Jednakże nie miałem czasu na oglądanie nieba, bo po kolana zapadliśmy się w trawie i musiałem patrzeć pod nogi. Gurow odezwał się:

– Nie wyczuwam żadnego gazu szkodliwego dla człowieka.

– Do diabła, nie chodzi mi o gaz – zezłościłem się, lecz pomyślałem, że byłaby to bezpłodna dyskusja. Z Baraxem nie da się rozmawiać o tak poetyckich sprawach jak zapach trawy czy kwiatów.

– W jaki sposób zbliżymy się do celu? – zapytał mój towarzysz.

Nastrój wywołany wonią traw nie przeszedł mi całkowicie.

– Noc jest ładna, a ta godzinka, którą moglibyśmy zaoszczędzić i tak nie ma większego znaczenia. Chodźmy raczej pieszo.

Ruszyliśmy na północ, później skręciliśmy na zachód. Było dość ciemno, posuwaliśmy się powoli. Wkrótce dotarliśmy do drogi, o której wspominał Gurow i tam zaczęliśmy widzieć lepiej. Szara wstęga szosy była nieco jaśniejsza od otoczenia. Nasze kroki odbijały się echem w pustej okolicy. Teraz nie śpiewały tu ptaki. Nie widziałem też lasu, choć możliwe, że dalej, na wzgórzach rosły drzewa.

W milczeniu szliśmy przez dwadzieścia minut, po czym Barax odezwał się:

– Jakie są twoim zdaniem szanse Kilyosa?

– Zapytaj raczej, jaką my mamy szansę, by go odnaleźć, schwytać i zabrać z powrotem – powiedziałem pełen obaw. Sam nie wiem dlaczego opanował mnie dziwny niepokój. Noc – ta noc w przeszłości – mogła kryć nieznane niebezpieczeństwa. Na szczęście był to ulotny, chwilowy nastrój.

Pół godziny później dostrzegliśmy światła. Mogła być godzina czwarta miejscowego czasu. Przy drodze pojawiły się białe domy. Była to wieś, zbliżaliśmy się do niej bardzo ostrożnie. Pomiędzy domami nie widać było ludzi. Jednakże na centralnym placyku, gdzie wznosił się budynek z wieżą, pod ścianą siedziało kilku mężczyzn. Wiedziałem, że ten budynek to kościół.

– Podejdźmy do nich – poradziłem. Barax – czułem to – nie był zachwycony pomysłem, lecz posłusznie szedł za mną. Nie mógł postąpić inaczej, byłem dowódcą naszej małej ekspedycji.

Na dźwięk naszych kroków mężczyźni wstali, z niepokojem patrząc w naszą stronę. Gdy doszliśmy do miejsca oświetlonego przez lampy zapiąłem marynarkę i starałem się uprzejmie uśmiechnąć:

– Dzień dobry.

To były moje pierwsze słowa w roku 1992. Wykonując różne zadania wiele razy byłem już w przeszłości, ale w 1992 jeszcze nie gościłem. Co prawda, na pierwszy rzut oka nie różnił się on zbytnio od lat 50-ych czy 70-ych, które już znałem.

– Dzień dobry – mruknęli tamci od niechcenia, nieufnie. Oceniali wzrokiem nasze twarze i ubrania. Starałem się zachowywać spokojnie i naturalnie.

– Zepsuł się nam samochód parę kilometrów stąd... Jesteśmy cudzoziemcami. – W ten sposób od razu wytłumaczyłem się z mojej niedoskonałej wymowy. – Chcieliśmy dotrzeć do Boliwar. Albo przynajmniej do jakiegoś miasteczka, jeżeli jest tu w okolicy.

Milczeli.

– Gdyby można było wypożyczyć jakiś samochód... – kontynuowałem, lecz wtedy właśnie przypomniał mi się plik pieniędzy, które dał mi Gurow, więc szybko dodałem. – Oczywiście dobrze zapłacimy.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, jeden z nich odezwał się.

– Coś się da zrobić. Zaczekajcie tu, señores.

Odeszli, wszyscy razem, w tym samym kierunku. Po wschodniej stronie nieba rósł niemal jeszcze niedostrzegalny, niewyraźny, szary blask. Świtało.

ło kilka głośnych słów, po czym nagle wyłonili się czterej wąsaci
. Zanim zdążyliśmy się poruszyć, otoczyli nas. Od razu zauważy-
askach u prawego boku nosili trójkątne, czarne pudełka. Broń –
że ich jednakowe stroje to mundury. To znaczyło, że należą do

– Najbliższe miasteczko leży jedenaście kilometrów na zachód. Niedaleko stąd znajdziecie drogę... I nie zapomnij zawiadomić nas o terminie wkroczenia.

– Nie zapomnę – skinąłem ręką. Gurow zamknął właz. Ledwo się odsunąłem, gdy pojazd uniósł się w powietrze. Przez chwilę widzieliśmy jego podobny do dysku, zacierający się kadłub. Wreszcie jego kontury rozpłynęły się w powietrzu. Gurow przekroczył limes tempori – granicę przestrzeni.

Wciągnąłem powietrze w płuca. Trawa miała zupełnie inny zapach niż tysiąc pięćdziesiąt dwa lata później.

– Co powiesz o zapachu trawy? – zapytałem.

Barax rozglądał się po okolicy. Wiedziałem, że użył noktowizora. Nie odkrył chyba nic niepokojącego, bo odpowiedział:

Z ciemności pomiędzy domami pa
mężczyźni w jednakowych ubraniach
liśmy, że to nie ci sami chłopi. Na p
uświadomiłem sobie i zrozumiałem,

...ojnej organizacji.

– Pod ścianę i nie ruszać się! – krzyknął jeden z nich.

Do głowy nam nie przyszło, żeby się poruszyć. Lecz nie stanęliśmy też pod ścianą.
krzyknął, podszedł do mnie.

– Nie słyszał pan rozkazu?

– Pan mi rozkazuje? – zdziwiłem się. Trudno, człowiek nie jest w stanie przestawi
minut. Nawet jeżeli ma taki zawód jak ja i zna różne epoki. Byłem zbyt długo w m

Mężczyzna, który

ć się w ciągu paru
oim prawdziwym

Dowiedział się, czego właściwie dokonał, zrozumiał wszystko dzięki serii przypadków i własnej nieuwadze.

Gdy podnosił lufę do skroni, nie domyślał się niczego. Naciskając spust odruchowo przymknął oczy, miała to być ostatnia świadoma czynność. Usłyszał przeraźliwy huk i... nic się nie stało. To tylko rozdygotana wyobraźnia spotęgowała szczęk zamka i głuche uderzenie iglicy. Przez kilkadziesiąt sekund (może minut?) z trudem wracał do siebie; już zza tamtej drugiej strony. Pistolet po prostu nie wypalił. Zaczął nerwowo go sprawdzać. Nic, żadnej usterki mechanizmu, wszystko funkcjonowało normalnie. A zatem? Stało się najgorsze – magazynek był pusty. A przecież tak dbał o jego zawartość...

Przeklinał swój wczorajszy pomysł, czy raczej odruch ponownego zejścia w dolinę, w rejon porzuconego transportera. Przecież tam wyżej, przy ciałach ludzi z jego drużyny pozostało kilkanaście sztuk broni z magazynkami pełnymi naboi! Ale o ponownej wspinaczce w kierunku przełęczy nie było nawet co marzyć.

Mógł tylko czekać. Wiedział, że końcówka nie potrwa długo; krwotok z nosa nie ustawał, coraz częściej następowały ataki torsji, na skórze zaczęły występować szkarłatne plamy, a rana na udzie czerniała. Bał się jednak; z literatury wiedział, że nie czeka go najlżejszy rodzaj śmierci.

Nie wierzył w żadnego Boga, tylko w przeznaczenie. Personifikował przeznaczenie do tego stopnia, iż uważał, że to ono właśnie odpłaca każdemu stosownie do zasług i win. Pojął teraz, że rodzaj śmierci, który mu przypadł jest wyrokiem za to, co zrobił. A zważywszy wszystko, łagodnym chyba wyrokiem.

Nie doszedł jeszcze do transportera, w którym zamierzał się schować jak ranne zwierzę. Na to miał czas. Oparty o występ skalny czekał obserwując dolinę. Mijały godziny, słońce zniżało się, zbliżała się noc ze swym chłodem i koszmarami. Bronił się jak mógł przed wspomnieniami minionych trzech dni, niestety – podświadomość była silniejsza od woli. M u s i a ł odtwarzać kolejne wydarzenia. Nie potrafił wyłączyć swego umysłu.

ODWRÓT

Sławomir Mil

Preludium

Alarm nie zaskoczył nikogo. Wiedzieli, iż mimo stacjonowania w sercu kraju znajdą się w istocie na pierwszej linii i że sytuacja międzynarodowa pogarsza się z dnia na dzień. Lada moment mogli wejść do akcji. Cały batalion od kilkudziesięciu godzin oczekiwał tego. Oporządzenie było spakowane, sprzęt skontrolowany, ludzie w miarę trzeźwi i w pełnej gotowości.

Tylko z tym rozeznaniem w sytuacji to może przesada. Za dużo nie wiedzieli. Byli przecież jednostką pierwszego rzutu, złożoną głównie ze straceńców odciętych od stryczka.

Też jedna ze słodkich tajemnic armii: każdy wyrok sądu cywilnego opiewający na więcej niż dziesięć lat można zamienić na bezterminową, dożywotnią zatem służbę, pozbawioną realnych szans awansu. Najdziwniejsze, iż spośród takich właśnie ludzi rekrutowali się najlepsi żołnierze. Ich sprawność, stopień wyszkolenia bojowego, a nawet oddanie Ideałowi Narodowemu – wszystko stało na najwyższym poziomie. Wytłumaczyć można to prosto: dopiero w koszarach znaleźli pierwszy dom w życiu i dbali o wzajemne przystosowanie, siebie do domu, domu do siebie. Niestety, o ich poziomie intelektualnym nie można było tego powiedzieć. Tylko on, sierżant, etatowy szef kompanii wiedział co nieco o „wielkiej polityce", docierały do niego komunikaty prasowe oraz pogłoski powtarzane w kasynie oficerskim, dokąd wpuszczano go okazjonalnie. Zdołał więc sobie wytworzyć w miarę obiektywny obraz świata...

Dwa światowe systemy definitywnie zerwały ze sobą. Brak kontaktów. Zerowy przepływ informacji. Wiadomości o zbrojeniach – tylko z satelitów szpiegowskich, a i te coraz bardziej zakłócane przez antysatelity oraz pozorowane działania naziemne. Nic. Kres międzynarodowych organizacji, konferencji, rokowań czy rozmów. Świat rozpadł się na dwie połowy i z lękiem oczekiwał swego końca. Prości ludzie z krajów niezaangażowanych oraz satelitów obu mocarstw nie robili już nic. Patrzyli w niebo i czekali. Gospodarka upadała, a wraz z nią i kultura. Jedynie wróżki, kabaliści, prorocy i uzdrowiciele zbierali swoje żniwo; nastąpił renesans mistycyzmu. Kolejne kryzysy: energetyczny, przemysłowy, kulturalny a wreszcie i cywilizacyjny tłumaczono w ten sam sposób: „Wzrasta zagrożenie wojenne, nie pora zatem myśleć o sprawach przyziemnych, w szczególności zaś o własnych potrzebach czy indywidualnych dążeniach". Pogodzić się trzeba z rosnącymi cenami i podatkami, spadkiem poziomu życia, z zanikiem ostatnich swobód obywatelskich. A

wszystko to w imię izolacji Szatana, reprezentowanego przez Drugą Stronę.

I tak to się działo, z każdym dniem coraz gorzej. Tylko koła wojskowe, szczególnie wyższe kadry dowódcze, zadowolone były z takiego stanu rzeczy.

Gdy nastąpił wreszcie oczekiwany sygnał sprawnie załadowali się wraz ze sprzętem do transporterów opancerzonych i z pełną szybkością ruszyli w rejon rozśrodkowania.

Dojazd upłynął mu bardzo przyjemnie. Odpowiednio manewrując trafił do transportera trzeciej drużyny, rekrutującej się z tych wyrokowców cywilnych, którzy zdążyli narazić się także jurysdykcji wojskowej. Stworzono z nich coś w rodzaju „karnej drużyny". Ale jako podwójnie skazani, stanowili samą elitę armii; nie było żołnierzy lepszych od nich. Mógł zatem pogadać sobie w dobrym towarzystwie, puścić w obieg kilka niecenzuralnych kawałów, usłyszeć kilka nowych i w ogóle odprężyć się psychicznie. A co najważniejsze, nie musiał znosić widoku i wysłuchiwać tego mydłka, dowódcy plutonu, podporucznika z bożej łaski, trzytygodniowego przeszkolenia i pochodzenia z dobrej rodziny. Niestety, kastowość w armii sięgnęła ostatnich granic.

Wyładowano ich w dobrze znanym miejscu. Nigdy co prawda tutaj nie byli , ale większość ćwiczeń odbywali w podobnej scenerii. Góry, pustynia, upał.

Gdy tylko wjechali na przełęcz, przesiadł się na miejsce obok kierowcy i rejestrował w pamięci każdy szczegół rozległego pejzażu. Zjeżdżali w pustynny kanion o prawie kolistym kształcie. W samym środku leżała opuszczona osada, nie opodal niej reszt-

obserwowali tylko tuman kurzu. Wszyscy byli mile oszołomieni.

Do wieczora nie działo się nic ciekawego. Sierżant z trudem ratując swój prestiż nadwątlony tak wysoką wizytą, wymyślał jakieś drobne zajęcia. Wraz ze zmierzchem skończyły się i one. Rozwalili się na piasku w błogim – tak cenionym w wojsku – bezruchu.

A gdzieś tak około dziesiątej wieczorem zaczęło się. Na niebie pojawiły się najrozmaitsze obiekty poruszające się w różnych kierunkach z różnymi prędkościami: część z nich ostrzeliwana była przez artylerię naziemną i atakowana rakietami. Pełna różnorodność odgłosów, barw i świateł; dosłownie kino. Zastanawiali się nad jednym: czy są to tylko manewry, na co wskazywałaby spektakularność zdarzeń, czy też rzeczywiście coś się zaczęło. Po piętnastu minutach fajerwerków przestali mieć jakiekolwiek złudzenia. Nastąpiło uderzenie.

Oślepiający błękitny rozbłysk. Zdążyli instynktownie paść na ziemię i po chwili rozpoczął się kataklizm. Przeraźliwy, długotrwały grzmot i nie kończący się huragan niosący tony piasku, który tamował oddech, wciskał się w nos i usta, usypywał nad każdym leżącym szybko rosnący kopczyk. Po eonach wypełnionych walką o haust czystego powietrza oraz uniknięcie pogrzebania żywcem nastała cisza będąca tylko interludium przed drugim aktem. A był nim klasyczny „ciężki" deszcz. Z nieba waliła się woda przemieszana ze wszystkim, a prościej mówiąc – skażone błoto. To trwało kolejną wieczność. Gdy nastąpił wreszcie spokój, gdy podnieśli się z ziemi, nie byli w stanie ani działać, ani mówić, ani nawet myśleć. Tylko on zaczął się zastanawiać nad...

...ki zabudowań kopalni, a wokół rozciągały się piaski urozmaicone polami kaktusowymi. Całość otaczały skaliste wzniesienia.

Zajęli pozycję o jakieś dziesięć kilometrów od osady. Przypadkowo pozycja okazała się znakomita. Tuż przed wyznaczoną dla nich linią wyrastała z piasku drobna skalna odnoga otaczających ich wzgórz. „Wykopki", przygotowanie stanowisk i maskowanie zajęło niewiele więcej niż godzinę. W zasadzie zaraz po przyby-

...ki zabudowań kopalni, a wokół
...losem, którego podstawową determinantą była
...wka promieniowania. Z trudem dowlókł się do
...próbował uruchomić radiostację. Nic z tego nie
...to oczywiste, przy takiej jonizacji powietrza.
...siedział w poczuciu pełnej beznadziejności, gdy
...go wzrok padł na tył transportera, gdzie na pod-
...nim... Pob-
...ystkim do-
...osobistych,
...ycję. Szczę-
...śliwie nastąpiło karygodne zaniedbanie; do czasu tylko on poznał prawdę.

Trzęsącymi się rękami zaczął rozpinać pokrowiec, analizując w myśli, na ile pancerz trasportera zatrzymał promieniowanie i

ich najbliższym...
otrzymana da...
transportera i...
wyszło. Zreszt...
Dłuższą chwilę...
przypadkiem j...

ciu powinien odnaleźć stanowisko dowódcy kompanii, a przynajmniej plutonu, do którego został odkomenderowany, ale zwlekał nadal obserwując otoczenie. Już wcześniej, z rozmów radiowych z sąsiadami wiedział, że cały batalion, a kto wie czy...

...łodzie wałał się niewielki brezentowy pokrowiec, a w...
...łogosławić musiał swoje niedbalstwo, a przede ws...
...wódcy trzeciej drużyny. Był to komplet dozymetrów...
...które powinny być rozdane przez udaniem się na poz...

...nie pułk, kieruje się w to samo miejsce. Teraz, oglądając te... przez lornetkę, upewnił się, że ściągnięto tu znacznie więks... siły. Pospiesznie zmobilizowani rezerwiści nie potrafili mas... wać swoich działań, które widoczne były nawet z odległości t...

...wiście, nie mógł tego osza-
...gdy rozpakował wszystko,
...t bezprzedmiotowa. Mimo
...zymetrów była maksymal-
...nie przeżył.
...gorszy z możliwych rodzaj
...rowcy postanawiając sobie
...o samego końca. I w tym
...o wyobraźni twarze żołnie-
...n ludzi zdegenerowanych
...unki życiowe, którzy dopie-
...ego życia, a także poczucia
...e mógł ich tak zostawić, na
...asnymi wymiotami. Jeżeli
...na żołnierzy. Ale jak? Dłu-
...tak zaczęła się

dziestu kilometrów, z drugiej strony kotliny. A więc otoczono ją całą... Szybki rachunek potwierdził, iż konieczne były tu siły przynajmniej półtorej dywizji. Coraz lepiej... Tylko po co ta nonsensowna koncentracja?

Wyjaśnienie przyszło szybko. Gdy okopali się już, odsapnęli, wyciągnęli karty i kości, wzdłuż rubieży obronnej podniósł się przemieszczający w ich kierunku tuman pyłu, z którego wyłonił się wkrótce wóz terenowy wyższego dowództwa. Stawiając drużynę na baczność myślał gorączkowo jak wytłumaczyć swą obecność tutaj, a przede wszystkim nieznajomość lokalizacji reszty kompanii. Postanowił udawać „zdeklasowanego" sierżanta, który spadł do stanowiska dowódcy drużyny. Nie wiedział jeszcze, iż zrządzeniem losu będzie nim rzeczywiście i to do samego końca.

Łazik zatrzymał się gwałtownie i wyskoczył z niego Przystojniak – Dowódca Brygady, ulubieniec żołnierzy, najmłodszy generał Szóstej Armii. Swoim zwyczajem nie zwrócił najmniejszej uwagi na wyprężony pododdział, tylko obszedł najpierw pozycje, gdzieniegdzie poprawił coś czubkiem buta, ówdzie schylił się i usunął zbędny kamień, słowem troskliwy ojciec. Dopiero potem raczył zauważyć równą linię oczekujących go żołnierzy, podszedł sprężystym krokiem i...

...bez precedensu. Jeszcze nigdy rozkazu drużynie nie wydawał dowódca tego szczebla. A tak właśnie się stało. I gdyby jeszcze odczytał ten rozkaz! Nie. On kazał podejść wszystkim nad skalną ostrogę, spojrzeć na kotlinę i zaczął tłumaczyć, tak jakby mieli przed sobą mapę plastyczną.

...o ile ich dawka będzie większa. Oczy...
...cować, nawet w przybliżeniu, ale...
przekonał się, że wszelka ocena je...
osłony całego pancerza, zawartość d...
nie ciemna. Czyli nawet tutaj nikt by...

Wiedział więc – skazani są na naj... śmierci. Opadł bezradnie na fotel kie... w duchu nie opuścić tego miejsca... momencie zaczęły się przewijać w je... rzy trzeciej drużyny, tych młodyc... przez środowisko, pochodzenie i war... ro w wojsku zaznali w miarę normal... wspólnoty i koleżeństwa. Przecież n... pastwę śmierci przez uduszenie w... muszą umrzeć, to umrą jak przystało... go rozważał, aż wreszcie wymyślił. ...

Mistyfikacja pierwsza

Opuszczając transporter starał się ... stało się nic wielkiego, a całe pandem... zwykłym epizodem bojowym. Ale ju... żynę zburzył cały ten sztuczny spok... nęły gdzieś zadziorność i cwaniactwo... ni, obdarci i wystraszeni. Powoli zacz... go.

– Sierżancie, co z nami będzie? – ...

– Spokój! Wszystkiego się zaraz d...

...achowywać tak, jakby nie
...onium sprzed godziny było
...ż pierwszy rzut oka na dru-
...ój. Ledwie ich poznał. Znik-
... Byli strzępami ludzi; brud-
...ęli gromadzić się wokół nie-

...wyjąkał któryś.
...owiecie. Ale co to jest!? Ka-

...cie się w rejonie... Współrzędne... 1650 m nad pozio-
... Przed wami kanion... szerokości... z osiedlem... w
...owanym. W jego rejonie, na głębokości... znajduje
...ve stanowisko dowodzenia naszej Armii. Jest ona,
...olą w oku naszych wrogów, tak więc rejon ten jest
...obiektem uderzenia, a może i desantu nieprzyja-
...em, wszyscy, jest chroną, zaminowanej pozycji... Oraz...

...że nie otrzymali zbyt dużej dawki promieniowania. Owszem, mogą przez jakiś czas czuć się nie najlepiej, ale będą to przejściowe dolegliwości. Na razie najważniejszy jest spodziewany desant nieprzyjaciela, w związku z czym od zaraz rozpoczną służbę patrolową w rejonie od ich stanowiska aż do przełęczy. Pierwszy patrol poprowadzi on sam.

...prału! Zbierać oporządzenie! Ogarnąć się! Za trzy minuty zbiórka!

Aby zyskać na czasie odwrócił się od nich i odczekał z dziesięć minut, aż wreszcie kapral zameldował, że wszystko gotowe. Zlustrował drużynę, poprawił to i owo i dopiero wtedy przedstawił „sytuację bojową".

...Uderzenie, które nastąpiło na kotlinę miało niewielką mo...

– Znajduje...
mem morza...
całości ewak...
się rezerwo...
jak wiecie, s...
potencjalnym...

...est obrona zaminowanej pozycja. Zadan...
niem w kierunku... We współdziałaniu... Sygnalizacja według... A poza tym – dodał po chwili znacznie cichszym głosem – zdradzę wam, że znajduje się tu także sześć silosów ze strategicznymi rakietami specjalnego przeznaczenia. Rozumiecie zatem?

– Tak jest! – krzyknęła głośno zbieranina, wciągając brzuchy i dupy. Brygadier zasalutował, wskoczył do wozu i po chwili znów

Po minach widział, że nie są przekonani, ale ze wszystkich sił starają się mu wierzyć. Dlatego też nie zadawali żadnych pytań. Pozostawało więc tylko ustalić skład pierwszego patrolu. Miał przed sobą trzynastu skazanych na śmierć. Długo oceniał ich wygląd, budowę fizyczną i kondycję, aby wybrać dwóch najsłabszych. Stali się nimi w końcu Inżynier, zwany tak z racji ukończenia dwóch klas niższej szkoły technicznej, oraz Aktor, najgenialniejszy symulant w całej armii. Pozostałych zajął wartami, pracą nad oczyszczaniem terenu oraz obserwacją.

Ruszyli w górę. Za pierwszym razem nie próbował niczego wyszukanego. Wiedział, że powrót bez ludzi zostanie przyjęty wzruszeniem ramion. Toteż gdy tylko oddalili się na odległość, z której huk wszystkich typów i rodzajów broni brzmi tak samo, zatrzymał się gwałtownie, zaczął niby to nasłuchiwać i kazał paść na ziemię. Po chwili polecił Aktorowi odczołgać się do tyłu dla asekuracji i w trzy minuty później strzelił w tył głowy Inżyniera. Czaszka eksplodowała, mózg się rozprysnął, a on sam zaczął wymiotować. Doszedł jakoś do siebie, odczekał aż zwabiony strzałami Aktor wbrew rozkazowi podejdzie bliżej i mierząc w czoło zabił go z dystansu. I tak, bez wielkiego wysiłku, dwie trzynaste zadania zostało wykonane. Obaj zginęli albo w pełnej nieświadomości, albo w przekonaniu o śmierci z ręki wroga. Było już koło południa następnego dnia. Tak przynajmniej wskazywał zegarek; niebo było sinogranatowe, a śmietnisko, jakim stała się atmosfera, prawie nie przepuszczało światła słonecznego.

Uspokoił się, wypalił ze trzy papierosy i zaczął wracać na dół. Relację zdał prostą. Na przełęczy wylądował desant w sile przynajmniej kompanii. Znajdują się zatem między młotem a kowadłem: od góry nieprzyjaciel, z dołu teren skażony. Trzeba zatem szukać możliwości odwrotu wzdłuż obwodu kotliny. I na tym stanęło. Zabrali z transportera i ze swoich pozycji wszystko, co mogło się przydać i ruszyli.

Po około dziesięciu kilometrach ponownie natrafili na drobne skały, zarządził więc założenie pomiędzy nimi stanowiska, będącego bazą wypadową do zbadania dalszej drogi i możliwości wydostania się z kotliny. Zatem kolejny patrol.

Tym razem nie wybierał nikogo; wszyscy prezentowali się źle. Kazał zgłosić się trzem ochotnikom. Za wielkiego entuzjazmu nie było, niemniej poszeptawszy trochę, drużyna wypchnęła trzech przedstawicieli. Przez jakiś czas posuwali się jeszcze wzdłuż obwodu, po czym zaczęli wspinać się w górę. Tym razem miał znacznie trudniejsze zadanie. Poprzednie ofiary były łajzami, z którymi można było zrobić wszystko. Natomiast ta trójka składała się ze starych wyjadaczy i o żadnym rozsyłaniu na boki nie mogło być mowy. Zbyt dobrze znali – mimo iż rzadko się do nich stosowali – zasady działań bojowych, przepisy i regulaminy. Wszystko musiało się dziać zupełnie naturalnie. Przygotował zatem następujący manewr: w trakcie podchodzenia kazał czołgać się w dwudziestometrowych odstępach – co było ze wszech miar uzasadnione – sam będąc na przedostatniej pozycji. Po kilkuset metrach zwolnił na tyle, by dać dojść ostatniemu. Poprosił go wtedy o pomoc przy poprawie oporządzenia, a gdy ten zajął się tym skwapliwie, wbił mu w plecy nóż, z którym nigdy się nie rozstawał, a który pozostał mu po krótkim okresie służby w oddziałach desantu powietrznego. Ciało zatrzepotało, po chwili znieruchomiało i tylko we wzroku zastygł wyraz zdumienia. „Trzy zero dla mnie" – pomyślał i przyspieszył tempo czołgania się w górę. Gdy doścignął pozostałych, zarządził odpoczynek. Po kilkunastu minutach nastąpiło oczekiwane zaniepokojenie losem czwartego uczestnika patrolu. Logika (ale nie regulamin zabraniający rozdzielania się) nakazywała wysłanie kogoś na dół. A gdy już poszedł, wszystko wróciło do sprawdzonego wcześniej schematu: pozostającemu z nim w tył głowy, wracającemu w czoło. Psychicznie i fizycznie zniósł to znacznie lepiej.

Gorsza sprawa była natomiast z powrotem do oczekującej ich ósemki. Tym razem nie mógł zakomunikować, że tylko on wyszedł cało z patrolu; zbyt grubymi nićmi byłoby to szyte. Przemyślał to jednak wcześniej. Teraz pozostawała tylko realizacja... Długo mierząc i kalkulując strzelił sobie wzdłuż uda uzyskując spektakularną ranę. Nie była zbyt groźna, ale upływ krwi i ból były znaczne. Dokuśtykał jakoś na odległość głosu, położył się na piasku i zaczął wzywać pomocy. Udzielono mu jej szybko. We czwórkę przenieśli go troskliwie w rejon obozowania, obandażowali, nafaszerowali środkami przeciwbólowymi z indywidualnych pakietów.

Nie próbował teraz wydawać żadnych rozkazów, a zwołał coś w rodzaju narady całego stanu osobowego. Rozpoczął od aktualnej sytuacji. Przede wszystkim, w rejonie, z którego wraca, pozostało dwóch nieco ciężej rannych. Ponieważ ściemniało się już gdy wpadli w zasadzkę, a on zdołał ściągnąć ich nieco niżej, najprawdopodobniej nie wpadli w ręce wroga. Trzeba więc najpierw zająć się nimi, a później kontynuować odwrót i szukać możliwości wydostania się z kotliny. Co proponują?

Mimo widocznego osłabienia i narastających objawów choroby popromiennej zaczęli żywo dyskutować. Sam, pozorując wyczerpanie, prawie nie zabierał głosu, tylko od czasu do czasu drobnymi uwagami sterował dyskusją, aby doprowadziła do pożądanego rezultatu. Tak też się stało. Ustalili podział na dwie czwórki, z których jedna – pod wodzą kaprala – zaraz wyruszy na pomoc rannym. Sierżant, wbrew jego naleganiom i zapewnieniom, że da sobie radę, pozostanie z resztą. Wystarczy, że opisze im drogę. Dopiero rano pozostała czwórka z wypoczętym sierżantem dołączy do nich. Przebieg dalszego odwrotu będzie zależał od działań nieprzyjaciela i stanu rannych.

Wyruszyli tuż po północy. Pozostali ustalili półtoragodzinne warty, wyłączając z nich oczywiście sierżanta, i zapadli w ciężki sen. Poczekał pół godziny i zawołał pełniącego pierwszą wartę.

– Kładź się spać. Ja i tak nie usnę przez ten cholerny ból, to mogę popilnować interesu.

Propozycja została przyjęta z wdzięcznością. Po chwili chłopak chrapał ciężko razem z innymi.

Ponieważ chciał dogonić tamtych jeszcze w nocy, tu musiał się spieszyć. Co prawda, nie miał zbyt trudnego zadania. Może tylko w sferze psychicznej; nie jest łatwo zakłuć z zimną krwią czterech dobrze sobie znanych, śpiących ludzi. I to w tej niesamowitej scenerii – tak jak w dzień panował półmrok, tak w nocy zjonizowana atmosfera, wypełniona radioaktywnymi cząsteczkami, emitowała czerwoną poświatę. Ale musiał to zrobić. I zrobił.

Tym razem nie wyszedł z tego bez szwanku. Niewątpliwie na to co zrobił nałożył się wpływ choroby popromiennej i gorączki wywołanej raną, niemniej efektem było silne drżenie rąk i nerwowe skurcze lewej połowy twarzy. Nie mógł nic na to poradzić. Zabrał pistolet maszynowy, zapasowe magazynki i ruszył w ostatni etap swojej akcji.

Powinni być o trzy, cztery kilometry dalej; taką przynajmniej podał lokalizację miejsca, gdzie rzekomo zostawił rannych. Tam mieli – niezależnie czy ich znajdą – czekać na resztę. Nie miał żadnego sprecyzowanego planu, poza tym, że nie mógł im się pokazać na oczy i wszystko musiał załatwić z dystansu. Z odnalezieniem ich nie było specjalnego kłopotu; choroba musiała poczynić znaczne postępy, gdyż najwyraźniej stracili resztki „bojowego instynktu samozachowawczego" – z kilkudziesięciu metrów słychać było ich rozmowy i widać ogniki papierosów. Obozowali u podnóża niezbyt wznoszących się skał. Wspiął się i obszedł ich łukiem tak, aby znaleźć się bezpośrednio nad nimi. Widział ich teraz doskonale. Widok był żałosny, wzruszający nawet. Siedzieli bezradnie, tuląc się do siebie w oczekiwaniu na najgorsze.

Przygotował się niezwykle starannie. Wiedział, że musi pierwszą serią przynajmniej zranić każdego. Bo jeśli chybi i pozwoli uciec komukolwiek, to już go nie dostanie. Aby do końca zachować pozory owinął lufę grubym strzępem bluzy; z praktyki wiedział, że zmienia to znacznie odgłos broni. Ręce trzęsły mu się coraz bardziej.

Strzelał długo. Opróżnił cały magazynek, potem drugi... Po pierwszym zaskoczeniu próbowali się poderwać, dwóm udało się nawet przebiec kilka kroków, ale teren był zbyt odsłonięty. Powoli zszedł na dół. Był tak odprężony wykonaniem „zadania", że nie zmienił nawet magazynka i w ostatniej chwili omal nie poniósł klęski. A powinien przecież przewidzieć, że któryś z nich, lekko tylko ranny, może teraz leżeć przyczajony. Gdy był o jakieś pięć kroków od zalegającej piasek grupy, podrywała się w jego kierunku rosła sylwetka z wycelowanym pistoletem maszynowym. Napastnik chciał chyba strzelić z najbliższej odległości i to go zgubiło. Gdy znalazł się na odległość ręki, zatrzymał się raptownie.

– Sierżancie... – miał zupełnie ogłupiałą minę.

I ten moment zawahania wystarczył na zadanie ciosu kolbą. Żołnierz padł, ale nie stracił przytomności. Przez kilka sekund niezgrabnie dźwigał się na nogi. Sierżant zdołał w tym czasie wydobyć z kabury rzadko używany służbowy rewolwer i w panice władował w chłopaka wszystkie sześć pocisków. A później

Sławomir MIL

Urodził się w 1946 r. Doktor nauk technicznych, specjalista od modelowania procesów biologicznych (m.in. pamięci człowieka). Zadebiutował w 1976 r. opowiadaniem „Klepsydra", opublikowanym w „Młodym Techniku" (1/76). Współautorem był brat Janusz Mil (1951–1985). Łącznie w latach 1977–85 opublikowali w prasie dziesięć opowiadań ciążących ku hard science fiction. W 1985 r. ukazała się powieść braci Milów „Exodus VI", o której pisaliśmy w „Fantastyce" nr 9/85. Wydawnictwo „Nasza Księgarnia" przygotowuje do druku wspólny tom ich opowiadań – „Katalizator".

(mp)

albo zemdlał, albo doznał przejściowej amnezji. Gdy wróciła mu świadomość stwierdził, że minęło kilka godzin. Zbliżało się południe kolejnego, ostatniego już dnia.

Następne godziny także trudno było odtworzyć. Najpierw miał zamiar od razu skończył z sobą, ale tak jak umierające zwierzę zapragnął zaszyć się w jakieś kryjówce. Do głowy przyszedł mu tylko transporter. Jakimś cudem zdołał mimo zranionej nogi i postępującego zakażenia przebyć kilkanaście kilometrów. Bolało go już wszystko, dręczył głód i pragnienie, ale organizm nie chciał przyjmować nawet wody. Po drodze majaczył. Co jakiś czas zwidywały mu się sylwetki żołnierzy z drużyny; wielokrotnie strzelał do nich, ponownie ich zabijał, ale oni znów pojawiali się, skarżyli się, robili mu wyrzuty... I tak jakoś musiał roztrwonić resztę naboi. Pełną przytomność odzyskał dopiero po stwierdzeniu tego faktu.

Długo siedział oparty o skałę, mając przed sobą widok na całą kotlinę. Po drodze musiał zmienić zdanie i zapragnął umrzeć w tak teatralnej czy też raczej filmowej scenerii. Niestety. Teraz rzeczywiście pozostało tylko schronić się w transporterze i tam doczekać się końca. Z wielkim trudem pokonał pozostałe kilkaset metrów, dostał się do środka i ciężko opadł na fotel. Od razu zapadł w niespokojny, wypełniony koszmarami sen.

Obudził go głos. To włączona przez cały czas radiostacja przemówiła. Poprzez szum i trzaski zaczęły przebijać się najpierw pojedyncze słowa, później zdania. Powoli zaczął łączyć je, kojarzyć, kilkakrotnie zmienił pasmo odbioru i stopniowo zaczęła docierać do niego

Mistyfikacja druga

Radiostacja pokładowa musiała ulec wpływowi promieniowania, podobnie jak atmosfera. Odbiornika nie dawało się precyzyjnie nastroić. Odbierał jednocześnie – z różną mocą – cały szereg stacji nadawczych, począwszy od ogólnokrajowego Radia 1, aż po najbliższe radiostacje wojskowe małego zasięgu. Tworzyło to chaos bliski zwykłego szumu, ale od czasu do czasu któraś ze stacji osiągała chwilową przewagę mocy i słychać było wtedy fragmenty emisji. Początkowo przeplatały mu się one z resztkami wspomnień i majaczeń sennych, później słuchał już z pełną świadomością.

...do Bazy... wycofujemy się poza promień 25... tylko ekipy filmowe...

...dowódca i szef sztabu 8 pułku do dowódcy Armii...

Tak, oni oczywiście przeżyli. Jakże by inaczej? Jak zwykle trzymali się kilkadziesiąt kilometrów z tyłu.

...bezprzykładna agresja... środki odwetowe... sześć ciosów nuklearnych, które spadły na różne rejony naszego kraju... wszelkie środki dla poszkodowanych...

Tylko sześć uderzeń? A więc co to było, u diabła, bo przecież chyba nie wojna? Akcja dywersyjna, rozpoznanie? Nonsens. Chyba tylko po to, aby w odwecie ruszyć całą machinę wojenną drugiej strony... Przecież każde dziecko wie, iż wszelkie doktryny zakładają, że jeżeli ma już być użyta broń jądrowa, to uderza się z zaskoczenia i pełną mocą, mając nadzieję na zniszczenie środków rażenia przeciwnika jeszcze na ziemi, względnie na taką dezorganizację jego systemu rozkazodawczego, która nie pozwoli na podjęcie działań odwetowych. A może to tak wspaniale zadziałał nasz system antyrakietowy, od lat pochłaniający ćwierć dochodu narodowego? Też nie. Daleko jeszcze do jego ukończenia, jeżeli kiedykolwiek ono nastąpi. A więc co? Jest niby jedna możliwość... Była to akcja któregoś z krajów Trzeciego Świata, tak hojnie wyposażonego w środki militarne. Czemu nie? Niech wielcy się pobiją, a my poczekamy...

...najlepsi synowie... zdziesiątkowana 6 Armia, chluba naszych Sił Zbrojnych... wieczna pamięć...

Skąd Armia? Przecież tu był najwyżej pułk, niech nawet dwa, a w 6 Armii było ich szesnaście. Jak zwykle propagandowa przesada...

...listę odznaczonych... osobno pośmiertnie...

Oczywiście, że osobno. I na pewno będzie znacznie krótsza.

...straty materialne nie do oszacowania... szczęśliwie nieznaczne wśród ludności cywilnej... zdała egzamin... nie ustaniemy w dalszych wysiłkach...

...mój syn... płaczę, ale dumna jestem... tak jak ojciec...

...XC1, XC1... przygotowania do wejścia w rejon buforowy... częściowe odkażanie... pełna dokumentacja... odpowiedzialny...

...cały świat łączy się z nami w wyrazach potępienia...

A więc jednak rozeszło się po kościach. Znów wszystko sprowadzi się do gadania, protestów... Ale co stało się naprawdę?

Ponieważ przez dłuższy czas nie nadawano niczego nowego, przestał słuchać i znów zajął się beznadziejną walką z własnym rozsypującym się organizmem. Nic już w nim nie funkcjonowało prawidłowo. Umierał, ale działo się to tak wolno... Pobudził go dopiero fragment komunikatu, który prawdopodobnie słyszał już któryś raz, ale dopiero po kilku powtórzeniach uświadomił sobie jego znaczenie.

...tajne... analiza... straty zgodne z przewidywaniami... skażenie w normie... utrzymać kordon...

Skażenie w normie? W jakiej? SKAŻENIE W NORMIE! W normie ustalonej wcześniej! Gdy wiadomo było, że w tym właśnie miejscu nastąpi wybuch głowicy o znanej mocy... No tak, straty także zgodne z przewidywaniami... Wszystko się zgadza.

Ustalenie tego, co rzeczywiście się stało na dłuższy czas zmąciło mu myśli. W głowie kłębiły się bezładne wspomnienia, refleksje, oderwane obrazy. Przemógł się jakoś; chaos zaczął ustępować i w końcu był w stanie przeanalizować wszystko.

Tak... Czegoś takiego należało się spodziewać. Zupełnie logiczny krok. Bo w końcu jak długo można nakręcać spiralę zbrojeń, tłumacząc to tylko potencjalnym – niewymiernym dla prostego obywatela – zagrożeniem? Ludzie zaczynali już wątpić w celowość i niezbędność kolejnych wyrzeczeń, zapał i entuzjazm z każdym dniem były coraz mniejsze, coraz częściej dawały się słyszeć zjadliwe uwagi, aluzje i kawały. Coś zatem musiało się stać. Tylko co? Ryzyka ograniczonego chociażby konfliktu z Drugą Stroną nikt by nie podjął. A więc?

Cóż prostszego niż zrzucić na własny teren – wybrany, pozbawiony mieszkańców i znaczenia gospodarczego, a z lekka tylko obsadzony wojskiem – kilkunastotonową bombę, zwalić to na przeciwnika, a później dokonywać spektakularnych akcji protestacyjnych na forum międzynarodowym? Kotlina idealnie się do tego nadawała; teraz bez żadnej wartości, a otaczające ją góry znakomicie ekranują rozprzestrzenianie się fali uderzeniowej i promieniowania. W sumie: prawie żadnych strat, bo cóż znaczy te trochę sprzętu i tych kilkuset ludzi? W porównaniu z efektem propagandowym – praktycznie nic. Oczywiście, tylko jedno uderzenie byłoby podejrzane, stąd jeszcze pięć innych, także na tereny spisane na straty, a w dodatku bez żadnego wojska. A to, co mówi się o stratach jest absolutnie bez pokrycia, jeszcze bardziej przesadzone niż te kilkanaście tysięcy poległych z 6 Armii, którzy rzekomo zginęli w Kotlinie. Straty materialne znacznie łatwiej wyolbrzymić.

...mimo bolesnych strat, śmierci najlepszych synów naszego Narodu, ogromu zniszczeń, nie ugniemy się... z dumą musimy stwierdzić, iż nasz system antyrakietowy, stworzony wysiłkiem każdego z nas, zdał w tej trudnej próbie egzamin. Do celu dotarł niecały jeden procent ogółu wymierzonych przeciw nam pocisków, w tym żaden na cele strategiczne pierwszego rzędu. System obronny musimy jednak doskonalić, chociażby w imię pamięci wszystkich bohatersko poległych...

I jeszcze bardziej przykręci się śrubę, a najwięksi nawet malkontenci będą musieli położyć uszy po sobie. Długo będzie się im świecić w oczy nazwiskami, także i członków jego drużyny, a nawet i jego samego.

...nie przyznaje się do żadnych strat. Jednak dane naszego wywiadu satelitarnego pozwalają stwierdzić, że zastosowane środki odwetowe przyniosły zamierzone efekty. Przeciwnik przekonał się, że nie może bezkarnie...

Sukinsyny! Kryci są z każdej strony! Rzecz jasna, że nic tamtym nie zrobili, ale co z tego? Tamci będą zaprzeczać, twierdzić, że żadna nasza rakieta nie spadła na ich terytorium. Nikt im nie wierzy, przynajmniej u nas. Najważniejsze zaś, że nie podejmą żadnych militarnych kroków odwetowych. Niby za co? Za słowną propagandę? W końcu to my ponieśliśmy straty, nie oni.

Słuchał jeszcze, ale – mimo dalszej poprawy odbioru – coraz mniej docierało do niego. Były to już tylko wariacje na ten sam temat, a i postępujący rozpad organizmu nie wpływał na zdolność koncentracji. Kołatało mu się tylko po głowie, że coś powinien zrobić. Nie miał pojęcia co to być mogło. Dopiero po kolejnych godzinach, znów wypełnionych bólem i majaczeniami, przypomniał sobie.

Każda radiostacja wojskowa oddziałów pierwszego rzutu ma możliwość przełączenia na nadawanie w bardzo szerokim, nieograniczonym praktycznie paśmie, łącznie z radiowym i telewizyjnym. Jest to jeden z elementów ogólnokrajowej sieci ostrzegania; mogą przecież zaistnieć sytuacje, że trzeba to będzie zrobić natychmiast i z dowolnego miejsca. Oczywiście, sama radiostacja polowa nie ma bezpośrednio takich możliwości – zbyt wielkiej mocy i zbyt rozbudowanego systemu antenowego by to wymagało. Nie, ona tylko łączy się alarmowym kanałem z najbliższym satelitą telekomunikacyjnym, a ten załatwia resztę. Zastosowanie tego typu emisji jest ściśle obwarowane przepisami i sankcjami za ewentualne nadużycie; sama radiostacja także ma szereg zabezpieczeń przed przypadkowym przełączeniem. Do tej pory skorzystano z tego środka jedynie dwa razy i w obu przypadkach był to fałszywy alarm, który – na skutek paniki jaka wybuchła w kraju – przyniósł ogromne straty, a winni jego ogłoszenia ponieśli przykładne konsekwencje.

I w ten właśnie sposób postanowił poinformować wszystkich o tym, przez kogo został zabity.

Nie było to proste; wymagało wielu precyzyjnych czynności ustalonych procedurą, jakże trudnych dla coraz mniej sprawnych rąk i niedowidzących oczu. Z trudem ustawił we właściwych pozycjach wszystkie przełączniki na pulpicie łączności, podniósł mikrofon i nic – wskaźnik emisji pozostał martwy. Oczywiście, pozostał jeszcze bezpiecznik. Ten umieszczony był na wszelki wypadek nisko pod pulpitem. Próbując sięgnąć tam stracił równowagę, upadł na podłogę i znów stracił przytomność.

Gdy ocknął się, prawie o niczym już nie pamiętał. Dopiero na widok mikrofonu kurczowo ściskanego w dłoni, powoli zaczął wyrzucać z siebie słowa. Nie wiedział, niestety, czy rzeczywiście wydobywa się z niego głos, czy też mówi tylko w myślach, a usta szepczą bezgłośnie. Po kilku minutach przestało to mieć jakiekolwiek znaczenie.

Sławomir Mil

GALERIA

FIGURY NIEMOŻLIWE

M. C. Escher





Ciemność, wieczna ciemność – pomyślałem stojąc bez ruchu. Choćbym nie wiem jak wytężał wzrok i tak nic nie zobaczę. Właściwie mógłbym nie mieć oczu gdyby nie rozbłyskujące punkty. Musiałem do nich dotrzeć za wszelką cenę. Czas nie odgrywał tu roli. Czasu miałem dużo, całą wieczność. Zrobiłem krok. Dobrze. Nic mnie nie zatrzymało. Nie byłem już tak niecierpliwy jak na początku. Wolałem najpierw pomyśleć, skoncentrować się i dopiero ruszać. O nie, nie dam się już ponieść nerwom. Ręce trzymałem blisko piersi. Nauczony przykrym doświadczeniem nie wyciągałem ich gwałtownie przed siebie. Wprawdzie mam jeszcze dziewięć palców, ale wierzę, że będę ich kiedyś potrzebował. Nie mogę ich stracić. Obróciłem głowę w lewo, w prawo, pociągnąłem parę razy

KSZTAŁTY

Piotr Bondel

nosem. Nic. Żadnego wyraźnego zapachu. Ciemność nie pachnie. Postanowiłem zaryzykować. Zrobiłem trzy szybkie kroki do przodu. Nic. Stoję. Jeszcze raz miałem szczęście. Nie trafiłem w żadną barierę. Teraz trochę odpocznę. Wysunąłem lewą nogę do przodu i powoli przesuwałem ją nakreślając krąg. Następnie to samo zrobiłem rękoma. Starałem się robić to jak najwolniej bez żadnych gwałtownych ruchów. Wiedziałem, że bariera nie jest groźna jeśli zetknięcie z nią jest powolne i delikatne. Odczuję najwyżej lekkie oparzenie. A to jest głupstwo. Ta ciemność ma jakieś specyficzne właściwości. Wszelkie rany goją się tu niemal natychmiast. Wtedy, gdy tak bezsensownie straciłem palec, nawet krew nie zdążyła dobrze trysnąć. Najbliższa przestrzeń była pusta. Schyliłem się i usiadłem krzyżując nogi. Położyłem dłonie na kolanach i zastygłem w bezruchu. Nawet nie wiem, jak długo tu jestem. Do tej pory spałem tylko trzy razy, ale ile czasu dzieliło jedną drzemkę od drugiej? Czas to zmiana, a tu żadnych, dających się zarejestrować, zmian nie było. Tylko ciemność. Gęsta, niemal namacalna ciemność. Nie, nie bałem się jej. Byłem do niej przyzwyczajany od początku mego życia. Tak, moje życie miało początek, choć nie wiem, w jaki sposób się zaczęło. Nie wiem też, jak nazywa się mój świat ani gdzie on jest. Pamiętam za to doskonale całą naukę, jaką przyswoiłem sobie w tamtym świecie. Pamiętam głosy Nauczycieli, ale nie mogę sobie przypomnieć jak wyglądali. Jak dawno to było? Nie wiem. Siedziałem ciągle bez ruchu wpatrując się w ciemność. Żadna gwiazda tu nie świeci, nie ma dnia i nocy. Jest tylko bezgraniczna ciemność. Czy zobaczę jeszcze gwiazdy i słońce? Gdzie one będą? Zamknąłem oczy. Sen przyszedł szybko.

Przebudziłem się tknięty wewnętrznym niepokojem. Nie siedziałem już, lecz leżałem skulony. Jak to dobrze, że przed snem sprawdziłem najbliższe otoczenie. Strach pomyśleć, co by się stało, gdybym przewrócił się na jakąś barierę. Pociągnąłem parę razy nosem. Gdzieś z prawej strony dochodził niewyraźny obcy zapach. W mojej głowie usłyszałem głos Nauczyciela: „Prawdopodobieństwo spotkania kogoś w Ciemności jest bardzo małe. Nie znaczy to wcale, że wszyscy od razu znajdują Punkty. Ale objętość Ciemności rośnie w postępie geometrycznym w stosunku do liczby znajdujących się w niej istot. Jeśli jest całkowicie pusta przyjmuje wielkość podstawową. Jest ona jednak na tyle wielka, że nawet gdyby nie powiększała swej objętości wraz ze wzrostem liczby istot to i tak prawdopodobieństwo spotkania kogoś, nawet przy bardzo dużych liczbach, byłoby znikome". Stałem teraz napięty z maksymalnie rozszerzonymi nozdrzami. Zapach nie zwiększał swej intensywności z czego wywnioskowałem, że obcy się nie porusza. Znowu usłyszałem głos Nauczyciela: „Jeżeli już zdarzy wam się kogoś spotkać poznacie to tylko po zapachu. Nie zobaczycie nic, nie usłyszycie nic, tylko zapach będzie dla was sygnałem, że ktoś jest w pobliżu. Dlatego ćwiczcie swój węch. Każdy z was ma różną wrażliwość na zapachy. Każdy z was, po wielu treningach, będzie też miał tę wrażliwość różną. Ale im bardziej pogłębicie swoją wrodzoną wrażliwość, tym wcześniej poczujecie innych. Im mniejsze stężenie zapachu zarejestruje wasz węch, tym większe będą wasze szanse podjęcia właściwych działań. Teraz jeszcze nie macie swoich zapachów, otrzymacie je dopiero przed wkroczeniem w Ciemność. Pamiętajcie, że wasza znajomość i wasze przyjaźnie nie będą miały tam żadnego znaczenia. Pamiętajcie pierwsze Prawo Nauki: „Jeden Punkt – Jedna Istota". Stałem czujny i zastanawiałem się. Nikt nigdy nie mówił nam, co mamy robić, gdy kogoś spotkamy. Czy czekać na rozwój wypadków, czy podjąć jakieś działanie? No właśnie, ale jakie? Uciekać czy dążyć do spotkania? Nie potrafiłem określić odległości, w jakiej znajdował się nosiciel obcego zapachu. Może dzieli mnie od niego wiele barier. Czy on też mnie czuje? To pytanie na chwilę sparaliżowało moje myśli. Zupełnie o takiej możliwości zapomniałem. Jeżeli mnie czuje, to pewnie zastanawia się nad tym samym co ja i dlatego się nie rusza. Tak, zapach jest ciągle ledwo wyczuwalny. Co robić?

Znowu wróciłem wspomnieniami do czasów przed Ciemnością. Gromada chłopców i dziewcząt, mniej więcej w równym wieku, uganiająca się w promieniach słońca wśród drzew. Wspinaczki na okoliczne skałki, gonitwy i chwytanie się za bary, by ze śmiechem powalić jakiegoś chłopaka a następnie pomóc mu wstać i samemu być powalonym. I głos Nauczyciela: „Ćwiczcie sprawność fizyczną, będzie ona podstawą waszej wędrówki w Ciemności. Siła i sprawność ciała w połączeniu z rozwagą i cierpliwością pozwoli wam znaleźć Punkt". Ćwiczyliśmy więc siłę, rozwagę i wytrwałość. Nikt z nas nigdy nie zastanawiał się ani nie rozmawiał o tym dlaczego to robimy. Przyjmowaliśmy wszystko jako rzecz naturalną. Nie było też rozmów ani pytań o początki naszego życia. Jeżeli coś było przedtem, zanim spotkaliśmy się na polanie przy skałach, to nie wiedzieliśmy o tym nic i nie interesowaliśmy się tym. Widać nie było nam to potrzebne, bo Nauczyciele też o tym nigdy nie wspominali. Moja pamięć sięgała tylko tej polanki, tak jakby to był początek mojego świadomego życia. Wschody i zachody Słońca rozdzielały nam naukę i wypoczynek. Doroślelismy i doskonaliliśmy nasze ciała i umysły.

A teraz – pomyślałem – nie wiem co robić. Gdzieś z lewej strony rozbłysło światło. Za chwilę jeszcze jedno, tyle że słabsze. Przez ułamek sekundy wydawało mi się, że widzę czubek własnego nosa. Już zapomniałem jak wygląda – pomyślałem z uśmiechem. W tym krótkim rozbłysku nie udało mi się dostrzec żadnej postaci. Zapach był teraz mocniejszy, ale światło nie było na tyle silne, by ukazać jego źródło. Zmienił się też kierunek, z którego dochodził zapach. Obcy posuwał się w moją stronę, nie w linii prostej, ale na ukos. Może mnie minie – przeleciało mi przez głowę. Jeśli porusza się w moją stronę to albo mnie jeszcze nie poczuł, albo dąży do spotkania. W jakim celu? Tego nie mogłem wiedzieć. W dalszym ciągu stałem bez ruchu. W pewnej chwili pomyślałem, że może krzyknę coś, ale natychmiast przypomniałem sobie sło-

wa Nauczyciela, że Ciemność nie przewodzi dźwięku. Może właśnie dlatego takie spotkania są bez sensu. Przecież i tak nie można się porozumieć. Pamiętam olbrzymie zamknięte pomieszczenie o nieprzezroczystych ścianach. Po obu stronach sali staliśmy w dwóch rzędach twarzami do siebie. Przed każdym wisiał w powietrzu ekran, którego jedna połowa jarzyła się kombinacją różnych znaków. Naszym zadaniem było przekazanie telepatycznie tej kombinacji partnerowi z przeciwka oraz wyświetlenie na pustej części ekranu znaków nam wysłanych. Ćwiczyliśmy to tak długo, dopóki cały układ nie został wiernie wyświetlony. Pamiętam, że na początku opornie mi szło odbieranie informacji, byłem natomiast bardzo dobrym nadawcą. Lecz i ta zdolność była tutaj nieprzydatna. „Ciemność blokuje całkowicie linie telepatyczne – mówili Nauczyciele – lecz przyjdzie chwila, że

Przemyślałem całe zdarzenie. Wtedy nie było czasu na analizowanie, dopiero teraz uświadomiłem sobie to, co odczułem w ułamku sekundy. Przypominał o tym bolący guz na czole. W momencie zderzenia odczułam strach i nadzieję. To na pewno nie były moje uczucia. Musiały należeć do niej. A więc w tej krótkiej chwili połączyła nas telepatyczna linia. Czy sprawiło to rozbłyskujące światło, czy też nasza bezpośrednia bliskość? Mogę to sprawdzić – pomyślałem nachylając głowę w miejscu, gdzie powinna być głowa dziewczyny. Delikatnie dotknąłem jej czoła. Potężna fala rozpaczy i niepokoju wdarła się w mój umysł. A więc nie światło, lecz dotyk umożliwił telepatię. Poczułem dziwne zadowolenie. Nie pytałem – co będzie dalej? Najważniejsze, że można się porozumieć. Dziewczyna gwałtownie drgnęła usiłując podnieść głowę. Jej przerażenie wzrosło tak bardzo, że przez chwilę byłem

W CIEMNOŚCI

przyda wam się ta umiejętność, jak i wiele innych, których się tu nauczycie".

Pierwszą rzeczą, którą zrobiłem po znalezieniu się w Ciemności, była próba telepatycznego odszukania jakiegoś umysłu. Nie powiodła się. Byłem otoczony całkowitą blokadą. Następnie chciałem sprawdzić kolejną umiejętność. Zdolność teleportacji. Ale bez punktu odniesienia nie potrafiłem tego dokonać. Nauczyciele mówili, że nie można teleportować się poza Ciemność. Teraz czując w pobliżu obcego mogłem jeszcze raz spróbować telepatii. Skupiłem myśl na jednym pytaniu – „Kim jesteś?" Ale niestety telelinia odbiła się od blokady i wywołała we mnie tylko chwilową wibrację. A więc naprawdę było to niemożliwe. Obcy musiał znów się przybliżyć, gdyż poczułem bardziej intensywny zapach. Co robić, co robić – myślałem gorączkowo. Uciekać czy czekać? Musiałem podjąć jakąś decyzję, bo zapach był coraz silniejszy i ponownie zmienił kierunek. Obcy poruszał się teraz wprost na mnie. Jeśli cały czas się porusza – pomyślałem – to znaczy, że nie spotkał na tej drodze żadnej bariery. To, co stało się w chwilę później, trwało tak krótko, że ledwie zdałem sobie z tego sprawę. W momencie, gdy zapach wzrósł do tego stopnia, że wiedziałem już, iż obcy jest bardzo blisko rozbłysło przede mną światło. Odruchowo wykonałem skok, by znaleźć się w jego centrum, zdążyłem jeszcze dostrzec niewyraźną postać, która też skacze w stronę światła! Nim osiągnąłem centrum chwilowej jasności zapadła ciemność, poczułem uderzenie, ból głowy, czyjś paniczny strach przemieszany z nadzieją. Straciłem przytomność.

Gdy wróciła mi świadomość byłem całkiem oszołomiony. To, co się stało, było wprost nieprawdopodobne. Leżałem na kimś. To znaczy leżała moja głowa i lewa ręka. Czułem wyraźnie bicie serca i lekki oddech. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że jest to dziewczyna. Moja głowa leżała na jej piersiach. Na pewno nie mogą to być piersi mężczyzny – pomyślałem ostrożnie podnosząc głowę. Delikatnie przekręciłem się na bok. Dziewczyna leżała tuż obok mnie, ale nie widziałem nawet zarysów jej ciała. Nie byłem przygotowany na takie spotkanie. Nie pamiętam, by Nauczyciele mówili coś o takich zdarzeniach.

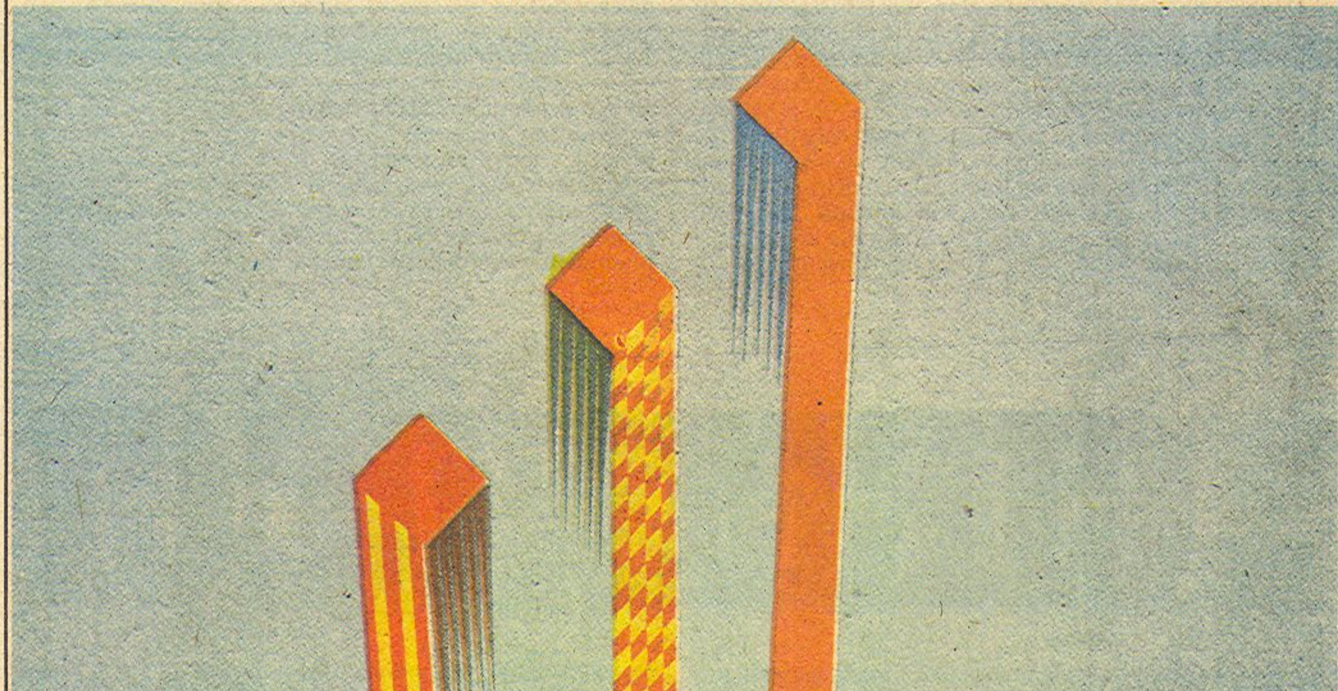
Widać prawdopodobieństwo spotkania było tak małe, że nie brali tego pod uwagę. Delikatnie dotknąłem ręką jej ciała. Teraz dotarło do mnie, że jest naga. No tak, ja też jestem nagi. Ubrania nie są tu potrzebne – pomyślałem uśmiechając się do siebie. Dziewczyna nawet nie drgnęła. Widać nie odzyskała jeszcze przytomności.

sparaliżowany. Próbowała mnie odepchnąć i wstać. Nie bacząc na to, że mnie bije i drapie, mocno chwyciłem jej głowę i stykałem ze swoją, próbując ją uspokoić. Trwało dobrą chwilę, nim dziewczyna przestała mnie okładać i w jej myślach pojawiło się trwożne pytanie: „Co się stało?" Zanim odpowiedziałem przekazałem jej to, co odkryłem o możliwości telepatii. Dziewczyna uspokoiła się już na tyle, że trzymając się za rece usiedliśmy stykając swoje głowy. Teraz dopiero nastąpiła normalna telepatyczna rozmowa.

Dowiedziałem się, że nazywa się Delia i nie wie, jak długo przebywa w Ciemności. Spała do tej pory dziesięć razy, a potem przestała liczyć. Nie spotkała nikogo przede mną. Czy mnie czuła? Tak, ale dopiero na chwilę przed rozbłyskiem i było jej wszystko jedno, co się stanie. Bardzo pragnęła osiągnąć światło. Ale znów jej się nie udało. Czy przedtem próbowała? Tak, parę razy, lecz bez powodzenia. Chociaż raz dosięgła je ręką. Niestety tylko ręką. Następnie wypytała się o mnie. Krótko opowiedziałem o moich dotychczasowych osiągnięciach. Nie było tego wiele. Poza jednym straconym palcem. Ona nic nie straciła. Widać miała więcej szczęścia. „Chyba tak, ale teraz powinniśmy się przespać". Później zastanowimy się co dalej – odpowiedziałem przesyłając jej uśmiech. Zaproponowałem, abyśmy spali jak najbliżej siebie, ale zdecydowanie odmówiła przesyłając mi jednocześnie obraz ubranych od stóp do głów dziewczyny i chłopaka. Przesłałem jej salwę śmiechu i powiedziałem, że w takim razie będziemy się stykać tylko czołami. Zgodziła się i po chwili leżeliśmy na bokach dotykając się głowami. Zasnęła niemal natychmiast. Spróbowałem dostać się do jej umysłu. O dziwo nie był zamknięty. Przez kilka chwil błądziłem we wspomnieniach Delii. Nie odkryłem nic nowego. Wszystko było tak jak u mnie. Gromada dziewczyn i chłopców uczących się tego, czego i ja się uczyłem. Ich twarzy nie widziałem, nie mogłem stwierdzić czy byliśmy w tej samej grupie czy nie. Jedyny niepokojący fakt, jaki znalazłem w jej wspomnieniach, to słaby węch. Mimo usilnych ćwiczeń nie potrafiła go pogłębić. Pewnie dlatego tak późno mnie poczuła – pomyślałem, wycofując się delikatnie z jej umysłu. Zablokowałem swój umysł, by Delia, jeśli się obudzi, nie wiedziała o czym myślę. Teraz mogłem spokojnie przeanalizować fakty. Z tego, co mi powiedziała wynikało, że przebywa w Ciemności znacznie dłużej niż ja. Spała dziesięć razy, a potem przestała liczyć. Jak długo to trwało? Nie wiem. Czas tu przecież nie istniał. Nauczyciel mówił: „Będziecie szukać dopóki nie znajdziecie. Macie na to całą wieczność". Równie dobrze mogła tu być krócej ode mnie, tylko częściej spała. Jakkolwiek było, nie ma to teraz żadnego znaczenia. Najważniejsze, co robić dalej? Do tej pory byłem niezależny –

FIGURY NIEMOŻLIWE

Jan Kubasiewicz





decydowałem tylko za siebie. Z Delią pojawił się problem – czy wędrować razem z nią? Z poszukiwań we dwoje nie płynęły żadne korzyści ani ułatwienia w znalezieniu Punktu. Wręcz przeciwnie. Wiązało się z tym wiele niewygód.

Delia aby nie zostać gdzieś po drodze, musiałaby cały czas mnie trzymać, a to ograniczałoby sprawność poruszania się. I na dodatek telepatia była możliwa tylko podczas bezpośredniego zetknięcia głów. Nie, wcale mi się to nie podobało. A Pierwsze Prawo Nauki brzmiało: „Jeden Punkt – Jedna Istota". To już zupełnie przekreśla rozważania. Zasypiając byłem zdecydowany pozostawić Delię przy pierwszej nadarzającej się sposobności.

Obudziło mnie delikatne pukanie. Przez chwilę nie wiedziałem co się dzieje. Odruchowo otworzyłem swój umysł i dopiero wtedy dotarła do mnie nieśmiała myśl: „Cześć, dlaczego byłeś zamknięty?" „Zawsze zamykam się przed snem"– skłamałem. Leżeliśmy w tej samej pozycji stykając się czołami. „Nie, to nieprawda, Flaar. Nie przerywaj mi. Wiem, co myślałeś. Chcesz się mnie pozbyć, bo jestem dla ciebie kłopotem. Nie ufasz mi. Ja też znam Pierwsze Prawo Nauki. Ale pozwól mi zostać z tobą. Nie ukradnę ci Punktu, jeśli do niego trafisz. Uwierz mi. Jestem taka zrezygnowana. Tyle razy już próbowałam osiągnąć błysk i nie udało się. Czuję, że to nieprawda, co mówili Nauczyciele. Tu nie można być wiecznie. Pozwolisz mi zostać, Flaar?" Ostatnia myśl była przepełniona taką głęboką nadzieją, że w moim postanowieniu pojawiła się rysa. Czułem, że Delia w napięciu oczekuje odpowiedzi. Zrobiło mi się jej żal. Musiałem dać jej nadzieję. „Delia, wcale nie myślałem, że cię zostawię – jeszcze raz skłamałem – zastanawiałem się tylko, jakie mogą być konsekwencje naszego spotkania. Sama wiesz z Nauki, że spotkania są nieprawdopodobne i Nauczyciele nigdy nie mówili, co należy robić w takich wypadkach". Napięcie Delii spadło, poczułem jej ulgę. „Dziękuję, Flaar". „Nie ma o czym mówić. Trzeba się ruszyć. Nie będziemy przecież leżeć w jednym miejscu" – pomyślałem szukając jej ręki. Ostrożnie wstałem pociągając ja za sobą. Delia chwyciła mnie za biodra. Zrobiliśmy pierwszy wspólny krok. Uważnie badałem dłońmi przestrzeń, by nie wpaść na barierę. Wolno posuwaliśmy się przed siebie. Ciemność wcale nie była pusta. Była poprzecinana energetycznymi płaszczyznami. Nauczyciele mówili nam, że ich układ podlega ciągłym zmianom. Nie można więc nakreślać żadnych pewnych dróg. „Musicie ciągle badać drogę. Bariery to energia. Czysta energia przyjmująca dziej byłem przekonany, że musi istnieć wyjście. Dużo myślałem o Ciemności. Przypominałem sobie wszystko, czego się o niej dowiedziałem i coraz śmielej dopuszczałem do siebie myśl, że Nauczyciele nie znali tego miejsca tak dobrze, jakby to wynikało z ich nauk. Tam w moim świecie nie było powodów, by w nich wątpić i by zastanawiać się, co nas czeka. Tutaj, być może na skutek spotkania, pojawiło się wiele nowych pytań. Stan Delii wskazywał, że nie jest prawdą to, iż przebywając w Ciemności nie podlegamy żadnym zmianom. Delia była w wyraźnie pogłębiającej się depresji. Być może miała rację mówiąc, że tu nie można być wiecznie. Życie to zmiana – pomyślałem i stanąłem jak wryty. Jeżeli prawdą byłoby, że nie podlegamy tu żadnym zmianom, to w takim razie w jaki sposób możemy tu żyć? Odwróciłem się twarzą do Delii, zetknąłem nasze głowy i usunąłem z niej blokadę hipnotyczną. „Delia, słyszysz mnie" – spytałem. „Tak, Flaar, co się stało? Nic nie pamiętam". „Czy czujesz moje ręce? Powiedz!" Ściskałem jej dłonie z całej siły. „Oczywiście, że czuję. Przestań, to boli. Powiedz, o co ci chodzi?" Rozluźniłem uchwyt. To było bez sensu. „Przepraszam, ale przez chwilę myślałem, że nas tu nie ma". „Jak to nie ma" – Delia była wyraźnie przestraszona. „Nieważne. Nie denerwuj się. Takie głupie myśli przyszły mi do głowy. Już możemy iść dalej". W chwili gdy odrywałem swoją głowę od jej czoła niedaleko od nas rozbłysło światło. W jednej sekundzie ujrzałem zmęczoną i przestraszoną twarz młodej dziewczyny. Poczułem, że mocniej trzyma mnie za rękę. Widać też mnie zobaczyła. Wewnętrzny impuls, wyzwolony tym rozbłyskiem, kazał nam zrobić krok do przodu. Delikatnie obejmowałem drżącą Delię. Nasze myśli zmieszały się ze sobą i przez jedną krótką chwilę zapomnieliśmy o otaczającej nas Ciemności. Jeszcze jedno światło, ale znacznie słabsze, rozbłysło na ułamki sekund.

I nagle uświadomiłem sobie, gdzie leży nasza szansa. Delia spłoszona tym drugim błyskiem gwałtownie mnie odepchnęła. Na szczęście zdążyłem chwycić ją za ręce. Szybko odszukałem jej głowę. „Delia, słuchaj mnie uważnie. Pierwsze Prawo Nauki jest nieścisłe! Punkty rozbłyskują z różną jasnością. Im większa jasność, tym większa energia. »Jedna Istota – Jeden Punkt« to tylko określenie średniej energii wystarczającej do przeniesienia jakiejś istoty. Jeśli uda nam się trafić w Punkt o dużej energii, to na pewno dokonamy przeniesienia obojga! Słyszysz mnie?" Czułem olbrzymi zamęt panujący w jej umyśle. Strach i niewiara przemieszane z nadzieją. „To niemożliwe, Flaar. To się nie uda". „Musi się udać. Musimy zaryzykować. Chyba chcesz tego?" – spytałem przesyłając jej obraz dwojga obejmujących się postaci. „Nie wiem

Twórczość Stanisława Lema jest znana szeroko poza granicami naszego kraju. W ślad za popularnością idą znaczące wyróżnienia i nagrody. Jak się dowiadujemy, autor „Solaris" został laureatem austriackiej nagrody państwowej w dziedzinie literatury za rok 1985. To liczące się w skali międzynarodowej wyróżnienie (traktowane jako wkład Austrii w umacnianie europejskiej wspólnoty kulturalnej) ustanowiono w roku 1965 (poprzednimi laureatami byli m.in. Christa Wolf, Italo Calvino, Tadeusz Różewicz). Wręczenie nagrody w wysokości 200 tysięcy szylingów (11 tysięcy dolarów) nastąpiło w marcu br. Jak wyglądała droga Stanisława Lema do literatury? Na czym polega odrębność, indywidualność jego pisarstwa? I wreszcie jak należałoby interpretować twórczość Lema uwikłaną w tragiczne antynomie naszego stulecia? Na te pytania odpowiada Adam Hollanek w eseju „Geniusz na miarę epoki" nawiązując do nieznanych faktów biografii naszego fantasty. Esej ten zapoczątkowuje serię wypowiedzi krytycznych poświęconych pisarstwu Stanisława Lema. W jednym z najbliższych numerów „Fantastyki" zamieścimy fragment książki krakowskiego filologa Jerzego Jarzębskiego („Przypadek i ład . O twórczości Stanisława Lema") przygotowywanej do druku przez Wydawnictwo Literackie.



LEM

Mało już nie tylko u nas, ale i na świecie twórców, którzy tak celnie, jak Stanisław Lem, potrafili utrafić w sedno problemów epoki. Zanim w pierwsze kosmiczne loty wystartowali specjalnie trenowani ludzie, zanim pojawiły się związane z konkretną eksploracją pozaziemską wątpliwości etyczne, polityczne i filozoficzne, Lem zdążył w swoich książkach, zarówno beletrystycznych, jak i naukowych, powiedzieć, czy raczej może przepowiedzieć, niemal wszystko, co się w temacie tym zawiera.

A może raczej otworzył oczy milionom czytelników, wśród których znaleźli się zarówno zwykli zjadacze chleba, jak i sami twórcy kosmicznego wyczynu, z teoretykami włącznie, na drogę, jaką sobie współczesny człowiek obrał.

Pasje wiedzy

Można bez żadnej przesady ukuć paradoks, że Lem podgrzał atmosferę tego świata, przygotowującego wielki eksperyment wyjścia ze starej Ziemi, wzbudził ogromne zainteresowanie dla ewenementu Człowiek-Kosmos, dla tego happeningu, o nie dającej się ogarnąć sekwencji zdarzeń i ich skutków. To nie przypadek – ta popularność jego klasycznych powieści SF w Związku Radzieckim czy Ameryce, krajach, które kosmiczny happening przygotowywały. To nie przypadek, że najnowsza, bardziej filozoficzna niż happeningowa, proza Stanisława Lema, znajduje oddźwięk szeroki, coraz szerszy, lecz nie u czytelnika liczącego na spotkania z przygodą, ale u intelektualistów, z którymi jak gdyby dyskutuje o dalszych losach kosmicznej (i nie tylko) epopei ludzkości. Lem więc stwarzał grunt dla przygody w przestrzeniach Wszechświata, a równocześnie tę przygodę, jej przyszłość stawiał pod wielkim znakiem zapytania. Stwarzał więc i burzył, grał w tę przygodę i był nią przerażony.

Przyczyną entuzjazmu i przerażenia były na pewno przeżycia z dzieciństwa i pełnej tragizmu młodości. Urodził się w 1921 roku, we Lwowie, jako syn lekarza-naukowca. Ja pamiętam go już ze znacznie późniejszych czasów jako maniaka nauki. Tuż po przerwaniu prawie skończonych studiów medycznych współpracował z Konwersatorium Naukoznawczym Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdyż tam miał okazję do osobistego, jeśli tak można to wyrazić, wypróbowania narzędzi współczesnej wiedzy na swoich przyjaciołach, znajomych i obcych.

Przykładał mianowicie wzorce różnych testów do poszczególnych lepiej i mniej znanych sobie osób, szukając jakichś uogólniających praw, które pozwalałyby na błyskawiczną i jednoznaczną identyfikację człowieka. Jest to oczywiście jeden tylko przykład *pars pro toto* – jego pasji, nie umniejszanej nigdy absolutnie przez wielkie rozczarowania, jakich nie poskąpiło mu błądzenie po ślepych uliczkach futurologii czy podejmowanie bezskutecznych prób wytłumaczenia zjawisk twórczych metodami podyktowanymi przez cybernetykę czy komputerologię. Materializmu Lema nic nie jest w stanie złamać, ani też jego swobody w uogólnianiu, syntetyzowaniu najważniejszych faktów, wynikających z rozlicznych naukowych teorii i eksperymentów. Należy do tych nielicznych, którzy mają czelność i odwagę tworzenia z nauki współczesnej całego systemu uogólnień. Może sobie na to pozwolić dzięki istotnie szaleńczej w swej rozpiętości wiedzy oraz faktowi, że jest ciągle grubo bardziej pisarzem niż uczonym czy nawet filozofem, jakkolwiek liczni wydawcy, a także czytelnicy (również i polscy, dostawałem w tej sprawie wiele listów do redakcji miesięcznika „Fantastyka") uważają, że Stanisław Lem odszedł od „czystej" literatury science fiction, a nawet od literatury w ogóle, do zawodu eseisty – myśliciela wielkiego formatu.

Wielkie uogólnienia

Niewątpliwie to nauka, której liczne mielizny przedstawił w swoich dwóch czołowych scjentyficznych książkach „Summa technologiae" i „Fantastyka i futurologia", to ona, której za żadną cenę nie chce zdradzić – aspirowała go do światowej sławy, uczyniła z Lema autora ponad 40 książek, o setkach wydań krajowych i zagranicznych, pisarza o renomie światowej, najbardziej popularnego z polskich pisarzy wszystkich czasów. Liczba wydań Lema za granicą skutecznie bowiem konkuruje z nakładami zagranicznymi dzieł najbardziej dotych-

rozpowszechnionego na świecie polskiego beletrysty, Henryka Sienkiewicza.

Wielu pisarzy bardzo wybitnych, takich jak na przykład Gombrowicz czy Miłosz, przebywało za granicami kraju i miało tam możność zdobycia wielkiej sławy, w końcu zresztą zdobyło ją. Nie dorównali jednakże w epoce podróży kosmicznych, komputerów, cybernetyki – możliwościom fantasty, fantasty na miarę całej epoki.

Dla wyrażenia tej miary pisze się więc, że w roku 1976 dał jej wyraz Theodor Solotaroff, wydawca stwarzający lub zwalający wielkości. Opublikował on na całą pierwszą stronę czasopisma „New York Review" esej o autorze polskiej SF. Po raz pierwszy dziedzina i autor SF dostąpili takiego zaszczytu. *„To pisarz wielkiego formatu i jeden z najgłębszych duchów naszego wieku"* – powiedział jeszcze Solotaroff.

Śmiem twierdzić, że światowa kariera pisarza byłaby niemożliwa, gdyby nie odwa-

ssella, filozofia wiąże naukę z religią, mielibyśmy w tej wypowiedzi Lema jakiś tego symptom. Ale – on idzie jak zwykle, za swoim naukowym ciosem. I mówi:

„Jest to dla mnie też bardzo fascynujące, bo nie mogąc dać zgody na żadną postać osobowego kreatora – tu rzeczywiście jestem zatwardziałym ateistą – i odmawiając personalnych własności temu, co dało początek światu, dostrzegam również nieprzypadkowość... tutaj w mojej ontologii, w moim myśleniu zieje potworna dziura, której nie potrafię niczym zapełnić...To jest jednak dylemat, który za dziesięć, pięćdziesiąt albo pięćset lat może okazać się czymś pozornym..." Cały Lem: rzetelność do ostatnich granic, uczciwość i nieustępowanie ze swoich pozycji.

Dałem ten przykład, ponieważ uwydatnia on charakterologiczne cechy samego Lema – i jako twórcy, i jako człowieka.

Nie znałem nikogo bardziej od niego pracowitego. Nie znam nadal. Wiem, że w

naukową działalność, ale książką, do której przywiązywał długo wielkie dla siebie znaczenie, była rzecz o wojnie i o spodleniu ludzi przez ludzi, o niedawnych przeżyciach, dobrze mu znanych z osobistych jego losów – „Szpital Przemienienia". Przetrzymano mu jednak tę rzecz zbyt długo w wydawnictwach, potem okrojoną wydano – przestał więc być pisarzem współczesnym w tym znaczeniu, w jakim wówczas i jeszcze w wielu wypadkach i dziś rozumie się tę sprawę, przestał pisać o autentycznych faktach i przeżyciach, całkowicie przechrzcił się na fantastę, trafiając od razu – to paradoksalne – w sedno społecznych zainteresowań. Był pierwszym nowoczesnym fantastą i jako pierwszy zrejterował z tego poletka, któremu sławę zawdzięczał nie tylko w kraju, nie tylko w jednym obozie, lecz w obu obozach świata.

Ucieczka od fantastyki

Wymknął się z obszaru fantastyki klasycznej wskazując – i tu zn

jak musi się zachowywać człowiek w każdej sytuacji. Jego umysłowość, nawet gdy dopuszcza ekstrawagancje, usiłuje ją naukowo motywować, można by więc powiedzieć, że autor „Golema" i „Solaris" zna istotnie lepiej wszystkich ludzi i każdego z osobna, ale w takim sensie, w jakim współcześni fizycy lepiej znają otaczającą nas materię, niż zwykły zjadacz chleba. Jest to na pewno inna materia, dla nas niedostrzegalna, powiedziałbym więcej – nas niezbyt interesująca, daleka od banału, stanowiącego o większości ludzkich poczynań w życiu codziennym.

Młodziutkiemu Lemowi, gdy wystartował równocześnie z innymi twórcami z pokolenia Kolumbów, gdy wchodził w krąg literatury współczesnej z całym wielkim i bardzo świeżym, lecz równocześnie młodzieńczym i romantycznym balastem przeżyć okupacji i wojny, gdy napisał swój „Szpital Przemienienia", w którym dopiero wymacywał drogę do swego późniejszego wszechświata (tak to trzeba wyrazić, bo to już nie świat) bez happeningów, powinęła się noga. Jego jeszcze romantyczna proza zawierała bowiem cząstkę tego pesymizmu i tego supermaterializmu, które odróżniają go dzisiaj od wszystkich innych pisarzy i myślicieli. Nie znam świata bardziej pesymistycznie zdeterminowanego niż ten z filozoficznych rozmów Beresia z Lemem. Ale przecież u Stanisława Lema drastyczny pesymizm zaczynał się właśnie od „Szpitala", a później od „Astronautów", a już w kolejnej swej powieści „Obłok Magellana", słuchając symfonii czy koncertu Beethovena, jeden z jego bohaterów, umieszczony w przyszłości, z jej dalekiej perspektywy odkrywa podstawowe prawo sztuki lemowskiej – woła o Beethovenie (cytuję z pamięci): *„on już wtedy wiedział o nas wszystko"*. Oto proszę racjonalistyczny determinizm w swym szczytowym punkcie. Nie znam pisarza bardziej konsekwentnego w wyrąbywaniu z ciemnej materii życia ziemskiego, czy wyławianiu ze studni rozumu, bardziej deterministycznych, racjonalistycznych i pesymistycznych poglądów na człowieka i przy tym większego materialisty od Lema. Tak, to geniusz.

Najpierw u świtu swoich szans pisarskich traci grunt, musi spróbować kompromisu, żeby wejść ze swoimi poglądami do literatury, jego kamuflaż w literaturze science fiction staje się doskonały, jak w końcu jego „Doskonała próżnia". Odziera cebulę ludzką z łusek (to jego młodzieńcze porównanie, nigdy go chyba nie użył w swym pisarstwie, jednakże często nim się posługiwał w dyskusjach potocznych) i zdziera jedną łuskę za drugą, cóż mu w końcu zostaje? Nic? Trudno mi powiedzieć, czy w „normalnej" literaturze, literaturze obyczajowej, miałby możność zademonstrowania takiej dezynwoltury, jak w pisarstwie fantastycznym. Próbował Mann w swojej „Czarodziejskiej górze" oceniać z aspektów nauki nasze istnienie. Mann był zaś ulubieńcem Lema, ideałem jego młodzieńczych snów o literackiej potędze, ale w gruncie rzeczy „Czarodziejska góra" kompromituje naukę, drwi z racjonalizmu, choroba co najwyżej i co paradoksalne przydaje tylko bohaterowi mannowskiemu mnóstwa romantyzmu. Niewiele wychodzi z kombinacji nauki z życiem. A u Lema wychodzi kapitalnie i konsekwentnie bardzo wiele.

Tylko nauka trzyma go na uwięzi i nie pozwala wskoczyć w jakieś pułapki romantyczne, nawet wówczas gdy prezentuje się słabo. Staszek, jak za dziecięcych lat, próbuje znaleźć dla niej „legitymacje" rodem prosto z „Wysokiego Zamku". Zawiedziony w swoich pierwotnych zamiarach zostania powieściopisarzem współczesnym, triumfuje jako fantasta, któremu udało się wychylić głowę z platońskiej jaskini i dojrzeć prawdziwe kształty Wszechświata. Jaka szkoda, że potworne i bezlitosne. Był wprawdzie moment w jego życiu, epizod, który mógł zmienić bieg wydarzeń. W czasie pracy w Konwersatorium Naukoznawczym wykazywał niezwykłą wiarę, tak jest wiarę w magiczne zabawki nauki. Jak się cieszył na przykład, gdy po przebadaniu metodą Rohrschacha mnie, swego wówczas nieodłącznego towarzysza, oświadczył, iż mam szczególne zainteresowanie medycyną i się nie pomylił. Podobnie zresztą identyfikował wielu innych znajomych i nieznajomych. Ciekawił go ludzki komputer, czy jeszcze sam człowiek? Już wtedy nie mógł jednak zostać optymistą, to dla wielu z nas było zresztą za trudne po wojnie, kiedyśmy musieli wylądować w Krakowie (czy w innej nierodzinnej Europie). Pewny był swoich metod, bo się sprawdzały i stawał się szybko apodyktyczny jak wszyscy wielcy ludzie. Był przez chwilę bliski zburzenia swej naukowej konstrukcji, kiedy rozpoczął staż medyczny, lekarski, w szpitalu położniczym i ginekologicznym. Zobaczył wtedy „mechanizm ludzki", a zwłaszcza ten kobiecy, którego jeszcze nie mógł lepiej znać – w sytuacjach niezwykle drastycznych. Nie ma chyba dla mężczyzny mocniejszej i ostrzejszej szkoły życia, niż oglądanie nagich i cierpiących kobiet. A przecież w dodatku nasze pokolenie wywodziło się – jedno z ostatnich – z epoki rycerskiej, czy raczej dżentelmeńskiej, nie mam pojęcia jak ją trafnie nazwać, dość że mieliśmy wbite w duszę postawy nie tylko zdobywców czy prześmiewców lub prostaczków (co szczególnie dzisiaj u młodych ludzi obowiązuje), lecz przede wszystkim sienkiewiczowski stosunek do Dam. Był dystans spory między obydwiema płciami. Żył tym szpitalem męki damskiej i narodzenia dzieciaczków Staszek, przerażony i podniecony, pełen współczucia, podziwu i gotów do poświęceń. I w tym okresie objawił się romantyzm Lema, w gruncie rzeczy nie znany przecież w kluczowej dla jego charakterystyki autopowieści „Wysoki Zamek".

Byłby więc pewnie pisał tę prozę współczesną, lecz geniuszem zostać mógł przede wszystkim w literaturze science fiction, nawet wtedy, gdy od niej starał się za wszelką cenę uciec, dokąd? dokąd?

Wielu krytyków Lema, znajdują się pośród nich także szarzy czytelnicy, nie mogący, nie potrafiący przerwać lektury jego tekstów, zastanawia się dlaczego on ich tak pociąga. Przecież systematycznie z książki na książkę negliżuje wiedzę, perspektywy, rzetelność rodzaju ludzkiego, atakuje wiarę, nadzieję, miłość, miota się między marzeniem o stwórcy, także własnym marzeniem, żeby stać się stwórcą, a paradoksalnymi konsekwencjami twórczej wszechmocy. Ufa bezgranicznie rozumowi, który uważa niby to za jedyne narzędzie poznania, ale jednocześnie kpi sobie z szans tego rozumu na poznanie świata. Z tych wszystkich szaleńczych przeskoków między różnymi aspektami wiedzy i niewiedzy, którym dawał wyraz w „Dialogach", w podróżach Ijona Tichego, w swoich perwersyjnych zwierzeniach przekazywanych Beresiowi, zresztą w jakiś sposób manifestowanych we właściwie wszystkich swoich utworach, ukazuje się CZŁOWIEK, najlepiej nam znany jeszcze z „Wysokiego Zamku", tak jest niezmieniony, pierwotny. Stanisław Lem, Człowiek pełny, którym nie potrafił uczynić żadnego ze swoich bohaterów. Śmiem bowiem twierdzić, że nawet postaci ze znakomitej i jedynej współczesnej powieści, ze „Szpitala Przemienienia" mają charakter istot niepełnych, zbyt jednostronnych, nieco płasko przedstawionych. Jest zawsze jakaś psychologiczna skaza w obrazie poszczególnych bohaterów Lemowskich. Lem nade wszystko nie pojmuje kobiet, ich mentalność jest mu obca i nigdy nie pozwala mu zbliżyć się naprawdę do nich. Myślę, że trochę taki jest Lem i w rzeczywistości, stąd jego fugi, ucieczki przed reakcjami zwłaszcza kobiecymi, lecz nie tylko kobiecymi, których jego sposób reagowania nie umie opanować czy raczej boi się, iż nie potrafi znieść. Oto i jedna z kluczonych, moim zdaniem, tajemnic Lema, jego niedostatków literackich i geniuszu zarazem.

Lem głęboko uwikłał się w tragedię ludzkości, romantycznie (on racjonalista) żył się ze swoją pozycją „cierpienia za miliony", miliony, którym chciał i chce zademonstrować swoistą wielką improwizację, na pewno zresztą sam nie zdając sobie w pełni z tego sprawy (on też może nie zdawać sobie z czegoś sprawy w pełni), ze swojej romantycznej, typowej dla romantycznej kultury polskiej, walki jednostki za miliony rodaków i nie samych tylko rodaków. Lem nie mógł i nie umiał stworzyć pełnych bohaterów po prostu dlatego, że sam jest najpełniejszym, najautentyczniejszym, zawsze obecnym, zawsze cierpiącym, zawsze pełnym katastrofizmu i pesymizmu skrajnego – superbohaterem własnych dzieł. Będąc ze swoimi czytelnikami, pozostaje sam ze sobą, sam w sobie, sam naprzeciw siebie, sam przeciwko sobie. Oto istota jego twórczości. Oto źródło jego boskich, czy podejrzewanych przez krytykę jako demiurgiczne, poczynań. Sedno jego dumy, triumfu i upadku.

Prawdopodobnie sztuki wielkiej miary twórcy nie można ujmować na podstawie wyrwanych z kontekstu poszczególnych, pojedynczych, czy nawet zgrupowanych w kilka – utworów. Należy zawsze widzieć całego twórcę i całe jego dzieło. U Lema ta zasada staje się absolutem. Detale można rozpatrywać tylko jako części, ale nie są w pełni zrozumiałe same w sobie, same dla siebie. Lem jest nieodłącznym bohaterem, jedynym bohaterem stworzonego przez siebie świata czy wszechświata.

Nawet wówczas, gdy oprowadza mnie po swoim nowym domu na krakowskich Klinach, gdy pokazuje bibliotekę wysoką na dwie kondygnacje, potężną, szczelnie wypełnioną książkami, do której górnych partii wspinanie się po drabinie byłoby ekwilibrystyką. Nie trzeba się jednak za wysoko wspinać, biblioteka ma antresolę, rodzaj balkonu, ułatwiającego kontakt z najwyżej położonymi na półkach dziełami. Jedyny uśmiech podczas tej naszej rozmowy zeszłorocznej z jego strony (a może i z mojej także) zanotowałem, kiedy mi pokazywał ten swój nowy dom krakowski. Na razie mieszka w innym domu. Wiedeńskim. Zawsze mi bliski i daleki zarazem. Nie wiem jak go widzą inni, myślę, że bardzo inaczej niż ja.

Adam Hollanek

Krasicki Ignacy

(1735–1801)

Poeta, prozaik, publicysta

Urodził się 3 lutego 1735 r. w Dubiecku koło Sanoka w województwie ruskim. Syn Jana, kasztelana chełmskiego i Anny ze Starzechowskich. Początkowo wychowywał się w domu rodziców, później u ciotki Anny Sapieżyny z Krasickich. Od roku 1743 do 1750 uczył się w kolegium jezuickim we Lwowie, a następnie od 1751 do 1754 w seminarium Księży Misjonarzy przy kościele Św. Krzyża w Warszawie studiując europejską myśl oświecenia i literaturę francuskiego klasycyzmu. [illegible] święcenia duchowne. Po ukończeniu seminarium otrzymał szereg godności kościelnych – w lipcu 1754 r. został kanonikiem kijowskim, w styczniu 1757 r. kanonikiem katedry przemyskiej, następnie proboszczem. 2 lutego 1759 r. przyjął święcenia kapłańskie z rąk biskupa przemyskiego W. H. Sierakowskiego, a 15 lutego uzyskał koadiuturę opactwa wąchockiego. Związany z tzw. republikanami niechętnymi Familii Czartoryskich i projektom reform społecznych, z poparcia stronnictwa został wysłany na dalsze studia do Rzymu (1759). Do kraju wrócił w 1761 r; w trzy lata później włączył się do życia politycznego zmieniając orientację jako sekretarz prymasa W. Łubieńskiego. Po elekcji stał się kapelanem królewskim i najbliższym współpracownikiem Stanisława Augusta. 7 grudnia 1764 r. – obrany przez kapitułę archidiecezji lwowskiej na kustosza katedralnego, w 1765 r. otrzymał probostwo infułackie, a w 1766 r. – probostwo mościckie. W tym samym roku został wybrany przez kapitułę kolegiacką w Stanisławowie na dziekana kolegiaty.

Z inspiracji króla w 1764 r. opracowuje Krasicki plan wydawniczy czasopisma moralno-obyczajowego „Monitor", którego jest współredaktorem i współautorem (1765–1767). W 1766 r. zostaje kanonikiem i biskupem koadiutorem warmińskim; odtąd w Warszawie gości sporadycznie (uczestniczy m. in. w „obiadach czwartkowych" w latach 1775, 1780, 1782, 1789). Po śmierci biskupa A. S. Grabowskiego w 1767 r. zostaje biskupem warmińskim z tytułem książęcym i godnością senatora. W czasie konfederacji barskiej zajmuje stanowisko dwuznaczne, wyjeżdża do Paryża, co doprowadza do przejściowego ochłodzenia stosunków ze Stanisławem Augustem. W listopadzie 1772 r. wraca do Lidzbarka Warmińskiego (Heiselberga) już jako poddany króla Prus. W Heiselbergu stwarza dwór o wyraźnych ambicjach kulturowych i zajmuje się twórczością literacką. Ukazują się wtedy: „Myszeis" (1775), **„Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki"** (1776), „Monachomachia" (1778), „Pan Podstoli" (1778 – cz.1, 1784 – cz. 2), „Bajki i przypowieści" (1779), „Wojna chocimska" (1780) oraz kilka komedii dla teatru dworskiego w Heiselbergu. W latach 1781–1783 wychodzi „Zbiór potrzebniejszych wiadomości" (t. 1–2), w 1784 r. „Wiersze X. B. W", oraz przekład „Pieśni Osjana" (1792/93). W dwa lata później, bez wiedzy Krasickiego, ukazują się „Listy i pisma różne X. B. W." – publikacja w dwóch tomach: 1786–1788.

Podejmowany przez Fryderyka II i Fryderyka Wilhelma II jest Krasicki częstym gościem w Poczdamie i Berlinie. 24 lutego 1793 r. zostaje powołany na członka Berlińskiej Akademii Kunsztów i Nauk Technicznych. 26 lutego 1795 r. otrzymuje z rąk Fryderyka Wilhelma II nominację na arcybiskupstwo gnieźnieńskie zatwierdzoną w tym samym roku przez papieża. Od roku 1798 do 1799 wydaje czasopismo „Co tydzień", a z myślą o zbiorowej publikacji swoich utworów nawiązuje współpracę z F. K. Dmochowskim („Dzieła" t. 1–10, 1803–1804). W 1800 r. przyczynia się do Powstania Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Umiera 14 marca 1801 r. w Berlinie. W marcu 1829 r., dzięki staraniom J.U. Niemcewicza, zwłoki biskupa przewieziono do kraju i złożono w katedrze gnieźnieńskiej.

Ignacy Krasicki jest autorem pierwszej w pełni oryginalnej utopii polskiej (fragmenty „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadków przez niegoż samego opisanych, na trzy księgi rozdzielonych"; powst. na przełomie 1774/1775; wyd. w Warszawie w 1776 nakładem M. Grölla; wznow. w 1776 – Lipsk, 1778 – Lwów, 1779 – Warszawa, 1801 – Warszawa; liczne wydania w następnych latach, m.in. w roku 1921 z autografu wydał B. Gubrynowicz, Kraków 1921, seria BN: wznow. 1925, 1929; w Polsce powojennej m. in. w serii „Biblioteki Pisarzy Polskich i Obcych", oprac. Z. Skwarczyński, Warszawa 1951; oprac. R. Wołoszynowski, Wrocław 1953, seria „Nasza Biblioteka"; przekłady: francuski – J.B. Lavoisier, Aventures de Nicolas Doświadczyński, Paryż 1818; niemiecki – Begebenheiten des Nicol. Doświadczyński, Warszawa 1776; rosyjski – Prikliuczenja Nikołaja Doświadczyńskiego, w: „Izbrannyje proizwiedenja", Moskwa 1951).

Traktat Krasickiego jest także pierwszą powieścią polską. Jej bohater – Mikołaj, otrzymawszy nader pobieżne wykształcenie, nie przygotowany do podjęcia samodzielnego życia, zdemoralizowany do granic możliwości musi ratować się ucieczką przed wierzycielami, trafia do Paryża, oszukany i ścigany wyrusza na Indonezję i w wyniku serii niespodziewanych przypadków (motyw robinsonady – rozbicia okrętu) trafia na nieznaną wyspę zamieszkałą przez patriarchalne społeczeństwo Nipuańczyków. Po reedukacji moralnej i światopoglądowej (jego nauczycielem jest miejscowy mędrzec Xaoo) Doświadczyński powraca do kraju, ale próba realizacji zasad utopii w warunkach zupełnego rozkładu politycznego okazuje się niemożliwa. Zrezygnowany Mikołaj osiada na wsi stając się wzorem ziemianina-filozofa.

Niemal we wszystkich studiach, pracach krytycznych i podręcznikach przeważa opinia, że traktat Krasickiego jest krytyką współczesnej cywilizacji europejskiej propagując poglądy Jana Jakuba Rousseau. Tymczasem „Przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego" są raczej polemiką z koncepcjami francuskiego myśliciela.

W Polsce J. J. Rousseau zyskał popularność dzięki filozoficznym traktatom i rozprawom (w 1781 roku ukazała się broszura „O wolności człowieka", przekład I księgi „Umowy społecznej"; a w 1784 – „Rozprawa o nierówności"). Jego argumenty są przetargiem w walce między zwolennikami reform oświeceniowych a obrońcami starego, feudalnego porządku. Paradoksalne, że to właśnie zwolennicy „złotej wolności" wykorzystują idee J. J. Rousseau dla przeforsowania swojego programu powołując się na jego wypowiedzi antymonarchiczne. Hrabia Wielohorski, przedstawiciel dyplomatyczny konfederatów barskich jedzie do Paryża, prosząc J. J. Rousseau o napisanie projektu konstytucji dla Polski. Filozof – polegając na relacji Wielohorskiego – wyobraża sobie polskiego króla jako wszechwładnego despotę, a reformy stronnictwa królewskiego uznaje za świadectwo rządów absolutnych, pozbawienie praw chłopstwa i mieszczaństwa.

Prośba Wielohorskiego zostaje spełniona. W roku 1771 powstaje „Considerations sur le gouvernement de la Pologne et sur réformation projetée" – szkic traktatu, w którym J. J. Rousseau występuje otwarcie przeciw Stanisławowi Augustowi, podkreśla demokratyzm zasad[y] liberum veto, doradza rezygnację z utrzymania stałej armii i budowy twierdz, które mogłyby przekształcić się w „gniazda tyranów"; proponuje przywrócenie dawnych obyczajów, egzorcyzmuje nowinki kulturalne, m. in. teatr.

Projekt konstytucji zyskuje zrozumiałe poparcie Michała Wielohorskiego, Szczęsnego Potockiego, Jacka Jezierskiego i Seweryna Rzewuskiego, którzy – przemilczając postępowe tezy programu, wskazują na rozdziały traktujące o władzy królewskiej jako ciemiężycielce wolności i sprawiedliwości (przekład polski projektu ukazuje się w roku 1788).

Na taki właśnie grunt trafia polemika Krasickiego, czołowego ideologa stronnictwa królewskiego. Już w roku 1765, kierowany przez warmińskiego biskupa „Monitor" zamieszcza taką oto wypowiedź:

„Widziałem w („Emilu"– J. J. Rousseau) *z admiracją, wraz z żalem (...) straszące każdego prawowiernego sophizmata. Ile razy mię chęć brała na ojczysty język to dzieło przełożyć dla nader wybornych w nim zawartych myśli, tyle razy zrażony owymi zdradnymi, com wyżej wspomniał pozorami, odstąpiłem imprezy".*

W pierwszej księdze „Mikołaja Doświadczyńskiego" Krasicki atakuje edukację opartą na wzorze wychowania domowego parodiując postulat stałego, serdecznego kontaktu wychowawcy z wychowankiem. Przypadkowy guwerner o dwuznacznych kwalifikacjach moralnych demoralizuje naiwnego wyrostka wpajając mu egoizm i szkodliwe społecznie poglądy. Co więcej, przekazywana w ten sposób wiedza izoluje bohatera z kręgu rówieśników i rozczarowuje przy próbie podjęcia samodzielnego startu życiowego.

Druga księga powieści kontynuuje wspomnianą polemikę, dowodząc że koncepcje wychowawcze francuskiego filozofa są nieprzydatne w typowo polskich warunkach. Na wyspie Nipu panuje ustrój patriarchalny. Jej mieszkańcy żyją z pracy na roli, nie znają osiągnięć cywilizacji europejskiej, ale również i takich pojęć jak egoizm, kłamstwo, kradzież, zdrada (warto pamiętać, że Nipuańczycy nie są wytworem wyobraźni autora – ich obyczaje i obrzędy zostały zaczerpnięte z „Histories des Yncas..." – Garcilesa de la Vega, która ukazała się w przekładzie polskim). Podstawą ekonomicznego ładu Utopian, źródłem bogactwa i dobrobytu, staje się ziemia i praca na roli (tu z kolei nawiązuje Krasicki do rozpowszechnionej w XVII wieku, znajdującej potwierdzenie w pismach J. J. Rousseau – teorii fizjokratyzmu.) – Mędrzec Xaoo głoszący wspomniane poglądy staje się adwersarzem fizjokratyzmu i przykładem postawy „człowieka naturalnego" z „umowy społecznej".

Nipuański system wychowania dzieli się na cztery okresy: poznanie naturalnych, wrodzonych skłonności, zdolności i zamiłowań dziecka; wykorzenienie cech ujemnych; wpojenie cnót i przestrzeganie zaleceń nauczyciela. Aby udowodnić, że system ów zdaje egzamin w praktyce należałoby odpowiedzieć na pytanie, jakie są społeczne koszty jego funkcjonowania oraz w jaki sposób wpływa na zmianę światopoglądu bohatera.

Nipuańczycy wrogo odnoszą się do wszelkich nowości, wiedzą bowiem, że różnego rodzaju innowacje mogą podważyć założenia ustroju, zagrozić wypracowanym metodom rządzenia, doprowadzić do upadku utopii. System patriarchalny gloryfikuje przeszłość, umacnia statykę, jest nietolerancyjny wobec projektów zmian. Powstaje pytanie czy jest przynajmniej wzorcem rozwiązań etycznych? Nic podobnego. Prawdziwy dramat rozpoczyna się wtedy, kiedy starszyzna nie dopuszcza do zmiany światopoglądu traktując czynnik postępu jako zamach na dobre, stare prawa. Krasicki z ogromną dozą realizmu ukazuje konsekwencje takiego założenia. Krajowcy, którzy powrócili z zamorskiej wyprawy i nawołują do zmiany sposobu bycia zostają ukamienowani w imię ocalenia porządku publicznego. Humanitarne (niestety tylko w teorii) założenia „umowy społecznej" obracają się na niekorzyść samego kreatora – człowieka dążącego do zmiany, buntującego się, poszukującego nowych rozwiązań społecznych, z którym (w imię ocalenia systemu) trzeba rozprawić się jak w wiekach barbarzyństwa i średniowiecza. Co więcej, „uprzejmi i obyczajni" Nipuańczycy traktują swoich gości (Mikołaja) z rezerwą i podejrzliwością wpajając im nowe prawa i nie pozostawiając swobody decyzji, wyboru swojego losu. A sam Mikołaj? Odnosi się do światłych nauk mistrzów z szacunkiem, lecz zarazem z rezerwą i pobłażliwością, kwestionując przydatność reform w kraju, z którego się wywodzi. Wyniki edukacji prowadzone przez mędrca Xaoo okazują się co najmniej wątpliwe. Mikołaj ucieka z utopii przy najbliższej okazji, a złoto potrzebne na zagospodarowanie się w nowym świecie zdobywa sam i to nielega- [illegible]

Już w satyrze „Człowiek i zwierz", na kilka lat przed publikacją „Doświadczyńskiego", wystąpił Krasicki przeciwko utopijnym koncepcjom Rousseau:

„Niegdyś mędrzec ponury piórem zbyt swobodnym
W złej sprawie sam patronem zostawszy i sędziem
Zapędzał człeka w lasy i chciał paść żołędziem
Znalazł uczniów, któryż błąd nie znachodził ucznie".

Parodia marzeń francuskiego filozofa wykracza jednakże poza polemikę dwóch myślicieli i ma wymowę bardziej uniwersalną. Każda utopia statyczna – zdaje się twierdzić Krasicki – (a trzeba przypomnieć, że autor „Doświadczyńskiego" znał ich wiele, począwszy od Platońskiej, na traktatach Morusa, Fénelona, Morelly'ego kończąc) stwarza pewien kanon, projekt ładu absolutnego, który staje się obowiązującym wzorcem, a zatem nie pozostawia swobody działania jego kreatorom. Utopia zostaje obdarzona przekleństwem indoktrynacji, koniecznością użycia siły wobec reformatorów działających w imię swobód obywatelskich. Zamiast zmieniać system,

próbuje się wpływać na psychikę człowieka i to w sposób brutalny, nie przebierający w środkach – apelując do instynktów i podświadomości: strachu, obawy, zagrożenia. Wspomniane refleksje stawiają polskiego filozofa w rzędzie najciekawszych myślicieli epoki, natomiast przesłanie „Doświadczyńskiego" pozwala dostrzec zapowiedź nowego gatunku prozy dydaktycznej – antyutopii.

Kolejna powieść Krasickiego **„Historia na dwie księgi podzielona"** bywa wiązana z narodzinami polskiej fantazji naukowej (tak twierdzi Z. Przyrowski w przedmowie do antologii „Nowa Cywilizacja", Nasza Księgarnia 1973; pierwsze wydanie „Historii..." ukazało się w Warszawie w roku 1779, następne również w Warszawie w 1802; wyd. powojenne: 1951, 1956 oraz 1954 – w: „Pisma wybrane I. Krasickiego", oprac. Z. Goliński, M. Klimowicz, R. Wołoszynowski, pod. red. T. Mikulskiego; przekłady: francuski – J. B. Lavoisier, L'Historie, Paryż 1817; niemiecki – J. Bernouilli, Eine gefundene Geschichte, Berlin 1785; rosyjski – G. Zielnickij, Stranstwowanje nieumirajuszczewo czełowieka po znatniejszym driewnim gosudarstwam, Kaługa 1794).

Określanie „Historii..." mianem powieści fantastyczno-naukowej jest jednak dość mylące. Motyw „cudownego odkrycia" – soku z żywicy drzewa umożliwiającego wędrówkę w przeszłość jest raczej baśniowego pochodzenia, a przesłanie utworu nosi znamiona satyry społecznej, politycznej i obyczajowej. Grumdrupp – bohater historii, który spisuje swoją autobiografię, należy do rodu nieśmiertelnych z „Podróży Gulliwera" – J. Swifte'a. Dzięki cudownemu balsamowi może odmładzać się przenosząc w zamierzchłe epoki, konfrontując prawdziwy kształt dziejów z legendami, przejaskrawieniami i oczywistymi zmyśleniami historiografów (akcja rozpoczyna się w okresie wypraw Aleksandra Macedońskiego, urywa się na rządach Bolesława Chrobrego). Podróż w przeszłość ukazuje relatywność oceny historycznej, która podlega mitologizacji, jest nierozłączna od subiektywnego spojrzenia badacza, klimatu epoki, uwarunkowań społecznych, politycznych. Co więcej, zawiera sporo aluzji do wydarzeń współczesnych, będąc rodzajem powiastki filozoficznej, gloryfikacją oświeceniowych idei i programu ocalenia Rzeczpospolitej, który formułował Krasicki na łamach „Monitora" (pochwała użyteczności społecznej, zgody narodów, rządności i gospodarności miast, kompromitacji wojen zaborczych etc.).

Bibliografia:

– P. Mączewski, *Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki. Szkic literacki* (w:) „Pamiętnik Literacki" (1904) z. 1–2,
– B. Gubrynowicz, *Romans w Polsce za czasów Stanisława Augusta*, Lwów 1904,
– M. Klimowicz, *Nad „Historią" Krasickiego* (w:) „Pamiętnik Literacki" R. 46 (1955), z. 4,
– M. Klimowicz, *Wstęp do: „Historia"*, Warszawa 1956,
– J.Kott, *Wokół „Doświadczyńskiego"* (w:) Z zagadnień powieści polskiego Oświecenia. Prace o literaturze i teatrze ofiarowane Z. Szweykowskiemu, Wrocław 1966,
– S. Graciotti, *Utopia w literaturze polskiego Oświecenia* (w:) Wiek Oświecenia. Wokół problemów literatury i filozofii, Warszawa 1978,
– Al. Lipatow, *Rousseau i Krasicki. Utopia i historiozofia w „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadkach"* (w:) „Pamiętnik Literacki", LXXL 1980/2.

...**M**ając iść w dość daleką podróż, wziął mnie Xaoo ze sobą. Pierwszy raz natenczas zdarzyło mi się widzieć kraj ten dość rozległy; gdym się pytał, jaka jego obszerność, odpowiedział, iż idąc prosto aż do drugiego brzegu od morza, jedenaście dni drogi, szerokość zaś kraju równa była jego długości. Gdziemykolwiek szli, widać było wszędzie dobrze uprawną ziemię; osady były dość gęste, każda zaś miała tyle lasu, ile jej potrzeba było; i jakem mógł miarkować, po równych wydziałach znać, iż gdzie ich było nadto, tam zbywające części na pola były obrócone, gdzie zaś ich brakło, umyślnie zasiane były. (...)

W drodze wziął pochop roztrząsać sposoby rozmaite rządów naszych. My nie znamy – mówił – tego, co wy nazywacie monarchią, arystokracją, demokracją, oligarchią itp. W zgromadzeniu naszym nie masz żadnej innej zwierzchności politycznej, prócz naturalnej rodziców nad dziećmi. Okoliczności wychodzące nad zamiar szczególnych familij, uzgodnionymi sposoby, radą nie przemocą przez starszych uspokojone i rozrządzone bywają. Człowiek jednakowo z drugim człowiekiem rodzący się, nie może a przynajmniej nie powinien by sobie przywłaszczać zwierzchności nad nim: wszyscy są równi. Skoro zaś są złączeni w towarzystwo, natenczas to samo towarzystwo pozwala dla dobra swojego w niektórych okolicznościach niejakiej nad szczególnymi albo zgromadzeniu albo niektórym ze zgromadzenia zwierzchności.

Podatków żadnych nie dajemy. Cel towarzystwa jest ubezpieczenie własności; gdyby tego było potrzeba, jej bronić i ocalać każdemu w szczególności społeczność cała poślubiła. Za cóż tedy ta utrata części własności naszej? Za co ten haracz samymi sobie? Nasza ludność powinna by nas trwożyć z tej miary, że sam w czasie braknie ziemi do wyżywienia należytego mieszkańców. Ale my tę troskliwość zostawujemy następcom naszym wraz z przykładami rządu i gospodarstwa, które im podajemy. Opatrzność najwyższa wymie- [illegible] rzyła ziemię do liczby [...] niej żyje. (...)

Inszą drogą pow[...] przyszli. O pół dnia [...] dy postrzegłem sto[...] kształt piramidy wpo[...] ręce. Pytałem się nau[...] czy? – Uspokoję twoj[...] wiedział: stos ten nie[...] krywa od kilkuset żni[...] obywatelów, nazwis[...] czyli przypadkiem, cz[...] rzuciwszy swój kraj, [...] Nie było go przez lat k[...] spodziewany i już zu[...] przypłynął.

Spytany, gdzie prze[...] bawił, powiadał, iż cho[...] ku drzewach razem [...] wiatrem nagłym zap[...] na brzeg, nie bardzo [...] Znalazł kraj pusty, a [...] mię, gdy się chciał w[...] na brzegu nie zastał [...] niewolnie póty tam si[...] tamtejszego drzewa [...] czyli tratwy nie spor[...] na tym; on do domu [...]

[...] stworzenia, które z

[...]acaliśmy niżeśmy [...] drogi od naszej osa- [...] wielki kamieni na [...]ród pola po lewej [...]czyciela co to zna- [...] ciekawość, odpo- [...]mierny kamieni o- [...] jednego z naszych [...]iem Laongo; ten, [...]li przemysłem, po- [...]uścił się na morze. [...]lka, na koniec, nie- [...]ełnie zapomniany,

[...]z tak długi czas się [...]ąc po wodzie na kil- [...]wiązanych płynąć, [...]dzony był zawsze [...]d naszego odległy. [...]obieżawszy tę zie- [...]ócić, drzew owych [...] tym sposobem po- [...]dzieć musiał, póki z [...]akszej sobie łódki [...]ądził. Przestaliśmy [...]wego powrócił i jął

się, jak przedtem, gospodarstwa. Korzystał tymczasem z nowonabranych wiadomości, zarażając cudzoziemskimi maksymami spółbraci swoich.

Przekupiony od cudzoziemców na zgubę naszą, zaczął w sekrecie młodzieży opowiadać wygody, bogactwa, szczęśliwość życia w zbytkach. Jad skryty zaczął się szerzyć, nowość uderzyła w oczy młodzież nieostrożną; naganione zwyczaje nasze zdały im się, tak jak i tobie z początku, grubijaństwem i dzikością. Przekładając cudzych narodów wygody, nam nieznane przez wymalazki kunsztów, obrzy-

gdy się skończyło, lud winowajców ukamienował, a na wieczną pamiątkę tyle kamieni na to miejsce zniesiono, iż się stał kopiec wielki, którego widzisz.

Starzy, którzy słuchali inkwizycji tych winowajców, skomponowali dla wiecznej pamięci pieśń, w której to wszystko, com ci powiedział, jest wyrażone z przydatkiem strasznych przekleństw na zdrajców ojczyzny.(...)

reszty podłogi; zerwałem ją natychmiast i pierwszy raz od lat trzech blask złota w oczy moje uderzył. Lubo ów kruszec na tamtym miejscu do niczego niezdatnym był, przecież słodka pamięć tego, do czego przedtem służył, tak daleko rozżarzyła imaginację moją, iż nie mogłem się wstrzymać od najżywszego radości uczucia. Poznałem z cechy, i luidory francuskie, prze

; te pieniądze były
niosłem je śpiesz-

ego
nie-
ako-
dnej
wi-
iero
ji w
rząd-
rząd,
nad-
chią
riają
dat-
ując
siąc
ie; i
nad-
nad

do-
gać
rze-
ych
oro-
ł w
tom
y to
po-
mo-
kim
rze-
ych
ysz-
jak
ch a
ale-
kie-
obie
ych
naj-

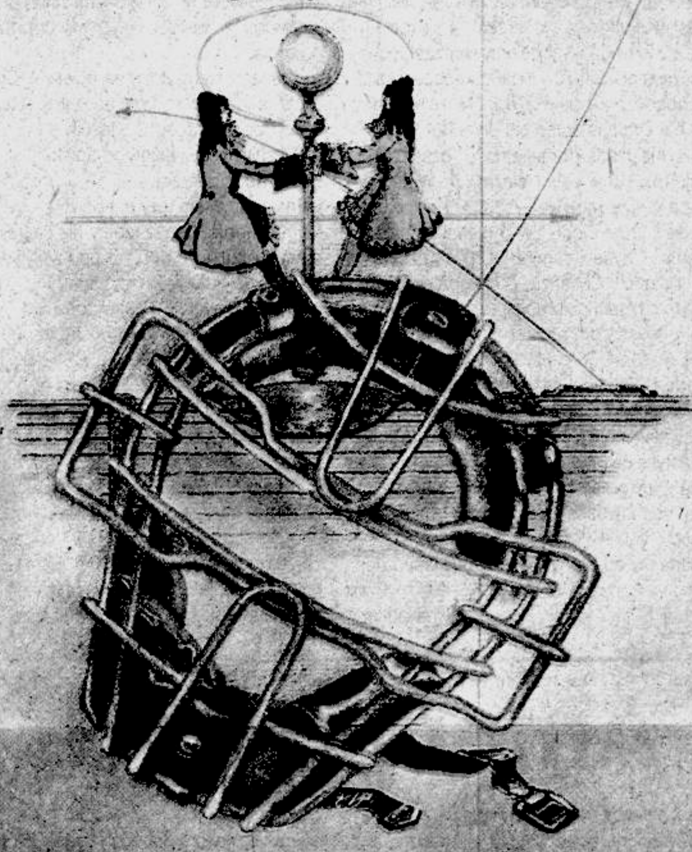
woi-
nnie
łódź
udzi
vem
cho-
, je-
edzy
szłej
zed-
; ci,
ga z
gdy
ych

kie-
ono
w w
su-
rate-
ym-
spo-
voź-
ach,
zego
o w
, co

Mikołaja Doświadczyńskie[go] przypadki

przez niego samego opisane na trzy księgi rozdzielone

Ignacy Krasicki



Andrzej Brzeziński

Przechodząc sam jeden nad tym brzegiem morskim, gdziem po rozbiciu okrętu mojego był wyrzucony, zastanowiłem się myślą nad moim teraźniejszym stanem; począłem dalej rozważać wszystkie życia mojego przypadki, niedoskonałe jeszcze u siebie przeświadczony, czylim zyskał czy stracił na aktualnej mojej sytuacji.

Gdy w zapalonej żywymi obrazami imaginacji coraz się insze myśli snuły, pod brzegiem wiszącej nad lądem skały postrzegłem część znaczną rozbitego okrętu, którą fale unosząc wbiły w piasek brzegowy, a zwyczajny morski odwrót zostawił naowczas oschłą. Miejsce to było na ustroniu; nie obawiając się więc, żeby mnie postrzeżono, skoczyłem ku temu miejscu i poznałem, iż to była tylna część okrętu, gdzie pospolicie bywa izdebka kapitańska i inne najszacowniejsze składy. Z ciężkością przedarłem się do izdebki i wielem w niej rzeczy znalazł. (...) W jednym kącie izdebki postrzegłem nieznaczną kryjówkę, której przykrycie odstawało trochę od

nie do pieczary, a że słońce skłaniało się już ku zachodowi, żeby mieszkańcy nie domyślili się o przyczynie spóźnienia mojego, udałem się jak najśpieszniej do osady.

Przez całą noc oka zmrużyć nie mogłem. Widząc się być posesorem znacznego skarbu, żałowałem niezmiernie, iż zostawałem w takim miejscu, w którym mi żadnej korzyści przynieść nie mógł. Stawiałem się myślą w ojczyźnie i natychmist kupowałem wsie, miasta, budowałem pałace, plantowałem ogrody. Byłem nieszczęśliwy wśród szczęścia mego, mając a użyć nie mogąc tego, co mi jak na przekorę los i w pieszczotach swoich fałszywy i zdradny użyczył.

Ignacy Krasicki, „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki przez niego samego opisane, na trzy księgi rozdzielone", z autografu wydał B. Gubrynowicz, seria „Biblioteki Narodowej", Kraków 1921, wybór z rozdziałów X-XVI księgi drugiej.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

...za wynalazki kunsztów, ob... dził im własną ojczyznę. Wynosił pod... bo ich talenta; ale ubolewał, iż były z... pane bez żadnego względu, bez ża... dystynkcji, bez żadnej nagrody, jakie... dział w cudzych krajach. Tu im do... przekładać począł stopnie subordyna... monarchiach pod jednym wodzem i ... cą całego narodu, a przeto i lepszy ... gdy jeden wszystkimi zawiaduje, i ... grodę przymiotów, gdy pod monar... pomniejsze urzędy i jurysdykcje staw... każdego w stanie proporcjonalnym ... ności jego właściwej. Wtenczas, usług... jednemu, człowiek utalentowany t... innych mieć może usługujących sob... jeżeli go martwi podległość jednemu, ... gradza to umartwienie zwierzchność... wielu.

Tymi i podobnymi dyskursami tyl... kazał, iż mu kilku przyrzekło dopom... w jego przedsięwzięciu. Że zaś był p... kupiony darami od tych ludzi, u któ... przebywał, na to, ażeby ich do nas s... wadził i pod ich rządy poddał, zacz... wielkim sekrecie udzielać adheren... swoim tego, co z sobą przyniósł. By... jakieś osobliwe narzędzia; jedne miały ... dobieństwo do wody, gdyż się w nich ... żna było przeglądać, a z tym wszys... taką miały stałość jak kamienie albo d... wo; były nawlekane kamyczki rozmai... kolorów; były jakieś instrumenta b... czące się i podobno tak obrażające ... twój nóż, ale najwięcej było okrągły... płaskich sztuczek z kruszca żółtego i b... go. O tych on powiadał, iż są do wszys... go przydatne i zgodne i mają taki w s... szacunek, iż ci nowi ludzie, któ... przyjście obiecywał, mieli je za rzecz... potrzebniejszą do życia.

Umówił się już był z adherentami s... mi ów zdrajca i sporządziwszy tajem... na model przywiezionej od Laonga ... wielką, mieli się puszczać do owych ... cudzoziemskich za przewodnict... swojego herszta. Szczęściem, prze... dząc się w nocy ponad brzeg morsk... den z obywatelów wysłuchał ich mi... krzakami rozmawiających o przy... podróży. Zadumiony rzeczą nigdy p... tem niesłychaną, pobiegł do starszyc... zebrawszy młodzież, znaleźli Laon... czterema innymi na tymże miejscu i... się bronić chcieli, gwałtem związan... przywiedli do osady.

Przyznali się społecznicy do wszys... go, sam herszt upornie milczał. Odło... sąd do kilku dni; każdy z winowajcó... osobnym zamknięciu trzymany był ... rowym zakazem, żeby żadnej z obyw... lami nie mieli komunikacji. Zeszli się ... czasem najstarsi wszystkich osad go... darze i za ich wyrokiem rzeczy przy... ne, zamknięte w wielkich naczyn... wraz z winowajcami na pole pierws... herszta wyprowadzono. Tam głębok... ziemię zakopano obmierzłe naczyni...

Adam N. poluje na Boga

Czytelnicy „Arsenału", drugiej po „Sennych zwycięzcach" powieści Marka Oramusa, już po kilkunastu stronach lektury zyskują pewność, że obcują z książką znaczącą. Rzecz napisana jest z rozmachem, po ekstrawagancku i dramatycznie, bohater jest tu wyrazisty, a autor dba, by czytelnika, nieźle nawet wprowadzonego w konwencję, zbić z pantałyku, zmylić, pomieszać mu tropy.

Powieść jest niejednoznaczna i wielowarstwowa. Oramus spiera się w tej książce z samym sobą i swoim czasem, szuka absolutu, daje sceny właściwe klasycznej SF i malownicze, misternie splątane sceny wizyjne. Materia książki wygląda na przemian to wzniośle i eschatologicznie, to bajkowo, to wreszcie jarmarcznie, śmiesznie czy wprost wulgarnie. Całość składa się na rodzaj transu, z którego wychodzimy wstrząśnięci, z

dzie trwają konflikty prowokowane i komentowane przez narratora, Adama Nyada, który czuje się i jest w istocie człowiekiem większym i bardziej skomplikowanym niż reszta załogi. Jest to, powiedzmy prawdę, człowiek i duży, i nieznośny, a mówiąc już zupełnie szczerze, jest to wielkie chamidło o sporym arystokratyzmie ducha, niezłej intuicji i wyostrzonym zmyśle rzeczywistości. Zachowuje się więc Adam N. wobec koleżanek i kolegów prowokacyjnie, nieuczciwie, źle – ale, mówię o tym z bólem, często to on ma rację. Bo oto Adam N. robi to wszystko dlatego, że taki jest i inny nie będzie, ale także by ostrzec, zmobilizować współzałogantów Megahicle przeciw niebezpieczeństwom, w jakie bezmyślnie, poddani bufonowatemu dowódcy wyprawy dobrowolnie kładą głowę.

ka i wariata skrzyżowanego ze świętym, jak u niego, jeszcze nie było. Teraz to mamy i nie wiemy co począć. Podobną wątpliwość wobec Adama N. przeżywa w powieści tytułowy Arsenał – sonda czy może osobnik, przedstawiciel innej cywilizacji, setki razy bardziej wyrafinowanej i mocniejszej niż nasza. Ale Adam N. nawet dla Arsenału stanowi orzech trudny do zgryzienia.

Co oczywiste, Arsenał dla Adama także. Jest to wyzwanie, na które Adam czekał nieświadomie całe życie – nareszcie przeciwnik na jego poziomie i na jego miarę. Okaże się później, że jednak ponad miarę. Arsenał bowiem to rodzaj boga skrzyżowanego z demonem, mocny i kapryśny, potrafi podsuwać ludziom halucynacyjne przygody, w czasie których ujawnią swoją naturę, plątać im umysły; potrafi ludzi podbić, upokorzyć, unicestwić moralnie, potrafi zabijać, choć bywa

potrafi zabijać, choć bywa też,
Adam N. awanturnik, histeryk i
kraczający przeciw regułom

także niepogodzeni i pełni pytań. Może właśnie
tacy, jaki był Oramus w trakcie pisania?

dy ktoś daje nam coś nowego, możemy spostrzec, że tego czegoś właściwie nie mieliśmy. A

że zechce ocalić. I
gigant zarazem, w

sobowości zarysowanej tak wyraziście. Nawet z
ema – nie wiem, czy nie bluźnię – zapamiętuje-

Oramus ma [illegible] życia (za co go karnie
zamkną w lodówce) – w potrzebie ostatecznej
wyciągnięty komisyjnie z anabiozera spróbuje

Oramus ma rzadką umiejętność rozsadzania
konwencji rozpoznanych i zleżałych. Widać w
jego prozie cudze motywy – „Senni zwycięzcy"
zadłużyli się u „Non stopu", w „Arsenale" znaleźć

można wątki „Odysei kosmicznej 2001", częściowo też „Solaris", „Mistrza i Małgorzaty". Ale wszystkie te strzępki przerabia i łączy Oramus po swojemu, orkiestra gra pod jego batutą i na jego nutę. Coś podobnego o użytkowym traktowaniu rekwizytorni SF, mówi Lem na temat Dicka. Można to teraz powtórzyć, jest Oramus autorem tej samej rasy. Jak zdarza się to Dickowi, zrazu markuje fantastykę technologiczną i kosmiczną, by znienacka zdruzgotać rzeczywistość swej prozy eksplozją duchowości, cudowności, tajemnicy, wątpliwości... cholera wie jeszcze czego.

Już jednak w tej pierwszej części, klasycznej, łamie Oramus konwencję. W kosmosie gdzieś w stronę Jowisza leci statek Megahicle; na pokła-

postacie stają się dopiero pod wpływem okoliczności i zdarzeń, ale wchodzą w nie z charakterem jakby przejrzystym i niewidocznym. No bo jaki właściwie charakter mają Tichy czy Pirx, a nawet Rohan czy Kelvin – kto to pamięta? Fantastyka polska obsługiwała wielkie sprawy, borykała się z rzeczywistością i przyszłością – najpierw afirmatywnie, potem kontestacyjnie. Przyszli na ostatku młodzi gniewni, surrealizują, estetyzują, małpują w dialogach McLeana i Chandlera – to ostatnie to zbiorowy styl, zbiorowa moda, a u sporej części młodych i zbiorowy model bohatera-fightera zbrzydzonego światem, który potrafi sarkastycznie odszczeknąć. I Oramus niby też idzie w tę stronę, ale takiego plastycznego wizerunku łajda-

Nie jedzie sam na to spotkanie. Zbroi się przedtem w lektury filozofów-moralistów – Kierkegaarda, Simon Weil, sięga do Ewangelistów, do Biblii. Jak trwoga to do Boga – w obliczu Arsenału ten twardy człowiek łamie się, pasuje ze sobą, powtarzając jak Chrystus w Ogrójcu: „Ojcze, zabierz ten kielich ode mnie..." Następuje druga, wizyjna część książki o dużym bogactwie wątków i obrazów, mających chwilami wyraźny związek z naszym światem i z jego kiksami, z jego obłędem. Jeśli tak wygląda, jeśli tak może wyglądać polska fantasy i polska inner space zarazem, godzę się na to z radością, bo jest to piękne i jednocześnie przekonujące artystycznie, jako propozycja rozwiązania klasycznego motywu

Amerykańska mitologia

Zależności science fiction od mitu są już w zasadzie udowodnione przez bardzo mądrych ludzi i nie ma powodu o nich dyskutować. Faktycznie, w fantastyce naukowej, w jej najwybitniejszych przejawach ujawniają się dążenia do ujęcia, uchwycenia tych samych spraw, które stanowią treść mitów. Żeby nie szukać zbyt daleko w czasie i przestrzeni wskazać można na powieść „Arsenał" Marka Oramusa, jako na przykład takiego właśnie zdążania w stronę problemów metafizycznych, które odnajdujemy w mitach, szukania odpowiedzi na te same pytania i próby wyrażenia tego samego niepokoju, który stoi za mitem.

Może jest to wynikiem tego, że science fiction jest stosunkowo młodą odmianą literatury i ma w sobie jeszcze naiwność właściwą młodości i młodzieńczą odwagę mierzenia się ze sprawami, nad którymi dorośli przeszli już do porządku dziennego, przyjmując, że nic nie wskórają? Może jest to wynikiem tego, że science fiction, jak żaden inny wytwór kultury blisko „współżyje" z Kosmosem, a więc z czymś, co nadaje, czy powinno nadawać ludzkim sprawom zupełnie inny wymiar, co stawia człowieka wobec Absolutu, nieskończoności, wobec Nieznanego i Niepoznawalnego? Jeśli pisarz parający się science fiction ma wyobraźnię i wie, do czego może ta literatura służyć, staje przed pytaniami podstawowymi, elementarnymi czy zasadniczymi – na które próbą odpowiedzi bywały opowieści mityczne.

Zestawiony i opracowany przez Johna Bierhorsta tom mitów i opowiadań Indian amerykańskich „Czerwony łabędź" pokazuje, w jaki sposób ów podstawowy – jak to określa autor książki – „szeroki pogląd na świat (świat ludzkości)" ujawnia się w amerykańskiej mitologii. To jest chyba najlepsze określenie potoczne dla pracy Bierhorsta: napisał on czy też opracował mitologię amerykańską w dosłownym znaczeniu, nie w przenośnym, którym posługujemy się zwykle (amerykański mit: czyścibut milionerem itp.). „Czerwony łabędź" jest wyborem mitów z najróżniejszych kręgów indiańskiej kultury obu Ameryk – od Eskimosów z plemienia Nunivak i z Grenlandii po plemię Yamana zamieszkujące Ziemię Ognistą. Autor książki traktuje ją łącznie uznając, że wszystkie te kultury są z sobą powiązane i mity przez nie wypracowane oraz legendy wyrastają ze spójnych korzeni.

Tematykę mitów indiańskich dzieli Bierhorst na cztery podstawowe dziedziny. Pierwszą stanowi „porządkowanie świata" – należą do niej mity przedstawiające powstanie świata, jego wyłanianie się z chaosu. Druga, to „dramat rodzinny", czyli mity opowiadające o konfliktach i międzyludzkich powiązaniach wynikających z przynależności do określonej rodziny. Często jednak – jak pisze Bierhorst – *„kosmos uznaje się za pierwotną rodzinę: ziemia jest matką, niebo ojcem, a ludzkość dzieckiem"*. Nie trzeba dodawać, jaka różnorodność interpretacyjna rodzi się w tym momencie... Trzecią dziedzinę mitów nazywa autor „Uczciwością i niegodziwością", są to głównie mity o „spryciarzu-oszuście", szczególnie popularne w tym kręgu kulturowym. I wreszcie czwarta dziedzina, nazwana „Przekraczaniem progu", na którą składają się mity dotyczące różnorodnych przejść z jednej postaci bytu w drugą. Tu Bierhorst wyróżnia pięć typów przejść, ale darujmy sobie ich wyliczenie. Warto natomiast przytoczyć prostą i łatwą do przyjęcia, ale też na swój sposób dowcipną, definicję mitu, jaka otwiera jego książkę. Otóż *„mit to typowo fantastyczna opowieść, w której prawdziwość można uwierzyć, mimo iż nie da się ona potwierdzić, jej temat zaś ma znaczenie dla tego, kto w nią wierzy"*.

Dla kogoś, kto lubi tego typu lektury, „Czerwony łabędź" będzie źródłem wielu radości, przyniesie obraz odmiennego świata, da porcję egzotyki zupełnie innej niż ta, jaką znamy z innych mitologii, z którymi mogliśmy się zapoznać. A przy tym jest to książka kształcąca, jako że w poprzedzającej ją przedmowie Bierhorsta i we wstępie Ewy Nowickiej zawarta jest suma podstawowych informacji o mitach, sposobach ich interpretacji i rozumienia.

Leszek Bugajski

John Bierhorst: *Czerwony łabędź. Mity i opowiadania Indian amerykańskich.* Przełożyła Ludmiła Marjańska. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa 1984. Cena 250 zł.

Kontaktu. Tutaj staje się ten kontakt wyzwaniem i [illegible] gie, na miny i charaktery, które Arsenał wydobywa z Nyada i podsuwa mu jako partnerów rozmowy. Ten dialog-monolog kulturowy, toczący się gdzieś na przedprożach świadomości, pozwala więcej zrozumieć i więcej ujawnić niż dyskurs racjonalny.

Adam nie wygrywa z Arsenałem, ale i nie przegrywa. Spojrzał w twarz absolutu, nie ugiął się, nie pozwolił sobie nic narzucić, lecz postradał zmysły. Arsenał obejrzał go, obwąchał, po czym samą swoją wielkością niechcący zdruzgotał. Ale że Adam N. miał dużą klasę, więc go Arsenał podniósł, rozprostował i otrzepał, pozwalając wegetować na Ziemi pod opieką bajkowej księżniczki Mirindy.

Przesłanie nie jest tu jasne. Adam N. odsunął od ludzkości niebezpieczeństwo agresji Arsenału, jego ofiara i męstwo nie poszły na marne. Chrześcijańskie to i pogańskie zarazem. Heretyckie – oto najlepsze określenie. Fantaści lubią zresztą herezję, wolą błądzić, łączyć synkretycznie różne religie, niż płasko ilustrować dogmaty. Ale wizja kontaktu według Oramusa jest nadto fatalistyczna – nie ma Wiary–Nadziei–Miłości, jest pożeranie, niszczenie mniejszego przez większego, choćby bezwiedne; mimo ewentualnej dobrej woli nie możemy się spotkać... Dlaczego tak? A gdyby na miejscu Adama N. znalazł się któryś z autorów, u których szukał on pokrzepienia. Może ten ktoś uzyskałby od Arsenału więcej i co najważniejsze – potrafiłby wytrzymać jego palący wzrok? Chyba nie idzie to zastrzeżenie przeciw intencjom autora.

Sekwencja pierwsza, kosmonautyczna, bogata i ekstrawagancka jest już prostsza. Rozbudowuje tu i sublimuje Oramus przeniesioną z political fiction tezę, że świat kiksujemy, bezmyślni, bezkrytyczni, nie przygotowani lecimy naszymi Megahiclami (i Dziesięciornicami) donikąd. W osobie Chiefa Tenegi zyskuje tu fantastyka malownicze studium obłudy komendanta wyprawy, którego zachowanie jest mieszaniną pychy, agresywności, małego geszefciarstwa i pozorowanego wallenrodyzmu. W tej sytuacji poddany władzy takich ludzi świat winien – jest to teza Oramusa – zwrócić się o pomoc do wariatów w rodzaju Adama N., to znaczy do awanturników, nie uznających tabu w myśleniu ani działaniu. Zapewne tak, choć dobrze by było, gdyby ci mężowie opatrznościowi zaglądali do Biblii, do moralistów nie tylko w sytuacjach ostatecznych, lecz także idąc na spotkanie ze zwykłym człowiekiem.

Trudno to ukryć – Adam N. jest postacią, która przyciąga i odpycha, złości i fascynuje. Ta celowa zadra dodaje „Arsenałowi" klasy i pikanterii. Czyni cały przekaz dodatkowo niejednoznacznym. Powtórzę to jeszcze raz – powieść jest wielowarstwowa, trudna w pozytywnym tego słowa znaczeniu, przez co rozumiem m.in. – warta wielokrotnego czytania. To jedna z ciekawszych polskich książek SF wydanych w ostatnich latach. Przy okazji spostrzeżenie ogólne: zakończenie najlepszej powieści Zajdla, kilka wyróżnionych przez ruch i nasze pismo opowiadań konkursowych i innych, sporo ciekawszych tekstów ostatnich lat – zawiera elementy metafizyczne. Bez żadnej ortodoksji, z wykorzystaniem różnego dorobku kulturowego, ponawiane są próby przebicia się przez materialny świat, ku absolutowi, ku duchowości, ku sacrum. „Arsenał" lokuje się w centrum tego zjawiska. Niczego oczywiście nie przesądzam, nie próbuję kodyfikować – po prostu myślę na głos.

Maciej Parowski

Marek Oramus: *Arsenał*. Iskry, Warszawa 1985. Cena 150 zł.

Na granicy dwóch światów

W 1978 roku „Nasza Księgarnia" wydała powieść Michaela Endego „Momo", czyli osobliwą historię o złodziejach czasu i o dziecku, które zwróciło ludziom skradziony czas". Pozycja ta nie zyskała jednak uznania czytelników. Trafiła na półki z książkami dla młodzieży i tam pozostała.

Autor, ostatnio niezwykle popularny i to nie tylko w Europie (zob. „Fantastyka " nr 12/85), rzeczywiście tworzy bajki, lecz są one pretekstem do głoszenia ponadczasowych, wręcz filozoficznych treści. Dlatego też książki Michaela Endego tylko pozornie są skierowane do młodych odbiorców. W Polsce dorośli nie biorą ich do ręki, gdyż uważają, że są na nie za dorośli. Dzieci nie czytają ich, ponieważ są dla nich za trudne. Przyzwyczailiśmy się, że „Nasza Księgarnia" wydaje książki dla określonej grupy czytelników i ta opinia bardzo zaszkodziła „Momo".

Powieść Endego można porównać z tego typu utworami, co „Mały Książę" – A. de Saint-Exupery'ego, „Kubuś Puchatek" A. A. Milne'a, „Alicja w Krainie Czarów" – L. Carrola, czy opowiadania o Muminkach T. Jansson. Ich piękno odkrywamy dopiero wchodząc w wiek dojrzały, o ile jednak nie straciliśmy wrażliwości dziecka. Historie Michaela Endego nie tylko prezentują wspomniany typ literatury, ale uświadamiają potrzebę zachowania lub odzyskania takiej wrażliwości.

Bohaterką książki „Momo" jest mała dziewczynka. Nie wiemy jednak , czy dziecko nie umie liczyć i dlatego nie potrafi podać swojego wieku czy po prostu nie ma wieku. Momo mówi, że była zawsze, odkąd pamięta. Dla dziecka takie pojęcia jak „nigdy", „zawsze" czy „czas" nie mają tych znaczeń, jakie nadajemy im my, dorośli. Podzieliliśmy czas na lata, miesiące, godziny, a potem jeszcze dokładniej na sekundy, a nawet dziesiąte czy setne ich części, skonstruowaliśmy zegary, by go okiełznać, ale udało nam się to tylko pozornie. Czas jest ciągle zjawiskiem niezbadanym. Uważamy, że opanowaliśmy go, bo nadaliśmy mu imię. A jednak traktujemy go nadal jak przeciwnika. Spiesząc się zabijamy czas, ale nie mamy go przez to więcej. Momo jest inna, potrafi czas zaakceptować, dzięki czemu staje się on jej skarbem, ma go tyle, ile tylko zapragnie.

Ende nie będąc moralizatorem, mówi o prawdach i wartościach podstawowych, o których zdajemy się zapominać. Momo przez swoją zwyczajność staje się niezwykła i dlatego będzie walczyć o to, abyśmy byli bardziej ludzcy.

Jak już wspomniałam, książka Michaela Endego przeszła niemal bez echa. Dziwne i smutne zarazem. Może dopiero teraz, kiedy nakładem „Naszej Księgarni" ukazuje się kolejny bestseller tego samego autora, czytelnicy przypomną sobie o „Momo". Nową książką jest „Nie kończąca się historia". Informowaliśmy już (zob. „Fantastyka" nr 3/85) o filmie pod tym samym tytułem, zrealizowanym na podstawie pierwszej części literackiego pierwowzoru. Filmie, pod którym Michael Ende nie pozwolił umieścić swojego nazwiska.

Książka, choć moim zdaniem nie dorównuje „Momo" , niewątpliwie jest warta przeczytania. Mamy tu znowu do czynienia z alegorią współczesnego społeczeństwa. Tym razem bohaterem jest mały chłopiec – Bastian, nie przystosowany do życia w naszym świecie (również, choć w inny sposób, nie przystosowana była Momo). Nie może on znaleźć zrozumienia w domu, pustym po śmierci matki. W szkole jest wyszydzany zarówno przez kolegów, jak i nauczycieli. Ucieka więc w Krainę Fantazji. Taka ucieczka nie jest pozbawiona niebezpieczeństw, daje bowiem złudne poczucie siły i bardzo trudno wrócić później do prawdziwego życia.

Świat Fantazji, a raczej – jak nazwał ją tłumacz (chyba niezbyt szczęśliwie) – Fantazjana jest obszarem bezkresnym (fantazja nie ma granic!), ale bynajmniej nie spokojnym. Zamieszkują ją stworzenia zarówno dobre, jak i występne, złośliwe i okrutne. Każde z nich ma takie samo prawo do życia. Ende stwarza całą plejadę postaci, wprowadzając do swojej książki nie tylko istoty znane z literatury, ale i kreując całkiem nowe stwory. Tak więc obok wróżek, rusałek i trolli spotykamy tu skałojada, miniludka, smoka szczęścia, morlę, nocnego zmora i wiele, wiele innych (scena rozmowy Prastarej Morli z Atreju jest chyba najlepszą z całej książki).

Bastian należy do świata realnego, zaś bohaterem Fantazjany jest Atreju. Choć są to dwie całkiem różne osoby, w pierwszej części książki Bastian wciela się w fantastyczną postać, jaką jest Atreju. Nie dlatego, że są podobni. Wręcz przeciwnie, nie mogą być bardziej różni i dlatego Bastian chciałby być takim jakim jest Atreju.

Fantazjana jest światem stworzonym przez ludzi, wykreowanym przez naszą wyobraźnię toteż, gdy się jej przyjrzeć uważnie, nie różni się tak bardzo od rzeczywistości.

Jednak każdą fantazję, każdą bajkę można zamienić na kłamstwo. A wtedy rzecz, która jest piękna staje się brzydka. To stwierdzenie pada w obu książkach Endego. Autor uważa, że kłamstwa tak mocno wdarły się do naszej świadomości, że nie umiemy odróżniać ich od fikcji. *„Nic nie ma większej władzy nad ludźmi niż kłamstwo. Bo ludzie żyją wyobrażeniami. A tymi można kierować".* Słowa te wkłada Ende w usta jednej ze swych postaci, stworzenia nie należącego ani do naszego świata, ani do Fantazjany.

Bastian wezwany do Krainy Fantazji, by ją uratować, wypełni swoje zadanie i stanie się jej bohaterem. W nagrodę otrzyma przyrzeczenie spełnienia wszystkich marzeń. Mogłoby się wydawać, że teraz cała historia zakończy się pomyślnie. A jednak czyhają na niego zupełnie nieprzewidziane niebezpieczeństwa. Nawet w tym bajkowym świecie za wszystko trzeba płacić. Trzeba też wiedzieć, czym się płaci. Gdy Bastian zrealizuje je drobne potrzeby, podsuwane przez chwilę bieżącą, prawdziwym pragnieniom, ukrytym głęboko w jego sercu zagrozi niespełnienie.

To, czego pragniemy naprawdę, jest często tak głęboko schowane, że przez całe życie nie możemy tego odkryć. Zdaniem Endego jest to najczęstszy błąd popełniany przez ludzi. Błąd, za który odpowiadamy tylko my sami i który tak bardzo waży na naszym życiu. Niewielu z nas potrafi przeżyć swoje dni tak, aby patrząc wstecz nie żałować swoich wyborów. Tego właśnie uczy się Bastian w Krainie Fantazji. I my czytając tę książkę.

„Nie kończącą się historię" można określić jako zwykłą bajkę, ale Michael Ende wierzy, że niektóre z książek mają moc magiczną oddziaływania na ludzi i taką właśnie książkę starał się napisać. Czy i na ile mu się to udało, ocenią czytelnicy.

Dorota Malinowska

Michael Ende *Nie kończąca się historia*. Przeł. Sławomir Błaut. Nasza Księgarnia, Warszawa 1985.

W jednym z ubiegłorocznych numerów „Fantastyki" pisaliśmy o przekładach i promowaniu literatury krajów socjalistycznych w Republice Federalnej Niemiec. Główną rolę w upowszechnianiu dorobku polskiej, radzieckiej, rumuńskiej, bułgarskiej i NRD-owskiej science fiction odgrywa w RFN monachijskie wydawnictwo HEYNE, które - publikując około 10 pozycji prozatorskich w miesiącu - utworzyło najobszerniejszą i najbardziej poczytną serię SF w kraju. W ramach wspomnianej serii, redagowanej przez znanego pisarza i krytyka SF Wolfganga Jeschkego, ukazały się m.in. książki Konrada Fiałkowskiego („Homo divisus", 1980; „Adam, jeden z nas", 1982; „Sam w Kosmosie", 1977: wybór z tomów „Wróble Galaktyki" i „Włókno Claperiusa"), Adama Hollanka („Jeszcze trochę pożyć", 1984) i Adama Wiśniewskiego-Snerga („Robot", 1980, „Według łotra", 1982). Przed czterema laty opublikowano również antologię polskiej prozy SF „Nowa cywilizacja" (1982) opracowaną przez Zbigniewa Przyrowskiego. Przed kilku miesiącami wydawnictwo HEYNE obchodziło jubileusz 25-lecia edycji science fiction i fantasy. Przypominając o tym wydarzeniu przedrukowujemy wywiad korespondenta „Börsenblatt" - Hartmuta Panskusa, przeprowadzony z wydawcą Rolfem Heynem i redaktorem Wolfgangiem Jeschkem. (red).

Jubileusz w wydawnictwie HEYNE

Hartmut Panskus: – *Powszechnie wiadomo, że jako młody chłopak był Pan wielbicielem powieści futurystycznych. Do ewentualnego wznowienia nadawałyby się z tamtych pozycji jedynie książki Bernharda Kellermanna i Hansa Dominika. Został więc Pan niejako zmuszony, by zająć się wydawaniem literatury fantastyczno-naukowej. Ale wtedy, kiedy zdecydował się Pan na ten krok, ryzykował Pan niemało.*

Rolf Heyne: – W 1960 roku science fiction była jeszcze eksperymentalnym terenem, zdobywającym sobie odbiorców i miłośników. Ten gatunek literacki nie miał wówczas u nas dużego znaczenia, czego przyczyną był niski poziom książek, jak również ich krótkotrwała żywotność.

– *Musiał Pan przede wszystkim uzbroić się w cierpliwość?*

R.H.: – Chciałem postawić na tę literaturę i dopiąłem swego, gdyż nie brakowało mi ani pasji, ani motywacji działania. Oczywiście nie było to sprawą łatwą, jako że rynek księgarski nie czekał na nas z otwartymi ramionami. Wytrwaliśmy jednak w naszym przedsięwzięciu mimo wielu kłopotów. Rzeczywiście trzeba było wielu lat, aby nakłady science fiction zdołały się ustabilizować. Po nowym czasie można już było mówić o kręgu czytelników SF, obejmującym 20.000 do 30.000 fanów. Było to coś w rodzaju bariery dźwięku, trudnej do przekroczenia.



Rolf Heyne

– *Czy mylę się twierdząc, że ostatnie lata przyniosły przełom w tej dziedzinie, że science fiction zdobyła nowych czytelników, przede wszystkim dzięki sukcesom filmowym?*

R.H.: – Zawsze dążyliśmy do tego, aby zwiększać krąg odbiorców. Sukcesy filmów i książki „filmowe", mam na myśli np. „Fahrenheit 451" Raya Bradbury'ego, zdziałały bardzo dużo. W roku 1960, kiedy debiutowaliśmy z literaturą science fiction, na rynku dominowała powieść kryminalna, dziś sytuacja jest zupełnie inna.

Wolfgang Jeschke: – Należałoby wspomnieć również o rocznikach SF, które odniosły olbrzymi sukces. Sądzę, że dzięki tym rocznikom – adresowanym nawet do zupełnych ignorantów SF – udało się nam pozyskać nowych zwolenników gatunku. Poza tym spełniliśmy postulaty księgarzy, recenzentów, bibliotekarzy i nauczycieli w sprawie wyodrębnienia tytułów należących do klasyki: powieści ukazujące się w serii „Bibliothek der Science Fiction Literatur" każdy księgarz może polecać klientom na ślepo.

– *Wróćmy do początków. Pierwsze tytuły SF ukazywały się nakładem HEYNE w serii ogólnej...*

W.J.: – ... do 1964 roku. Potem plan wydawniczy rozrósł się tak bardzo, że konieczny stał się podział strukturalny, uwzględniający grupy tematyczne. W ten sposób powstała seria science fiction o własnej numeracji. W pierwszym roku ukazały się trzy książki SF. W 1963 było ich już dziesięć, w 1964 – 18. Obecnie publikujemy rocznie ponad 120 tytułów, które ukazują się jako „Heyne Science Fiction", „Heyne Fantasy" i w innych podgrupach, w „Bibliothek der Science Fiction Literatur" oraz w serii „Welten der Zukunft", redagowanej wspólnie z Philippem Morrisem.

– *Ile tytułów science fiction ukazało się w ciągu tych 25 lat w wydawnictwie HEYNE i jak wysoki jest ich nakład łączny?*

R.H.: – Nie licząc wznowień, wydaliśmy ponad 1200 tytułów o łącznym nakładzie ponad 25 milionów egzemplarzy.

– *Olbrzymi dorobek, który można stale wznawiać na przykład w tomikach nowej serii „Welten der Zukunft" („Światy przyszłości").*

R.H.: – Po prostu dorastają nowe pokolenia czytelników, mających prawo poznać również starsze książki, zwłaszcza te, które mają określoną wartość i zdały egzamin czasu. Takie pozycje wydajemy w nowej formie. Inne pozycje ulegają zapomnieniu, jak się to zdarza w każdym gatunku literackim. Liczba dostępnych w sprzedaży tytułów wynosi 350.

– *Zmienił Pan – właściwie dlaczego? – nazwę nowej serii, której trzy pierwsze tomy ukazały się jako „Chroniken" („Kroniki"), na: „Welten der Zukunft" („Światy przyszłości"), poza tym szatę edytorską i... cenę.*

R.H.: – Przy obróbce nowego produktu nie jest to proces niezwykły. Doszliśmy do przekonania, że to i owo można udoskonalić, znaleźliśmy też sposób, aby nadać wspomnianej serii rys charakterystyczny. Wprawdzie poszczególne tomy podrożały, ale cena nie jest wygórowana, zważywszy, że każdy z nich zawiera trzy powieści.

– *Zajmijmy się teraz innym aspektem: science fiction ma opinię – przynajmniej u nas w kraju – literatury trywialnej.*

R.H.: – Ludzie używają określenia „literatura trywialna" zbyt niefrasobliwie. Zwłaszcza Niemcy dzielą książki na dwie kategorie: literaturę rozrywkową i ambitną. W krajach anglosaskich nie ma takiego zwyczaju. Uznaje się tam i akceptuje wszystko, co jest dobre, bez względu na gatunek literacki. Musieliśmy wydać walkę niemieckim przesądom. Science fiction jest również literaturą ambitną, albo powiedzmy tak: może być literaturą ambitną.



Wolfgang Jeschke

W.J.: – Powieści kryminalne piszą autorzy wybitni, jak Patricia Highsmith czy Georges Simenon, ale także bezwzględni grafomani. Rzadko przyjmuje się do wiadomości, że analogiczna sytuacja istnieje również w SF.

R.H.: – Fantastyką naukową parają się znani, dobrzy pisarze, także niemieccy. Na pierwszym miejscu można wymienić Carla Amery'ego, który swoją książką „Der Untergang der Stadt Passau" („Zagłada miasta Passau") udowodnił, jakie możliwości tkwią w tym gatunku literackim.

W.J.: – Amery to bardzo charakterystyczny przykład. Przez pewien czas przebywał u Amerykanów jako jeniec, tam zapoznał się z literaturą SF, a obecnie traktuje ją bez żadnych uprzedzeń – tak jak postępuje się w krajach anglo-amerykańskiego obszaru językowego. Proszę przypomnieć sobie Huxleya albo Doris Lessing, która od pięciu lat pisze niemal wyłącznie science fiction. Podczas gdy u nas SF jest traktowana z pewną rezerwą, w innych krajach wykorzystuje się ją do

wyrażania uzasadnionych obaw o przyszły kształt świata.

Science fiction jako medium dla – zacytuję tu Wolfganga Jeschkego – „problemów związanych z przyszłością, które już dziś rzucają swój cień"?

R.H.: – Skrajności należy uwydatniać. Istnieją książki SF, napisane jako czysta, pasjonująca rozrywka i nie ma w tym nic zdrożnego. Ale z drugiej strony gatunek ów może ukazywać polityczne lub cywilizacyjne perspektywy przyszłości. Są to interpretacje godne refleksji, o ile zostają oparte na podstawach naukowych.

– Znawcy tworzą zamknięty krąg. Pozostałym dostęp do SF utrudnia niedostatek informacji.

W.J.: – Ta sytuacja jest godna ubolewania, a wiąże się chyba ze specyficznym stanem wykształcenia w naszym kraju. Tu niezbędny jest ktoś, kto zna się na naukach przyrodniczych, to znaczy: kto przynajmniej wie, gdzie mógłby znaleźć potrzebną informację. Nie jest przecież żadną tajemnicą, że ludzie z wykształceniem humanistycznym stają nieraz bezradnie przed problemami natury przyrodniczej. Science fiction zajmuje się dziedzinami, w których zaznaczają się nowe prądy i nie-kiedy zdarza się nawet, że specjaliści nie wiedzą, czy mają do czynienia z terminologią fikcyjną czy prawdziwą. Co do recenzentów, którzy powinni przekazać informację czytelnikom: humaniści nie omawiają tej literatury [illegible]

Theodore Sturgeon

Dnia 8 maja 1985 r. w Oregonie zmarł w wieku 67 lat Theodore Sturgeon. Urodził się 26 lutego 1918 r. w Nowym Jorku. Od 1939 r. pisał utwory science fiction i fantasy. Był jednym z odkryć wydawcy Johna W. Campbella („Astounding Science Fiction" i „Unknown"), ale w latach pięćdziesiątych publikował niemal wyłącznie w innych magazynach SF, przede wszystkim w „The Magazine of Fantasy and Science Fiction" oraz w „Galaxy". Obok Isaaca Asimova, Roberta A. Heinleina i Alfreda Eltona van Vogta był największym gwiazdorem „złotego" okresu „Astounding". Jego powieść „More than Human", za którą w 1954 r. otrzymał nagrodę International Fantasy Award, jest zaliczana do klasyki SF. Za opowiadanie „Slow Sculpture" został w 1970 r. wyróżniony nagrodami Hugo i Nebula. Sturgeon zyskał sławę przede wszystkim jako autor krótkich opowiadań. Jego utwory były dopracowane pod względem stylistycznym, pełne zrozumienia wobec spraw ludzkich, ale często nazbyt sentymentalne. W sumie napisał około 180 opowiadań, które ukazywały się w niezliczonych antologiach. W ostatnich latach nie tworzył już niemal nic. W najbardziej płodnym okresie lat pięćdziesiątych wydał najciekawszą po „More than Human" powieść „The Dreaming Jewels" (1950). Ostatnio Sturgeon zajmował się przede wszystkim pisaniem recenzji i wstępów, między innymi do serii MacMillana „Best of Soviet Science Fiction". W „Fantastyce" nr 8/85 ukazało się opowiadanie Sturgeona „Xanadu".

- najlepsza minipowieść: John Varley – „Press enter...",
- najlepsze opowiadanie: Lucius Shepard – „Salvador",
- najlepsza nowela: Octavia E. Butler – „Bloodchild",
- najlepszy wybór opowiadań: Fritz Leiber – „The Ghost Light",
- najlepsza antologia: Michael Bishop, wydawca „Light Years and Dark",
- najlepszy ilustrator: Michael Whelan,
- najlepszy magazyn: „Locus",
- najlepsze wydawnictwo: Ballantine/Del Rey.

★

Academy of Science Fiction and Horror Films w Los Angeles przyznała w czerwcu 1985 nagrody „Saturn". Oto laureaci:

- najlepszy film SF: „The Terminator",
- najlepszy film fantasy: „Ghost Busters",
- najlepszy film horror: „Gremlins",
- najlepszy aktor: Jeff Bridges („Starman"),
- najlepsza aktorka: Daryl Hannah („Splash"),
- najlepszy reżyser: Joe Dante („Gremlins").

★

Nagrodę „Pilgrim Award" za rok 1985 otrzymał Samuel R. Delany za opracowania dotyczące literatury SF.

★

Małżeńska para Johanna i Gün[illegible] nych NRD-owskich autorów S[illegible] 1985 r. nagrodę miasta Wetzlar [illegible]

[illegible]er Braun, zna-[illegible], otrzymała w [illegible] zbiór krótkich

Wiosną 1947 r. Mohamed ed-Dib, młody Beduin ze szczepu nomadów Taamireh, szukając jednej ze swoich owiec, która zaginęła gdzieś w skalistych fałdach wysokiego zachodniego brzegu Morza Martwego, trafił przypadkowo do groty położonej niedaleko miejscowości noszącej nazwę Kirbet Qumran. Słowo „kirbet" znaczy po arabsku ruina, Qumran zaś to nazwa suchej doliny, będącej częścią pustyni Judejskiej. Grota, do której trafił Mohamed ed-Dib, znajduje się ok. 1500 metrów na północ od Qumran, ok. 12 kilometrów od Jerycha i ok. 1000 metrów na zachód od brzegów Morza Martwego. Owcy swojej Mohamed ed-Dib nie odnalazł, natomiast znalazł coś, czego nie szukał: skarb, którego wartość naukową, historyczną, kulturową trudno przecenić. Odkrył bowiem prawdziwą bibliotekę w postaci wielkiej liczby manuskryptów. Manuskrypty te, spisane na skórze zrolowanej w zwoje i owiniętej płótnem, były umieszczone w glinianych przykrytych pokrywami dzbanach. Już na pierwszy rzut oka nie ulegało wątpliwości, że manuskrypty te są bardzo stare i że nienaruszone przeleżały w grocie wiele, wiele wieków.

Co kryją zwoje z Qumran

Arnold Mostowicz

Odkrycie to zbulwersowało świat nauki. Podobne skarby spoczywać mogły przecież i w innych grotach tego rejonu. Od 1947 do 1958 roku przeszukano dokładnie cały teren Qumran i znajdujące się tam groty. W dziesięciu z nich odnaleziono dalsze zwoje z cennymi manuskryptami. W sumie odkryto podczas tych skrupulatnych poszukiwań 600 manuskryptów – lepiej lub gorzej zachowanych.

Jaka jest ich treść? Przede wszystkim chodzi tu o teksty biblijne, konkretnie – teksty Starego Testamentu oraz teksty związane z działającą między III w.p.n.e. a I w.n.e. żydowską sektą Esseńczyków. Do tekstów związanych z działalnością Esseńczyków zalicza się komentarze biblijne, reguły przyjmowania adeptów do sekty, reguły dyscyplinarne, traktaty moralne, a nawet instrukcje wojskowe.

Wszystkie te odkrycia wskazywały, że właśnie tutaj w Kirbet Qumran znajdował się klasztor Esseńczyków, którego resztki zachowały się po dziś dzień. Przypomnijmy pokrótce, że o Esseńczykach pisali Józef Flawiusz, Filon, a nawet Pliniusz Starszy. Była to sekta o regule bardzo surowej zarówno ze względu na ortodoksję jak i etykę. Esseńczycy stanowili przeciwwagę dla dwóch istniejących wówczas w Judei sekt polityczno-religijnych: faryzeuszy (z których się wywodzili) i saduceuszy.

Wróćmy jednak do manuskryptów. Oprócz zwojów zachowanych w całości, większość to fragmenty skóry. Niektóre tak niewielkie, że mieści się na nich zaledwie kilka liter. Takich fragmentów zebrało się kilkadziesiąt tysięcy! Ułożenie ich w jako tako zwartą całość stanowi łamigłówkę o niewiarygodnie dużym stopniu trudności.

Z miejsca przystąpiono do badań nad skarbem. Ale początkowo nie wszystkie manuskrypty były zebrane w jednym miejscu. Przypomnijmy, że w ciągu lat, które upłynęły od 1947 r., zmieniły się tu gwałtownie warunki polityczne. W 1947 r. nie istniało jeszcze państwo Izrael, aczkolwiek istniał uniwersytet hebrajski w Jerozolimie. Dzisiaj na uniwersytecie tym są zgromadzone prawie wszystkie odnalezione manuskrypty, ale wcale nie jest pewne, że przyniosło to korzyść badaniom naukowym.

Treść manuskryptów z Qumran ma, jak łatwo się domyślić, olbrzymie znaczenie zarówno dla chrześcijan, jak i dla Żydów. Nic więc dziwnego, że jedni i drudzy są nader ostrożni i oszczędni, jeśli idzie o komentarze. Po pierwszym okresie euforii, o ich treści i znaczeniu pisze się coraz mniej, a nawet próbuje się minimalizować znaczenie odkrycia.

Aby relację niniejszą możliwie uporządkowac, wyjaśnijmy pokrótce, w jakich to dziedzinach wiedzy znaleziska z Qumran mogą odegrać ważną rolę, a nawet zrewolucjonizować wiele poglądów nie tylko na dzieje wschodnich terenów Morza Śródziemnego, ale w ogóle na dzieje ludzkiej cywilizacji.

Po pierwsze – chodzi o rodowód chrześcijaństwa. Przebadanie manuskryptów na zawartość węgla radioaktywnego C14 wykazało, że manuskrypty te pochodzą z pierwszego wieku naszej ery (założony błąd ±200 lat), a więc z okresu powstania chrześcijaństwa i zburzenia Jerozolimy przez Rzymian (70 r.). Nie ulega już raczej wątpliwości, że pierwsze sekty chrześcijańskie były spadkobierczyniami sekt Esseńczyków. O ile – rzecz ciekawa – zarówno o faryzeuszach, jak i o saduceuszach dużo mówi się w Nowym Testamencie, o tyle o Esseńczykach – ani słowa. Czy sam Jezus wywodził się z Esseńczyków – trudno powiedzieć, aczkolwiek, warto przypomnieć, że to Esseńczycy stosowali rytualne ablucje i że z pewnością jednym z Esseńczyków był Św. Jan Chrzciciel. Pobyt Jezusa na pustyni (próba kuszenia) wskazywałby na bliski kontakt z Esseńczykami, bowiem właśnie na terenie pustyni Judejskiej znajdowały się ich liczne klasztory i osiedla. Zresztą w Nowym Testamencie jest nawet mowa o skalistym brzegu morskim, a takim jest z pewnością Qumran. Z tego wszystkiego łatwo zrozumieć, że dla dziejów chrześcijaństwa i jego rodowodu, manuskrypty z Qumran mogą mieć olbrzymie znaczenie.

Po drugie – odnalezione manuskrypty zawierają opisy pewnych wydarzeń w okresie panowania Hasmoneuszy. O wydarzeniach tych dotychczas niewiele wiedziano.

Po trzecie – niezmiernie znaczenie mają odnalezione fragmenty manuskryptów biblijnych dla poznania tekstów ksiąg uznanych za święte przed rozproszeniem Żydów po klęsce w wojnie z Rzymianami. Tutaj kilka słów wyjaśnienia.

W pierwszym wieku naszej ery zostały zakończone prace synodu rabinów w Jabne nad ustaleniem kanonicznego tekstu Biblii. Utrwalanie tych tekstów w języku hebrajskim rozpoczęto dopiero w VI w., a zakończono w X w. Zajęło to więc, jak widzimy, pięć wieków! Ustalony i zatwierdzony wówczas tekst nosi nazwę tradycyjnego. Tradycja – to po hebrajsku *masora*. Tekst ten nazywany jest więc najczęściej tekstem masoretycznym, a jego autorzy – masoretami. Ustalony tekst miał taką moc obowiązującą, że religijne zwierzchnictwo żydowskie wszędzie, gdzie tylko mogło, niszczyło i nakazywało zniszczenie egzemplarzy Biblii zawierających inne niż ustalony przez masoretów tekst względnie jakieś inne szczegóły czy nawet księgi. Tak więc wszystkie egzemplarze Biblii, które dotarły do naszych czasów (z wyjątkiem manuskryptów z Qumran) są identyczne z tekstem masoretycznym. Inne teksty hebrajskie nie są dzisiaj znane. Stąd takie znaczenie manuskryptów z Qumran, które nie tylko dowodzą, jak stara jest Biblia, ale dają do ręki uczonym materiał porównawczy – znacznie starszy od masoretycznego.

To jeszcze nie wszystko. Teksty z Qumran też nie są jednolite, jeśli chodzi o ich charakter, gdyż zawierają nie jedną, lecz dwie inne (poza masoretyczną) wersje Starego Testamentu: samarytańską – uznającą tylko Pięcioksiąg, oraz wersję tzw. aleksandryjską. Ta ostatnia powstała w Aleksandrii i stała się podstawą dokonanego w II i III w.p.n.e. tłumaczenia Starego Testamentu na język grecki. Tłumaczenie to znane jest pod nazwą Septuaginty. Wszelkie rozbieżności są tu związane przede wszystkim z faktem rozproszenia Żydów oraz podziałem wyznawców na różne grupy czy sekty.

A więc manuskrypty z Qumran zawierają najstarsze istniejące dzisiaj na świecie teksty Starego Testamentu. Teksty bardziej autentyczne od znanych nam, masoretycznych.

Po czwarte – wreszcie (punkt ten wiąże się częściowo z poprzednim): wśród manuskryptów z Qumran znajdują się całe księgi czy obszerne teksty, które w ogóle nie weszły w skład Biblii masoretycznej, jak też zresztą nie weszły także w skład Biblii chrześcijańskiej. Te poszczególne teksty noszą – u protestantów – nazwę pseudoepigraficznych, zaś u katolików – nazwę apokryfów. Termin „apokryf" oznacza utwór wątpliwego autorstwa, falsyfikat. I oto okazuje się, że wiele pism, które uznano za apokryfy, znaleźć można w manuskryptach zawierających teksty biblijne sprzed dwóch tysięcy lat!

Wydaje się, że problem apokryfów, które okazują się nie być apokryfami, to sprawa jedna z najważniejszych, jeśli idzie o odnalezione w Qumran manuskrypty. Tym większe więc zdumienie musi budzić fakt, że teksty owych apokryfów odnalezionych w Qumran nie zostały dotychczas ani opublikowane, ani skomentowane. A przecież są to utwory niezmiernie ważne, i to nie tylko dla historii Żydów czy dla historii chrześcijaństwa.

Nas oczywiście najbardziej interesują owe teksty, których nie ma w opracowaniu masoretycznym Biblii, a więc w pierwszym rzędzie „Księga Henocha".

„Księga Henocha" jest w Europie od jakichś dwustu lat jako tako znana. Treść jej została opublikowana po raz pierwszy przed 135 laty we Francji. Z Biblii została prawdopodobnie usunięta przez masoretów. Nie umieścili jej w Biblii chrześcijanie. Natomiast po dziś dzień stanowi świętą księgę Koptów.

„Księgi Henocha" znaleziono w Qumran kilkanaście egzemplarzy, co świadczy o tym, iż przed 2000 lat przywiązywano do niej wielką wagę.

Kim był według świadectwa Biblii Henoch? Z V rozdziału Genezis dowiadujemy się, że był siódmym z kolei patriarchą „licząc od Adama". Syn Jereda, był ojcem Matuzalema, dziadkiem Lamecha i pradziadkiem Noego. O każdym z patriarchów, poprzedników Henocha, jak też i o Matuzalemie, i Lamechu tekst biblijny szczegółowo informuje: ile lat żyli i w jakim wieku zmarli. Na przy-

kład: *„I stały się wszystkie dni Jaredowe dziewięćset sześćdziesiąt dwa lata i umarł”.* (Cyt. wg tłum. Wujka). Natomiast o Henochu informacja brzmi zupełnie inaczej: *„I chodził Henoch z Bogiem i nie było go widać, bo wziął go Bóg”.* O nim jednym z całej wymienionej we wspomnianym rozdziale dziewiątki patriarchów tekst biblijny nie informuje, że umarł, lecz, że „wziął go Bóg”.

Skoro już jesteśmy przy Biblii, przypomnijmy jeszcze początek następnego, to jest VI rozdziału Genezis:

„A gdy się ludzie poczęli rozmnażać na ziemi i zrodzili córki; Widząc synowie Boży córki ludzkie, iż były piękne, wzięli sobie za żony ze wszystkich, które obrali; I rzekł Bóg: Nie będzie trwać duch mój na wieki w człowieku, gdyż jest ciałem i będą dni jego sto i dwadzieścia lat: A Olbrzymowie byli na Ziemi w owe dni; bo gdy weszli synowie Boży do córek ludzkich, a one porodziły, ci są mocarze od wieku, mężowie sławni; widząc Bóg, że wiele było złości ludzkiej na ziemi, a wszystka myśl serca była napięta ku złemu po wszystek czas”.

Co stało się później – wiadomo. Potop, który spowodował wyginięcie wszystkiego, co żyje, z wyjątkiem rodziny Noego i zwierząt, które znalazły się z nim na arce.

Otóż „Księga Henocha” stanowi komentarz do tych wydarzeń. Zanim jednak wyjaśnimy w jakim kierunku idzie ten komentarz, przypomnijmy pewien ważny – ba, podstawowy! – fakt. Otóż słowo, które zostało przez Wujka (i przez tłumaczy na inne języki również) przełożone jako „Olbrzymowie”, po hebrajsku brzmi *nefilim*. A *nefilim* znaczy dosłownie: „ci, co spadli z góry”. A więc różnica dość istotna.

Dodajmy jeszcze, że niektóre fragmenty „Księgi Henocha” znaleźć można również w Kabale (w „Księdze Zohar”) i w innych apokryfach („Księga XII Patriarchów”). Jest wreszcie o Henochu mowa i w Nowym Testamencie. Inaczej mówiąc, jest to postać ważna, która musiała odegrać, przynajmniej zgodnie z treścią legendy, znacznie większą rolę niż to wynikałoby z lapidarnej informacji zawartej w V rozdziale Genezis.

„Księga Henocha” nie stanowi spójnej całości. Składają się na nią relacje podane w pierwszej osobie (przez Henocha), relacje dotyczące Henocha, podane w trzeciej osobie, opowieści Noego o potopie (przepowiedzianym przez Henocha) i wreszcie prawdziwy wykład astronomiczny archanioła Uriela.

Natomiast głównym wątkiem Księgi jest relacja o „zbrodni i karze”. Konkretnie mówiąc wyjaśnienie, jaka to zbrodnia została popełniona, którą Pan, jak wiemy, ukarał tak srogo. Otóż interpretacja Henocha różni się całkowicie od relacji biblijnej. Relacja biblijna mówi o tym, że *„ziemia skaziła się i napełniła nieprawością”*, że *„wiele było złości ludzkiej na ziemi”* itd., itd. Inaczej mówiąc, tak złym okazał się człowiek, iż trzeba było usunąć cały gatunek ludzki. Tymczasem w „Księdze Henocha” mowa jest wyłącznie o zbrodni dokonanej przez owych Synów Bożych, nazywanych tam jeszcze „strażnikami”, zbrodni niesłychanej, potwornej, polegającej na tym, że owi Synowie Boży pożenili się z córkami ziemi i mieli z nimi potomstwo...

Motyw ten powtarzany jest w „Księdze Henocha” po wielekroć. Owi Synowie Boży, owi strażnicy przekroczyli wyraźnie zakaz, biorąc sobie Ziemianki za żony. Oczywiście nie bardzo nam się to wydaje moralne, że za zbrodnie strażników odpowiadają ci, którzy mieli być strzeżeni, ale tak to wynika z „Księgi Henocha”. Czyżby więc chodziło tu tylko o przekroczenie zakazu? A może to przekroczenie zakazu i spłodzenie mieszanego bosko-ludzkiego potomstwa psuło czyjeś plany? Albo nie tyle psuło plany, ile zniekształcało doświadczenie? Marnotrawiło cały wysiłek biologiczny na stworzenie istoty ludzkiej? Nie wiem. W każdym razie, jeśli idzie o przyczyny potopu, różnica między Biblią oficjalną a „Księgą Henocha” jest zasadnicza.

Drugim obszernym tematem „Księgi Henocha” jest opis podróży patriarchy „po królestwie niebieskim” aż do granic świata. Relacja to niezmiernie ciekawa i warto by tu było niejeden jej fragment zacytować. W każdym razie siedzibą Pana jest, jak się wydaje, góra Hermon na Synaju, co w niezwykły sposób koreluje z egipskimi „tekstami piramid” i opisem drogi na wschód zmarłego faraona. A oto urywek z rozdziału XIV:

„Znalazłem się w szerokim pomieszczeniu, którego podłoga była z kamieni kryształu. Ściany również były z kryształu, tak jak i fundamenty. Powała utworzona była z poruszających się gwiazd i z błyskawic światła. Płomienie drgały wokół murów i drzwi... Kiedy wstąpiłem do tego pomieszczenia, było ono zarówno gorące jak ogień i zimne jak lód. Nie było tu śladu życia”.

Oto fragment z rozdziału XXIV:

„Anioł mi odpowiedział: Góra, którą widzisz i której szczyt sięga tronu Pana, będzie miejscem, które wykorzysta Jego świętość, gdy postanowi zejść z góry, gdy przybędzie, by odwiedzić ziemię...”

Wszystko to relacjonuje Henoch w formie opowieści spisanej na użytek swego syna Matuzalema. Pod koniec księgi znajduje się obszerny (105) rozdział, w kórym bez widocznego związku z tym, co było uprzednio, przedmiotem relacji jest historyjka, którą nazwać można by „niepokojami Lamecha”. (Być może ze sprawą tą związana jest treść owego apokryfu, noszącego pierwotnie nazwę „Apokalipsy Lamecha”, a później „Księgi Genezis”). Otóż opowiada Henoch, że odwiedził go Matuzalem i opowiedział o zaniepokojeniu jego syna Lamecha z powodu narodzin niezwykłego potomka. Potomek jest jak gdyby innej zupełnie rasy, o innej karnacji skóry, a nawet niezwykłej inteligencji, skoro zaraz po urodzeniu przemówił... Lamech zastanawia się, czy to rzeczywiście jego syn czy też może płód któregoś z „Synów Bożych”, o których skądinąd wiemy jak sobie z Ziemiankami swawolnie poczynali.

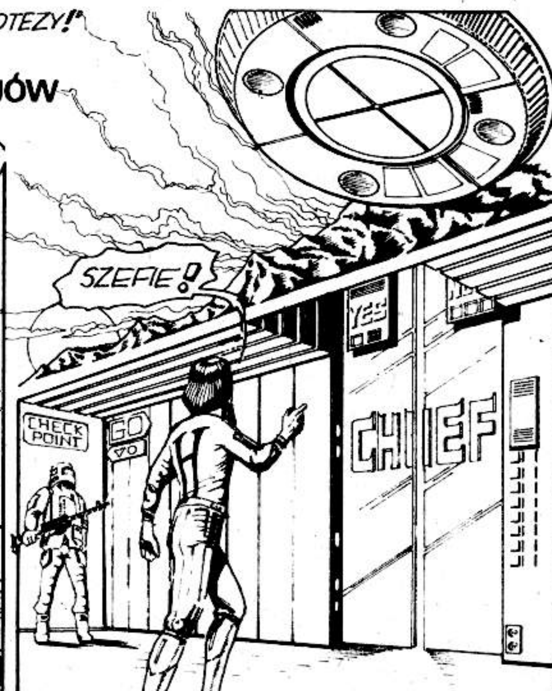
Henoch uważa tę sprawę za wystarczająco poważną, by się udać z nią do Pana. (Z całej Księgi wywnioskować można, że chodzi tu jak gdyby o szefa ekspedycji, głównego dyspozytora czy wręcz wodza owych strażników, którzy przekroczyli swe uprawnienia). Tam, czyli w samej centrali, otrzymuje Henoch wyjaśnienia, które przekazuje Matuzalemowi. A więc jest to mimo wszystko syn Lamecha. Syn, który będzie jedynym ocalałym z potopu i który będzie kontynuować gatunek ludzki.

Ciekawe, że w owym fragmencie Księgi, gdzie znajduje się opowieść Noego o potopie, pyta on Henocha o przyczynę tej kary. Henoch wyjaśnia, oczywiście, na czym polegała zbrodnia strażników, ale dodaje także, że synowie Ziemi musieli zginąć, gdyż wiedzieli już zbyt wiele. Spada więc na nich kara za nadmiar wiedzy! Domyślić się można z poprzednich fragmentów Księgi, że owi „strażnicy” przekroczyli zakazy nie tylko dlatego, że zapłodnili córki Ziemi, ale i dlatego także, że podzielili się swoją wiedzą z Ziemianami. (Już raz taki nadmiar wiedzy został ukarany: za to przecież wygnano Adama i Ewę z raju...). A więc ze strony „strażników” było to przekroczenie dyscyplinarne, być może takie odstępstwo od planów związanych z losem pokolenia Adama, że innego sposobu niż potop naczelny szef nie widział...

W sposób nader fragmentaryczny, oczywiście, streściłem tutaj „Księgę Henocha”. Są w niej rozdziały naprawdę arcyciekawe, jak chociażby ten, gdzie wymienione są gałęzie wiedzy, której podstawy poszczególni Synowie Boży przekazali ludziom. Jednym słowem tekst to naprawdę niezwykły, zastanawiający. Nie zapominajmy, że poświęcony jest ostatecznie jednej z dwóch (tylko) postaci (drugą jest nie byle kto, bowiem prorok Eliasz), o których Stary Testament *expressis verbis* powiada, że wzniosły się do nieba. Jeśliby więc chcieli zwolennicy hipotez paleoastronautycznych odnaleźć argumenty potwierdzające ich przekonania, to cała „Księga Henocha”, która przed drugim zburzeniem Jerozolimy była najprawdopodobniej częścią składową Biblii, może wraz z fragmentami V i VI rozdziału Biblii, znakomicie do celu tego służyć. A jeśli połączyć to z „tekstami piramid” czy z „Księgą Zohar” (Kabałą), otrzymamy niezwykłą całość...

Oto dlaczego niepokój wzbudzić musi fakt utrzymania w tajemnicy treści odnalezionych w Qumran manuskryptów. A może dlatego zwleka się z ich publikacją, że psują nam obraz dziejów rodu ludzkiego zarówno ten skreślony przez Biblię, jak i ten nakreślony przez naukę?... ■







Ostrołęckie Dni Fantastyki

Już kilkakrotnie przy różnych okazjach krytykowałem imprezy adresowane wyłącznie do członków klubów. Nie chodziło mi przy tym o słaby program czy złe przeprowadzenie samej imprezy, ale o to, że tego typu spotkania straciły już swoją autentyczność i rolę propagatora fantastyki. W numerze 1/86 „Fantastyki" zaryzykowałem nawet stwierdzenie, że w tej chwili ma sens tylko organizowanie imprez przeznaczonych głównie dla miłośników fantastyki nie zrzeszonych w klubach oraz imprez otwartych, adresowanych do konkretnego środowiska (miasto, osiedle itp.).

Wnioski chyba podobne do moich wyciągnęła część działaczy klubowych, gdyż coraz więcej imprez przybiera właśnie taką postać. Tydzień po Dniach Fantastyki w Warszawie (organizowanych przez naszą redakcję, PSMF oraz Dom Sztuki SBM „Ursynów"; patrz „Fantastyka" nr 2/86) klub PSMF „Avallon" w Ostrołęce zorganizował w dniach 23–24 listopada 1985 r. imprezę o identycznej nazwie i podobnym charakterze. Główną atrakcją tego spotkania było, ciągle jeszcze niezastąpione, wideo. Mimo że zestaw filmów był dość standardowy (m.in. „Galactica", „Omen", „Conan") to jednak przeglądowi towarzyszyło prawdziwe zainteresowanie, a sala obliczona na ponad trzysta osób ledwie mogła pomieścić wszystkich chętnych. Nie zabrakło w Ostrołęce również gier komputerowych, których pokazy trwały niemal non-stop przez te dwa dni. Atrakcyjnie prezentował się wystrój plastyczny sali widowiskowej oraz mini-wystawa prac graficznych młodego członka tamtejszego klubu Radosława Jurkiewicza. W programie znalazła się także giełda książek SF oraz konkurs wiedzy o fantastyce. Moim zdaniem zabrakło w czasie ostrołęckich Dni Fantastyki większej liczby spotkań (odbyło się tylko jedno – z przedstawicielem naszej redakcji), a przecież równie cenna, choć może mniej atrakcyjna od filmu jest rozmowa z pisarzem czy wydawcą.

W sumie, mimo że była to pierwsza tak duża impreza tego klubu, to na pewno spełniła swoje zadanie. Mieszkańcy Ostrołęki mieli okazję bliżej zapoznać się z fantastyką, a klubowi przybyło nowych członków. Nie bez znaczenia dla sprawnej organizacji była pomoc tamtejszego Wojewódzkiego Ośrodka Kultury, który udostępnił nie tylko swoje pomieszczenia, ale także sprzęt wideo i aparaturę nagłaśniającą.

Rada klubu „Avallon", zadowolona z przebiegu tych Dni Fantastyki, zapowiedziała podobną imprezę w roku 1986, pozostaje więc życzyć równie, a może jeszcze bardziej udanego jej przebiegu.

Nowy klub

Na początku grudnia 1985 r. do Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki wstąpił działający już od dłuższego czasu i mogący poszczycić się pewnym dorobkiem, kielecki klub miłośników fantastyki „Nadir".

Zjazd PSMF

Wyznaczony już został termin Zjazdu Delegatów Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki. Odbędzie się on w Zielonej Górze w dniach 15–16 marca 1986 r. Udział weźmie około 60 delegatów ze wszystkich oddziałów PSMF. Zaplanowane są też imprezy towarzyszące dla mieszkańców Zielonej Góry.

Mak

1969 (dokończenie)

„Zagadki nauki" (MS):

690. BALIŃSKA-WUTTKE Krystyna: *Powstanie i budowa kontynentów.* Warszawa. Wiedza Powszechna. 16° ss.168, nlb. 4, mapa. 10 000 egz. – Omega.
691. GARDNER Martin *Zwierciadlany Wszechświat.* Tłum. z ang. Zbigniew Majewski. Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 8° ss.357, nlb. 1. 5 000 egz. – Biblioteka Problemów t. 138.
692. HANSEL C[harles] E[duard] M[ark]: *Spostrzeganie pozazmysłowe.* Tłum. z ang. Teresa Kołakowska. Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 8° ss. 369, nlb. 7. 5 000 egz. – Biblioteka Problemów, t. 141.
693. HEUVELMANS Bernard: *Na tropie nieznanych zwierząt.* Tłum. z ang. Helena Kulmowa. Wyd. II. Warszawa. Wiedza Powszechna. 8° ss. 510, nlb.2, tabl. 16, mapy. 15 000 egz. – Złota Seria („Wendtowska").
694. IŁOWIECKI Maciej: *Nasz wiek XX.* [Felietony.] Warszawa. Wiedza Powszechna. 16° ss. 385, nlb. 2. 10 000 egz. – MS/F.
695. LUCE Gay Gaer, SEGAL Julius: *Sen, marzenia senne i czuwanie.* Tłum. z ang. Stanisław Bogusławski. Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 8° ss. 376, nlb.7. – Biblioteka Problemów, t. 135.
696. WEINFELD Stefan: *W poszukiwaniu innych światów.* Warszawa. Wyd. MON. 16° ss. 145, nlb. 3. Seria „Sowy" (BPWT).

Futurologia (F):

IŁOWIECKI M.: *Nasz...* – zob. MS.
697. SICIŃSKI Andrzej: *Prognozy a nauka.* Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 204, nlb.4. 5 000 egz. – Problemy, Polemiki, Dyskusje.
698. WIELOWIEYSKI Andrzej: *Przed trzecim przyśpieszeniem. Szkice do zagadnień rozwoju społecznego.* Warszawa [właść. Kraków]. Wyd. Znak. 16° ss. 423, nlb.1, tabl.1. 5 300 egz. – Biblioteka Więzi, t. 24.
699. *ŻYCIE i człowiek.* T. VIII: *CZŁOWIEK Przyszłości.* Aut.: Jean Rostand [i in.]. Red.: Jean Rostand i Alfred Delaunay. Wersję polską oprac. Stanisław Bogusławski [i in.]. Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 4° ss.163, nlb.1. 10 000 egz.

1970

SF dla dorosłych (ASF):

700. CHRUSZCZEWSKI Czesław: *Różne odcienie bieli.* Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss.130, tabl. 6. 3 700 egz.
701. GOMOLICKI Leon: *Arka.* Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss.198, nlb.2. 8 000 egz.
JESIONOWSKI J.: *Przygoda...* – zob. CJSF.
702. JESIONOWSKI Jerzy: *Za tych, co w górze.* W: *Teatr szklanego ekranu.* Warszawa. Iskry. 8° ss.105–142. 2 000 egz.
703. *Kroki w nieznane.* Almanach fantastyczno-naukowy. Aut.: Dmitrij Bielënkin [i in.]. Red. i posłowie: Lech Jęczmyk. Warszawa. Iskry. 16° ss. 458, nlb.4. 20 000 egz. – Zawiera też: *Fakty, hipotezy, zagadki* (MS), s. 415–453.
ŁASZOWSKI A.: *Sprzedaż...* – zob. Utopia.
704. LEM Stanisław: *Astronauci.* Powieść fantastyczno-naukowa. Wyd. VII. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 326, nlb. 2. 50 000 egz. – Seria z delfinem.
705. LEM Stanisław: *Głos Pana.* Wyd. II. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 324, nlb.3. 20 000 egz. – Głowy Wawelskie.
706. LEM Stanisław: *Powrót z gwiazd.* Wyd. III. Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss.237, nlb.3. 20 000 egz.
MALEWSKA H.: *LLW... W: Labirynt oraz LLW.* – zob. AF.
707. SHUTE [właść.: NORWAY-SHUTE] Nevil: *Ostatni brzeg.* Tłum. [z ang.] Zofia Kierszys. Posłowie Ryszard Frelek. Wyd. II. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 373, nlb.3., tabl.2, portr. 20 000 egz.
708. SOUČEK Ludvik: *Znak jeźdźca.* Tłum. [z czes.] Andrzej Piotrowski. Warszawa. Iskry. 16° ss. 245, nlb.3. 30 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.
709. STRUGACKI [J] Arkadij, STRUGACKI [J] Borys [właśc.: Boris]: *Poniedziałek zaczyna się w sobotę.* Tłum. [z ros.]. Irena Piotrowska. Warszawa. Iskry. 16° ss. 310, nlb. 2. 40 000 egz. Fantastyka, Przygoda. – ASF/AF. – Na okł. aut.: Arkadij i Borys Strugaccy.
710. SULIMA-KAMIŃSKI Jerzy: *Jak ryby...* W: *Dach mojej mamy.* Opowiadania. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° s.149–188. 3 000 egz.

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

711. BROSZKIEWICZ Jerzy: *Mój księżycowy pech.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 246, nlb. 2. 30 000 egz. – Klub Siedmiu Przygód.
712. BROSZKIEWICZ Jerzy: *Wielka, większa i największa.* Wyd. VII. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 265, nlb. 3. 50 000 egz.
713. HERLINGER J[erzy] J[uliusz]: *Mister Hopkins na tropach sensacji.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 310, nlb. 2. 20 000 egz. – Cd. poz. 622/68.
714. JESIONOWSKI Jerzy: *Przygoda w czasie.* Powieść dla młodzieży. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 143, nlb. 1. 20 000 egz. – CJSF/ASF.
715. MINKOWSKI Aleksander: *Przygoda siódma, podejrzanie cudowna – z „latającym cygarem" i podróżą w Kosmos. W: Klub Siedmiu.* Wyd. II. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° s. 220–250. 20 000 egz.
716. [STĂPOV Petăr]: *Goście z planety Mion.* Powieść dla młodzieży. Tłum. [z bułg.] Krystyna Migdalska. Katowice. Wyd. „Śląsk". 8° ss. 333, nlb. 3. 20 000 egz. – Na k. tyt. aut.: Petyr Stypow, na okładce Peter Stypow.
SWIFT J.: *Podróże...* – zob. Utopia.
717. SZKLARSKI Alfred: *Sobowtór profesora Rawy.* Wyd. IV. Katowice. Wyd. „Śląsk". 16° ss. 237, nlb. 3. 50 000 egz.
718. VERNE Jules: *Wokół Księżyca.* Wyd. II. powoj., skrócone. Tłum. [z franc.] Ludmiła Duninowska. Wstęp Zbigniew Przyrowski. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 323, nlb. 6. 30 000 egz.

cdn.

Przygotował Jacek Izworski



Anne SEXTON

SZOP

Szopie, czemuż przyszedłeś na tańce
w masce? Dlaczego nie jako blacharz
ze swą tęczową dziewczyną? Nie jako Racine
z ufryzowanymi włosami długimi do pasa?
Czemu nie przyszedłeś jako brzuch trawiący
robaki? Czemu to, mały kumplu,
uszy sterczą ci na baczność, a nos
wystaje jak mikrofon?
Emblemacie w peruce, kobieciarzu,
czemu tańczysz na rozległych trawnikach dziś wieczór,
dzwoniąc w wiadra na śmiecie jak w srebrzyste
dzwonki.

NIETOPERZ

Jego wstrętna skóra
naciągnięta jak przez garbarza,
podobna do mej skóry, tu między palcami
zrośniętymi płetwą jak u żaby.
Rodząc się miałam twarz drobną jak nietoperz,
a zanim się urodziłam, już umiałam latać,
choć nie najlepiej, błoniaste skrzydła
wyrastały mi zaledwie od ramion do pasa.
Fruwałam też nocą, by być niewidzialną.
Inaczej ktoś by mnie schwytał.
Może w sierpniu, gdy drzewa sięgały gwiazd,
przelatywałam z liścia na liść w gęstej ciemności.
Gdybyś oświetlił mnie swą latarką,
ujrzałbyś różowe skrzydlate ciało,
zbiegłe z łona swej matki, obrosłe futrem
unoszące się nad dachami, nad armiami.
To dlatego psy w twoim domu wywęszyły mnie.
Wiedzą, że należy mnie schwytać
gdzieś na cmentarzu zwieszoną głową w dół
jak niekształtne wymię.

CZERWCOWY CHRABĄSZCZ

Czerwcowy chrabąszcz zjawił się pierwszego czerwca,
szarpiąc struny swej gitary w zachodnim oknie,
snując bez końca swą zieloną opowieść –
mały myszołów, cały jak tętniące serce, który
chce, byśmy wiedzieli jak kosztowne jest
utrzymywanie gwiazd na ich ziarnistych miejscach
utrzymywanie kretów płonących pod ziemią,
gdyż korzenie kradną całą wodę.
Tak chrabąszcz pulsuje w mym oknie, żywa obecność,
wielkie włochate pytanie, co widząc nasze światło
myśli o nim:
Jesteś pokarmem,
jesteś zębem, jesteś mężem,
światło, światło sączące się przez siatkę,
to tam rzucam się swym wielkim ciałem na ciebie
jak but ciśnięty za autem nowożeńców.

Przełożyła **Teresa Truszkowska**

Anne SEXTON (1928–1974) – wybitna poetka amerykańska, przedstawicielka tzw. poezji konfesyjnej, urodziła się w 1928 r. w Newton, w stanie Massachusetts. Jej bogaty dorobek obejmuje dziewięć tomów, z których dwa ukazały się po jej samobójczej śmierci w 1974 r. Zadebiutowała w 1960 r. tomem wierszy „To Bedlam and Part Way Back". W 1967 r. otrzymała nagrodę Pulitzera za tom „Live or Die". Tematem jej poezji są najczęściej osobiste niepokoje, problemy religijne, dramat nieudanego małżeństwa. Jest to poezja bliska życia, nie siląca się na eksperymenty czysto formalne, osadzona w realiach codzienności.

Twórczość Anne Sexton ma też jaśniejsze i pogodniejsze tony. Poetka ma niezwykły dar obserwacji oraz swoisty humor, który ujawnia się m.in. w prezentowanych tu wierszach o zwierzętach. Pochodzą one z jej ostatniego tomu pt. „45 Mercy Street", który ukazał się w 1976 r. (T.T.)